WIEMY, O CZYM PREZYDENT NAWROCKI BĘDZIE ROZMAWIAŁ Z DONALDEM TRUMPEM

TAJEMNICA DRONA W OSINACH. ROSJA TESTUJE ATAK NA POLSKĘ?

NOWACKA WYKUWA UNIJCZYKA DOSKONAŁEGO

ŚWIATOWA WALKA Z WIATRAKAMI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

36 (666) 2025
1–7 września 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

TAK SOROS NAPADŁ NA POLSKĘ

PĘKŁA ZMOWA MILCZENIA. EUROPA MÓWI WPROST:
ORZECZENIA SĘDZIÓW ZWIĄZANYCH Z WIELKIM SPEKULANTEM
DOPROWADZIŁY DO ZMIANY WŁADZY W 2023 ROKU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 36
Numer w sprzedaży do 8 IX 2025 r.

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl/13c8658696

Zadanie dla Kijowa

Gdy kreślę te słowa, szanowne panie Komorowska, Kwaśniewska, Wałęsa, Tokarczuk, Holland, Janda, Kulczyk, Lempart, Chutnik, Kim i pewnie już kilka setek innych podpisały „List protestacyjny Polek" do władz państwowych. Wyrażają w nim oburzenie na weto prezydenta wobec ustawy dotyczących pomocy dla Ukraińców. Domagają się utrzymania wypłacania 800+ wszystkim obcokrajowcom jak leci, niezależnie od tego, czy pracują w Polsce. Sięgają po szantaż emocjonalny podlany egzaltowanymi frazami.

Twierdzą, że nikt w ich imieniu „nie ma prawa stawiać warunków kobietom uciekającym przed wojną", ale nie rozumieją, że te warunki są stawiane nie w imieniu ich, lecz państwa polskiego. A na jego czele stoi człowiek, którego właśnie wybrała demokratyczna większość. Teraz realizuje to, co zapowiadał.

Pech chciał, że tego samego dnia, co list elity naszych dam, ukazał się sondaż zlecony przez Onet, z którego wynika, że niemal 60 proc. Polaków popiera prezydenckie weto. Również większość przedstawicielek tej piękniejszej z dwóch płci cieszy się, że Karol Nawrocki nie chce dalszego wypłacania świadczeń bez względu na zatrudnienie.

Jest dość oczywiste, że w Polsce zmieniły się nastroje społeczne, a kampania prezydencka tylko to uwypukliła. I wcale nie jest tak, że to Karol Nawrocki narzucił inny ton w relacjach z Ukrainą. W tym kierunku podążyła niemal cała klasa polityczna za wyjątkiem zmarginalizowanej lewicy. Nie bez powodu postulat ograniczenia świadczeń socjalnych dla uchodźców poparła większość kandydatów w wyborach prezydenckich z Rafałem Trzaskowskim na czele.

Trzy i pół roku, mnóstwo wysiłku po stronie Polski i Polaków (wartego więcej niż 30 mld zł przekazanej pomocy), a słyszymy, że preferencyjne warunki przy kontraktach powojennych u sąsiada będą mieli Niemcy. Ci sami, którzy dywagowali nad wysyłaniem hełmów, gdy wsparcie znad Wisły było kluczowe dla broniącego się państwa. Trzy i pół roku wsparcia, a roszczeniowość władz w Kijowie i różnorakich przedstawicieli Ukrainy wręcz zdumiewa.

Gdy przeciętny Polak słyszy w popularnym programie publicystycznym ukraińskiego dziennikarza wyzywającego polskiego prezydenta od pahanów albo prezesa Związku Ukraińców w Polsce nazywającego weto „realizacją polityki Kremla, a nie Polski", to krew się w nim gotuje. Gdy widzi pijanych ukraińskich dwudziestolatków bijących się z ochroną Stadionu Narodowego, zastanawia się, dlaczego nie tłuką się w okopie z Ruskimi.

Fakt – niekiedy obrazy z internetu zapamiętujemy lepiej niż te z codziennego życia, gdzie Ukraińców spotykamy czy to pod domem, czy w przeróżnych zawodach i widzimy, jak ciężko pracują.

Warto też pamiętać, że pewna zmiana nastrojów wobec przywilejów dla cudzoziemców nie ma nic wspólnego ze stosunkiem Polaków do wojny. Absolutna większość z nas chce, by Ukraina była wolnym, suwerennym krajem, najchętniej z pobitą i skutecznie na długi czas odstraszoną Rosją, nawet jeśli to mało realne.

A władze Ukrainy muszą zrozumieć, że na polskiej scenie politycznej tylko jeden człowiek jest w stanie być jej reprezentantem w Białym Domu, którego gospodarz tego gmachu wysłucha z uwagą. Jeśli Kijów chce szukać bezpieczeństwa u boku Tuska czy Merza, srogo się przeliczy.

We wspomnianym na wstępie liście czytamy o prezydenckim wecie: „Ta decyzja i towarzyszący jej język – zapowiedzi warunkowania pomocy dziecku pracą rodzica, wydłużania drogi do obywatelstwa, rozpalania na nowo sporów pamięci – nie są kwestią nastrojów, lecz zimnej kalkulacji politycznej".

Co do powyższych argumentów: 1 – ponad trzy lata przywilejów to i tak spora hojność; 2 – nie ma żadnych powodów, by skracać obcokrajowcom drogę do polskiego obywatelstwa, a przeciwwskazań – całe mnóstwo; 3 – bez uczciwości w sprawie ludobójstwa na Wołyniu i potępienia kultu Bandery Ukraińcy nie mogą liczyć na dobre relacje z Polską.

To trzy proste kwestie, które podziela większość naszych rodaków i większość sceny politycznej. Władze Ukrainy i sami Ukraińcy muszą to zaakceptować i wyciągnąć wnioski. Potrzebują Polski bardziej, niż im się wydaje. Są w kluczowym momencie dla przyszłości swojego kraju. Warto go nie zmarnować.

Marek Pyza

Autopromocja

eprasa.pl f3c8658096

SIECI

spis treści

38 Kto zyska, kto straci, czyli atak na Błaszczaka
Piotr Gursztyn

47 Kryzys zbożowy
Konrad Kołodziejski

68 Pierwszy sprawdzian Urbana
Michał Muzyczuk

NA POCZĄTEK

5 **CENA WYMUSZENIA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

10 **WETO PREZYDENTA NAWROCKIEGO – GAZ W POLSKICH RĘKACH, NIE W BRUKSELSKICH KAJDANKACH**
Daniel Obajtek

11 **JAK USTĘPOWANO IMPERIALIZMOWI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

12 **WALIZKA PATRYKA JAKIEGO**
Michał Korsun

14 **CZAS SKANDALISTÓW**
Jan Pietrzak

14 **POLSKA ZBIERA PLONY NIENAWIŚCI**
Samuel Pereira

15 **Z TUSKIEM POLSKA ZAWSZE BĘDZIE Z TYŁU**
Arkadiusz Mularczyk

16 **OSTATNIA NADZIEJA POLAKÓW**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **SOROSA NAPAD NA POLSKĘ**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

22 **ROSYJSKIE TESTY ATAKU DRONOWEGO NA POLSKĘ?**
Marek Budzisz

26 **NIE BĘDZIE NUDY Z NAWROCKIM**
Z Marcinem Przydaczem rozmawia Marcin Wikło

30 **SZEŚĆ WET PREZYDENTA**
Jan Rokita

33 **RZĄDU TUSKA MIŁOŚĆ DO WIATRAKÓW**
Dariusz Matuszak

36 **KTO TYM KRĘCI**
Łukasz Wróblewski

38 **KTO ZYSKA, KTO STRACI, CZYLI ATAK NA BŁASZCZAKA**
Piotr Gursztyn

41 **KAŻDY, BYLE NIE Z KO**
Stanisław Janecki

44 **NOWACKA WYKUWA UNIJCZYKA DOSKONAŁEGO**
Dorota Łosiewicz

47 **KRYZYS ZBOŻOWY**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

50 **NIEBEZPIECZNIE BYĆ KOBIETĄ W EUROPIE**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

52 **WARSZAWSKIE TERMOPILE**
Andrzej Potocki

56 **OPERACJA POLSKA NKWD. JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH ZBRODNI XX W.**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **NAJWAŻNIEJSZE TO CHRONIĆ TYCH, KTÓRYCH KOCHASZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **BAROKOWY ROMANTYK**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

66 **KOGNITYWNE SAMOBÓJSTWO ZACHODU**
Robert Tekieli

SPORT

68 **PIERWSZY SPRAWDZIAN URBANA**
Michał Muzyczuk

KUCHNIA/NATURA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **POLSKA-NIEMCY 3:2 I… „MILCZ, JAK DO MNIE MÓWISZ”**
Ryszard Czarnecki

74 **CYFROWA PĘTLA POZNAWCZA**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl f3c8658096

BRONISŁAW WILDSTEIN

Cena wymuszenia

Dominik B. utracił widzenie w lewym oku. Jeśli nie będzie miał zapewnionej specjalistycznej terapii, której poddawany jest od lat, grozi mu całkowita ślepota. 12 czerwca br. został on osadzony w areszcie jako podejrzany w sprawie nieprawidłowości w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. To jedna z tzw. afer, którymi rząd Tuska usiłuje obciążyć swoich poprzedników, a których istnienie wydaje się co najmniej wątpliwe.

Dominik B. został aresztowany na podstawie zeznań Pawła Szopy. Sąd Okręgowy w Katowicach uznał, że wyjaśnienia tego świadka w stosunku do innego podejrzanego w sprawie Pawła K. „pozbawione są konsekwencji, są wewnętrznie sprzeczne, ewoluują wraz z częstotliwością składania wyjaśnień, zawierają wiele ogólników, a mało szczegółów, które mogłyby podlegać weryfikacji".

Szopa cierpi na klaustrofobię, w areszcie zaczął zeznawać po myśli prokuratorów i oskarżać urzędników państwowych oraz polityków PiS. I to na podstawie jego zeznań do aresztu trafił Dominik B.

Prokurator okłamał Sąd Okręgowy decydujący w sprawie aresztu, że podejrzany w dniu zatrzymania nie zgłaszał żadnych kwestii medycznych. Prokuratorem jest Karol Zok. Doprowadził on do przetrzymania w więzieniu Anny Wójcik, matki autystycznego syna, który z tego powodu usiłował popełnić samobójstwo.

Areszt śledczy to pozbawienie wolności osoby, której nie udowodniono winy, a więc powinno się go stosować w wyjątkowych okolicznościach. Nie zachodzą one w wypadku Dominika B., co pośrednio przyznał Zok, po raz pierwszy przesłuchując go ponad dwa miesiące po osadzeniu w więzieniu, a zatem o presji czasu nie było mowy.

Stan aresztowanego pogorszył się. Jego oko operowane zostało w szpitalu więziennym 20 sierpnia. Mimo to prokurator nie ma zamiaru wypuścić go na wolność. Powołuje się na opinię lekarza więziennego: „Wszystkie zalecenia terapeutyczne mogą być z powodzeniem realizowane w warunkach izolacji więziennej".

Pierwsze badanie B. przez biegłego więziennego, do którego na skutek ponawianych monitów obrony doszło wreszcie 28 lipca, nie stwierdziło konieczności hospitalizacji, natomiast drugie, 14 sierpnia, skutkowało natychmiastowym skierowaniem na operację. Adwokat Krzysztof Wąsowski pyta retorycznie: „Czy tak nagłe pogorszenie się stanu zdrowia chorego nie miało związku z pobytem w więzieniu?".

Areszty osób podejrzanych w sprawach, które obecny rząd usiłuje zmontować przeciw swoim politycznym konkurentom, są skandalem. Nie było podstaw do przetrzymywania w więzieniu ks. Michała Olszewskiego, Pawła Szopy, Anny Wójcik czy urzędniczek resortu sprawiedliwości. Wręcz przeciwnie, okoliczności takie jak klaustrofobia Szopy, choroba Dominika B. czy autyzm dziecka Wójcik wskazują, że tego typu środki powinny być stosowane wobec nich wyłącznie w zupełnie szczególnych przypadkach. Można domniemywać jednak, że to właśnie z powodu problemów, z jakimi zmagają się ofiary, są one wybierane do aresztu. Wszystko wskazuje, że prokuratorzy liczą, iż ułatwią one wymuszanie zeznań u zamkniętych.

Na wiadomość o próbie samobójczej syna Wójcik, Roman Giertych napisał w internecie: „Gdyby ona była tak mądra, jak dyrektor Tomasz Mraz, to dzisiaj mielibyśmy wniosek o uchylenie immunitetu prawdziwego beneficjenta, a ona zajmowałaby się synem". Mraz to dawny urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości obecnie na zamówienie Giertycha oskarżający swoich byłych zwierzchników o wszystko, co najgorsze.

Polityk PO mówi więc publicznie, że oddzielenie Wójcik od chorego syna i dręczenie w więzieniu miało wymusić jej posłuszeństwo w składaniu zeznań. Miało doprowadzić do załamania się i zachowania takiego, jak w przypadku Szopy. To metody typowe dla państwa policyjnego, które usiłuje zniszczyć opozycję, posługując się szantażem, wymuszeniem i prześladowaniem konkretnych ludzi. Operacje takie wspierane są zwykle przez propagandowych funkcjonariuszy. Dziś w Polsce rolę taką odgrywają pracownicy Onetu czy „GW", którzy nie tylko zachęcają do tego typu działań, oklaskują je, lecz także bezpośrednio włączają się w konkretne przedsięwzięcia. Osoby pracujące w tych szczujniach utraciły jakiekolwiek moralne prawo do nazywania się dziennikarzami. Instytucje powołane do ochrony praworządności w Europie i na całym Zachodzie, tak czułe w wypadku złego traktowania zwykłych przestępców, nie zauważają, że liberalny rząd w Polsce z powodów politycznych prześladuje i niszczy konkretnych ludzi. Dużo mówi nam to o stanie demokracji i praworządności współczesnego świata.

Dziś obserwujemy tragedię Dominika B., który traci wzrok z powodu działań prokuratora Zoka i jego mocodawców. Musimy zrobić wszystko, aby do tego nie dopuścić. W dalszej kolejności powinniśmy postawić przed sądem odpowiedzialnych za ten stan rzeczy: bezpośrednich wykonawców, jak wskazany prokurator, oraz tych, którzy przygotowali całą operację. To podstawowy warunek odbudowy demokracji i praworządności w naszym kraju.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3c8658096

Sygnalista nadaje

Marzyliście o czystej europejskiej energii i sielankowym krajobrazie z wiatrakami tuż za oknem? Takimi eleganckimi, dwustumetrowymi Siemensami? To on! KA-EN, który zabrał nam marzenia 1 czerwca, teraz jeszcze raz okradł nas z nadziei, że kiedyś staniemy się prawdziwymi Europejczykami. Co pomyśli o nas zagranica, gdy się dowie, że ten Nawrocki z Gdańska zawetował ustawę o rozmrażaniu wiatraków?

Nas okradł z marzeń, a sam rozbija się beemką za 2 mln zł. A to też jest kradzież, bo nasza władza nie dla niego kupiła ten samochód. To auto zakupione dla prezydenta naszych serc, moralnego zwycięzcy wyborów 1 czerwca, czyli ***Rafała Trzaskowskiego***. Żądamy od premiera Tuska, żeby do czasu ponownego przeliczenia głosów samochód został zamknięty na klucz! I czekał na prawdziwego prezydenta. Nie ma też zgody na demagogiczne i populistyczne zarzuty, że takim samym autem jeździ premier ***Donald Franciszek Tusk***. A czym ma jeździć? Rzęchem, który został po Morawieckim?

Kolejnym dowodem na faszyzację życia politycznego naszego kraju jest to, że KA-EN nosi koszule szyte na miarę. Niesłychana sprawa! Nikt do tej pory tego robił w Ten Kraju. Z wyjątkiem posłów w Sejmie i senatorów w Senacie. PS Namiary na fajną i niedrogą szwalnię takich koszul na miarę ma poseł Paweł Kowal.

Jeszcze celna riposta, którą okupantowi pałacu prezydenckiego udzielił premier Donald Franciszek: „My robimy, nie gadamy!”. To była odpowiedź na pretensje, iż rząd demokratów walczących nie realizuje swoich obietnic, czyli 100 konkretów. No i co z tego? Po pierwsze, to nie były obietnice dla faszystów, a po drugie, dwa razy obiecać to tak, jak raz zrobić.

Uwaga, prośba o odrobinę cierpliwości. Trochę opóźni się przeliczanie głosów z wyborów prezydenckich. W tzw. międzyczasie trzeba przeliczyć głosy w Zabrzu. „Wyszedł jakiś błąd w systemie” – poinformował nas wszystkich, prawdziwych silnych razem demokratów-antyfaszystów, biuletyn naszego środowiska „Gazeta Wyborcza”. We wspomnianym mieście grupa nieodpowiedzialnych mieszkańców doprowadziła do odwołania demokratycznej prezydentki miasta Agnieszki (ma jakieś nazwisko, ale nie chciało nam się tego sprawdzać w internecie). Jedna nieodpowiedzialność doprowadziła do drugiej. Strona demokratyczna zaproponowała nową kandydatkę na prezydentkę – Ewę Weber (prawda, że fajne nazwisko?). A wybory wygrał jakiś Żbikowski, który nie jest prawdziwym demokratą.

Na szczęście dr Kontek już leci do Zabrza! Prawdziwa demokracja nie może tolerować tak skandalicznych błędów systemowych.

Znów mieszane uczucia. Nawrocki ukradł hasło wyborcze naszego Rafała. Złodziej! Zablokował wypłatę 800+ osobom ukraińskim będącym w kryzysie zatrudnienia. Za tydzień przedstawimy wytyczne, co o tym myśleć, bo na razie trwają ustalenia, za co w tym potępić tego Nawrockiego. Za to, że ukradł

Wisienka na naszym torcie: Ewka Wrzosek dostała robotę u Waldka Żurka. Posada ma fajną, niespotykaną do tej pory nazwę – radca generalny (poprawnie: osoba radcowska generalna). Będzie! Będzie zabawa! Będzie się działo! Znów w naszej rubryce będzie dym!

eprasa.pl f3c8658096

hasło wyborcze, czy za to, że pomaga Putinowi, krzywdząc biedne osoby ukraińskie? Propozycje w tej sprawie prosimy przesyłać na adres: TVP w likwidacji, ul. Woronicza.

Szczujnie prawackie i symetrystyczne sieją propagandę grozy: „Idzie fala podwyżek podatków". Albo: „Rządzący sięgają do kieszeni podatników". No i gdzie tu wady? Dlaczego trzeba to tłumaczyć? Po pierwsze, ta władza zasługuje na więcej. Lepiej więc będzie, gdy to ona będzie dysponować pieniędzmi, a nie nieodpowiedzialna ludność, która coraz mocniej popiera faszyzm i nie zasługuje na to, aby być obywatelami w kraju prawdziwej demokracji. Rząd wyda te pieniądze lepiej niż ta faszystowska tłuszcza.

Punkt pierwszy: podatek cukrowy. Populiści i inni ludzie o złych intencjach przypominają, że wiele wybitnych osób poselskich Koalicji Obywatelskiej krytykowało kiedyś pomysł wprowadzenia podatku cukrowego. Szczerba Michał o podatku cukrowym: „Ustawa nie przewiduje zmian nawyków żywieniowych. Podatek uderzy w najbiedniejszych. Jedyny cel ustawy to cel fiskalny: łupienie Polaków". Staszek Lubnauer: „Podatek cukrowy nie jest ani od cukru, ani od słodyczy. Nie będzie też miał znaczenia w walce z cukrzycą! Cel jest jeden – kolejny raz sięgnąć do kieszeni Polaków! Logika PiS". Mądrze powiedziane, ale czasy się zmieniły. I to nie jest to samo, co w czasach rządów reżimu PiS. Wtedy było sięganie do kieszeni Polaków, dzisiaj to sięganie do kieszeni faszystów, którzy zagłosowali na Batyra. Jakaś kara za to musi być!

KA-EN zapowiada, że zawetuje podniesienie akcyzy na alkohol. Oczywiście należy go za to atakować i krytykować. Ale po cichu możemy przyznać, że sprawa nie jest tak jednoznaczna. ***Marcin Kierwiński*** mówi, że on sobie da radę z tym wetem.

Prowokacja, która się nie udała. Wszystkie organy władzy stanęły na wysokości zadania i właściwie zareagowały na ruski dron, który eksplodował koło jakiejś pisowskiej wioski w województwie, które głosowało na Batyra. Polska wschodnia, czyli wiadomo co... Wprawdzie fotoradary nie wykryły drona, gdyż leciał za nisko i z dozwoloną prędkością. Z tego powodu nie mógł też zadziałać odcinkowy pomiar prędkości. Tę sprawę dokładnie wyjaśniła wybitna ekspertka i znawczyni dronów oraz fotoradarów posłanka Ala Łepkowska-Gołaś. Ale za to zadziałał telefon 112, dzięki czemu okoliczna ludność, której przeszkadzał odgłos wybuchającego drona, mogła powiadomić odpowiednie służby.

Jeśli chodzi o Polskę wschodnią, to ma ona nieuzasadnione pretensje o tzw. linię Wisły. Na szczęście prokuratura zajęła się tą sprawą i wszyscy demokraci mają nadzieję, że niejaki Mariusz Błaszczak zostanie surowo ukarany za to, iż złamał ściśle strzeżoną tajemnicę państwową i ujawnił dokumenty dotyczące planów, które i tak były już nieaktualne. Cała Polska z przejęciem wysłuchiwała panią prokurator, która obnażała zbrodnie Błaszczaka. W tym tę najstraszniejszą: „Naraził Polskę na śmieszność". Niesłychane, bo do tej pory ani jeden polityk, ani żadna inna osoba publiczna, ani razu w naszej tysiącletniej historii nie naraziła Polski na śmieszność.

Razem z Błaszczakiem do ukarania pójdzie niejaki Sławomir Cenckiewicz, o którym wiadomo – co ujawnił legendarny przywódca Bolesław Wałęsa – że naprawdę nazywa się Centkiewicz. I oprócz pisania paszkwili na legendarnego przywódcę oczerniał też Inuitów, zwanych kiedyś Eskimosami.

Ludzie, chowajcie się! Zaczęła się łapanka na stanowisko dyrektora Instytutu Staufenberga (dawniej Instytut Pileckiego). Kieruje nim prof. Christoph Ruchniewitz, którego do tej pory uważaliśmy za zasłużonego i pożytecznego. Jednak ostatnie ustalenia i narady w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów doprowadziły do nowych ustaleń. Otóż Oberdirektor Ruchniewitz oprócz niewątpliwych zalet ma też pewne wady. I aktualnie te wady przesłoniły owe zalety. Stąd potrzeba zmiany na stanowisku dyrektora. Ujawnił się jednak problem – nie ma chętnych na objęcie stanowiska, które nadal piastuje Herr Professor. Tak bardzo wprowadzał w Instytucie deutsche Ordnung, że zrobił się tam straszliwy bałagan. No i brakuje chętnych do posprzątania.

Jeśli chodzi o kulturę, to słuszną linię ma nasza władza. Poznaliśmy listę beneficjentów programu KPO Kultura, zatem czas na chwalenie się sukcesami: radosna wiadomość o 150 tys. zł dla złożonego z niezależnych dziennikarzy boysbandu „Poparzeni dotacjami". Symboliczne 200 tys. zł dla apolitycznego teatru ***Krystyny Jandy***. Grosze, bo tylko 70 tys. zł, na projekt „Przestrzeń kultury lesbijskiej". Sceniczny manifest intymności, Pipidówka gender studies, one man show Leszka Jażdżewskiego – Igrzyska Wolności i inne takie fajne projekty – nagrodzone. Podoba nam się łatwy dostęp do środków: wystarczyło napisać słowa klucze i pieniądze były wypłacane. Np. takie: „ekotransgresja", „hybrydowy", „ekosztuka". To jeszcze lepsze niż jachty z HoReCa.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl f3c8658096

Trump przeciwko miastom

USA

Popularne w kręgach prawniczych w USA powiedzenie głosi, że można przekonać wielką ławę przysięgłych do postawienia w stan oskarżenia nawet kanapki z szynką, ale w Waszyngtonie właśnie odmówiła ona postawienia zarzutów mężczyźnie, który rzucił w policjantów bułką z salami.

Chodzi o byłego pracownika Departamentu Sprawiedliwości, któremu nie spodobała się decyzja prezydenta Trumpa o wysłaniu do Waszyngtonu oddziałów Gwardii Narodowej, aby pomogły w walce z przestępczością. 37-letni Sean Dunn na widok policjantów zaczął krzyczeć: „Cholerni faszyści!" i rzucił w nich kanapką. Potem próbował uciec, ale został złapany.

Ostatecznie Dunn został oskarżony o napaść na funkcjonariuszy organów ścigania, a Biały Dom opublikował w mediach społecznościowych nagranie z jego aresztowania. Prokurator generalna Pam Bondi ogłosiła zaś, że Dunn został zwolniony z pracy.

Dla mieszkańców stolicy, którzy sprzeciwiają się prezydenckiej walce z nielegalną imigracją, Dunn natychmiast stał się bohaterem. W całym mieście pojawiły się murale przedstawiające „Faceta z kanapką" (The Sandwich Guy), a nagranie ze „starcia" Dunna z policją stało się viralem i symbolem „oporu".

W tle jest spór o metropolie rządzone przez demokratów. W 2022 r. Trump nazwał je „przesiąkniętymi krwią szambami". Później określił Milwaukee jako „okropne", a Waszyngton opisał jako „zadupie pełne szczurów i graffiti". „Te miasta to jak życie w piekle" – dodał. Pół roku po swoim powrocie do Białego Domu Trump rozmieścił Gwardię Narodową w Los Angeles, powołując się na przepis, który pozwala prezydentowi na wysłanie wojska w dowolne miejsce kraju w celu odparcia inwazji, stłumienia rebelii lub egzekwowania prawa. Trump argumentował, że nie jest w stanie egzekwować federalnych przepisów w Los Angeles, bo miasto odmawia współpracy z nim w kwestii nielegalnej imigracji.

Jak twierdzi „The Washington Post", im bardziej miasta przechylają się na liberalną stronę, tym mocniej republikanie je atakują jako uosobienie wszystkiego, co złe. Trump wytoczył wojnę miejskim elitom i zasygnalizował, że jego ofensywa będzie kontynuowana, wymieniając obok Chicago jeszcze Nowy Jork, Baltimore i Oakland w Kalifornii. „Nie zatrzymamy się" – zaznaczył. Zdaniem republikanów to konsekwencja „dekad protekcjonalnego traktowania Amerykanów z prowincji" i ignorowania ich przez miejskie elity „jako niewyrobionych, rasistowskich i zacofanych politycznie".

Aleksandra Rybińska

Fot. PreechaB/Shutterstock.com

Korea Południowa

Znikająca armia

Mimo wysokich nakładów na armię Korea Południowa przegrywa na froncie demograficznym. Najniższy wskaźnik urodzeń na świecie sprawia, że ciągle ubywa żołnierzy. W tej chwili do utrzymania pełnej gotowości obronnej brakuje aż 50 tys. ludzi.

Ze względu na formalny stan wojny pomiędzy obydwoma państwami koreańskimi, służba wojskowa w Korei Południowej jest obowiązkowa dla wszystkich mężczyzn w wieku 18–28 lat i trwa maksymalnie 24 miesiące. Z kolei budżet obronny Seulu, który wyniósł w tym roku 44,6 mld dol., jest większy niż cała gospodarka jego północnego sąsiada.

Przez wiele lat było to wystarczające dla zachowania równowagi sił na Półwyspie Koreańskim. Ostatnio jednak ze względu na gwałtowny spadek liczby ludności siły zbrojne Korei Południowej skurczyły się o 20 proc. Według danych rządowych populacja dwudziestoletnich mężczyzn zmniejszyła się od 2019 r. aż o 30 proc. i wynosi obecnie 230 tys. osób. Problemy kadrowe nie dotyczą wyłącznie poborowych – w armii brakuje również kadry oficerskiej oraz przede wszystkim podoficerów. Według ministerstwa obrony w Seulu może to doprowadzić do poważnych trudności operacyjnych.

Na początku tego stulecia południowokoreańska armia liczyła 690 tys. żołnierzy, w tej chwili jej liczebność jest szacowana na 450 tys. ludzi. Dla porównania Korea Północna może wystawić do boju aż 1,2 mln wojska. W związku z rosnącym napięciem na Półwyspie Koreańskim ta luka staje się poważnym wyzwaniem dla zdolności obronnych Seulu.

Korea Południowa jest w tej chwili jednym z najszybciej starzejących się społeczeństw. W 2024 r. współczynnik dzietności osiągnął najniższą wartość na świecie i wyniósł 0,75. Oznacza to, że na 100 kobiet w wieku rozrodczym (15–49 lat) przypadało 75 urodzonych dzieci, tymczasem dla zapewnienia wzrostu demograficznego na 100 takich kobiet powinno przypadać co najmniej 210 dzieci, zatem współczynnik dzietności powinien osiągać wartość 2,1.

Jeśli tak dalej pójdzie, to populacja Korei, która w 2020 r. osiągnęła 51,8 mln osób, spadnie w ciągu następnych 50 lat do 36 mln. Złośliwi twierdzą, że północnokoreański reżim Kimów nie będzie już musiał atakować swojego południowego sąsiada – po prostu pewnego dnia komunistyczne wojska zajmą wyludnioną przestrzeń.

Konrad Kołodziejski

Fot. PreechaB/Shutterstock.com

eprasa.pl f3c8658096

Macierzyństwo tylko za zgodą władz

Dania

Historia Nikoline Brönlund jest przerażająca, ale zarazem warta poznania, bo ujawnia, z jakimi patologiami mamy do czynienia w Danii – nowoczesnym państwie, które przez lata uzurpowało sobie prawo do ingerencji w politykę rodzinną.

Nikoline jest Inuitką z Grenlandii, która we wczesnym dzieciństwie została odebrana matce. Ojca nigdy nie poznała, ale najprawdopodobniej również był nim mężczyzna wywodzący się z autochtonicznych ludów Grenlandii. Umieszczono ją w rodzinie zastępczej w Danii, gdzie przez lata była wykorzystywana seksualnie przez przybranego „ojca", co spowodowało jej załamanie nerwowe i przejściowe, dziś już zaleczone, problemy psychiczne.

Dziewczyna – mimo że była reprezentantką Grenlandii w piłce ręcznej i wygląda na przedstawicielkę ludów autochtonicznych – została uznana przez władze gminy Høje-Taastrup, gdzie mieszka, za Dunkę i w związku z tym poddano ją obowiązkowemu testowi kompetencji macierzyńskich. Przeprowadzono test Rorschacha oceniający jej cechy osobowości i funkcje emocjonalne. Ten obowiązkowy w Danii test, na którego podstawie władze oceniają, czy przyszła matka może się wywiązywać z obowiązków rodzicielskich, jest krytykowany jako rasistowski i nieuwzględniający kulturowej odmienności Inuitów. Dodatkowo w przypadku Nikoline przeprowadzono „czytanie w oczach", które mierzy zdolność rozpoznawania uczuć innych. W jej przypadku wyniki były negatywne, co automatycznie uruchomiło procedury administracyjne i doprowadziło do odebrania nowo narodzonej córki godzinę po porodzie. Obecnie Nikoline może ją odwiedzać przez dwie godziny co dwa tygodnie pod nadzorem prawnych opiekunów. Dziecko najprawdopodobniej trafi do rodziny zastępczej.

Stosowanie testów psychologicznych, które zdaniem specjalistów nie uwzględniają kulturowych i poznawczych odmienności rdzennych mieszkańców Grenlandii, w minionych latach doprowadziło do pozbawienia praw rodzicielskich 315 eskimoskich rodzin. Zdaniem reprezentantów rdzennej ludności Grenlandii tego rodzaju praktyki mają kolonialny charakter i przypominają politykę stosowaną przez rząd Danii w latach 60 i 70. ub.w. Wówczas 4,5 tys. dziewczynek i kobiet na Grenlandii wszczepiono antykoncepcyjne wkładki domaciczne bez ich zgody, a często nawet wiedzy. Takie praktyki odbywały się w czasie szkolnych obowiązkowych badań medycznych.

Testy przydatności rodzicielskiej zostały już wstrzymane, ale nie oznacza to automatycznego zakwestionowania decyzji o odebraniu dzieci matkom. O tym każdorazowo będą decydować lokalne samorządy, bo w Danii to w ich kompetencji leży ocena tego, czy kobieta będzie w stanie wychować swoje potomstwo.

Marek Budzisz

Fot. Danny E Hooks/Shutterstock.com, Shutterstock

Dominikana

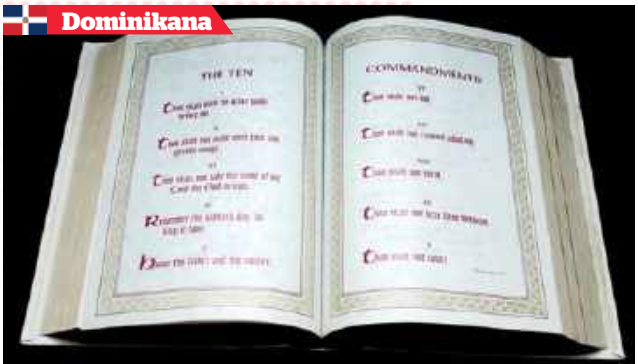

Sprawy życia i śmierci

Niedawno parlament Dominikany przeprowadził nowelizację kodeksu karnego. Największe zainteresowanie społeczne wywołało głosowanie nad poprawką dotyczącą legalizacji aborcji. Obecnie obowiązuje tam całkowity i bezwzględny zakaz tego procederu. Przy okazji zmian w kodeksie pojawiła się jednak propozycja, by odstąpić od prawnej ochrony życia ludzkiego w prenatalnej fazie rozwoju w trzech przypadkach: wad wrodzonych dziecka, gwałtu i kazirodztwa oraz zagrożenia dla zdrowia matki.

Głosowanie w parlamencie zostało poprzedzone zmasowaną kampanią medialną zorganizowaną przez miejscowe środowiska proaborcyjne i feministyczne, wspomagane hojnie pieniędzmi z zagranicy. Na deputowanych i senatorów wywierano presję, aby doprowadzili do zmian w prawie. Choć dominikańscy politycy są w wielu sprawach mocno podzieleni, to jednak w tej kwestii wykazali się wyjątkową jednomyślnością i odpornością na naciski. W Izbie Deputowanych aż 159 parlamentarzystów opowiedziało się za utrzymaniem całkowitego zakazu aborcji, a tylko 4 miało zdanie przeciwne. Z kolei w Senacie 31 przedstawicieli tej izby głosowało za bezwzględną ochroną życia poczętego, a tylko jeden senator był przeciwny.

Podczas 14-godzinnej debaty parlamentarnej powołano się m.in. na art. 37 konstytucji, który gwarantuje prawo do życia każdemu człowiekowi od momentu poczęcia do naturalnej śmierci. Przypominano też, że Dominikana jest jedynym państwem na świecie, w którego herbie widnieje Biblia (w której znajduje się Dekalog z piątym przykazaniem: „Nie zabijaj"), a to do czegoś zobowiązuje.

Głosowanie nad zmianami w kodeksie karnym było drugim w ostatnim czasie starciem wygranym przez obrońców życia. Poprzednio doszło do próby zalegalizowania aborcji przez wprowadzenie poprawek do kodeksu lekarskiego, jednak projekt został odrzucony przez parlamentarzystów. Przykład Dominikany pokazuje, że w polityce są możliwe rzeczy, które innym wydają się nie do pomyślenia.

Grzegorz Górny

eprasa.pl f3c8658096

Weto prezydenta Nawrockiego – gaz w polskich rękach, nie w brukselskich kajdankach

Ach, jakże pouczające widowisko! Prezydent Karol Nawrocki wetuje nowelizację ustawy o zapasach gazu, a unijni biurokraci w Brukseli pewnie drapią się po głowach, zastanawiając się, dlaczego Polska nie chce tańczyć do ich melodii. Bo przecież „dostosowanie do prawa UE" brzmi tak nobliwie – dopóki nie zajrzymy pod maskę i nie zobaczymy, że to kolejny pretekst do osłabienia naszej suwerenności energetycznej

My, Polacy, wiemy lepiej niż ktokolwiek, że bezpieczeństwo to nie abstrakcja, tylko magazyny pełne gazu na zimę, gdy Kreml albo jakikolwiek inny satrapa znów zacznie kręcić kurkami.

Weźmy te magazyny – serce naszej niezależności. Dzięki strategicznym decyzjom ORLENU i PGNiG Polska dysponuje dziś ponad 4 mld m³ w kawernach i podziemnych zbiornikach. To nie przypadek – od 2015 r. rozbudowaliśmy je o połowę, integrując z dywersyfikacją dostaw. Baltic Pipe z Norwegii, terminal LNG w Świnoujściu, drugi FSRU w Gdańsku – to wszystko zasługa wizji, gdzie gaz płynie z USA, Kataru czy Norwegii, a nie tylko z jednego, i to niebezpiecznego, kierunku. ORLEN pod moim kierownictwem przejmował aktywa wydobywcze za granicą, zapewniając, że coraz większa część potrzeb jest pokryta własnymi źródłami. PGNiG, dziś część koncernu, dbało o to, by magazyny nie były pustymi jaskiniami, ale tarczą przed kryzysami.

A potrzeba trzymania zapasów w Polsce? To oczywistość dla każdego, kto pamięta 2022 r. Gdy Rosja zakręciła kurek, Niemcy – ci sami, którzy dziś pouczają o „europejskiej solidarności" – wprowadzili regulacje ograniczające wywóz gazu poza swoje granice. Bundesnetzagentur zakazała eksportu do Austrii czy Czech, bo „pierwsi Niemcy". Sarkazm? Raczej gorzka ironia. Berlin chronił wtedy swoje fabryki, a my mielibyśmy oddać kontrolę nad własnymi magazynami unijnym dyrektywom, które w kryzysie okażą się papierkiem? W 2022 r. przetrwaliśmy dzięki własnym zapasom – ORLEN dostarczał gaz do zakładów chemicznych i stali, PGNiG zapewniało ciągłość dla gospodarstw. Byliśmy bezpieczni.

Teraz UE chce nam narzucić „harmonizację" magazynowania, co w praktyce oznacza więcej biurokracji, wyższe koszty i ryzyko, że nasze rezerwy staną się wspólnym dobrem – do czasu, aż jakiś eurokrata zdecyduje inaczej.

Ale spójrzmy na zaniechania obecnego rządu i nowego kierownictwa ORLENU – to dopiero kabaret! Zamiast rozbudowywać magazyny, jak planowaliśmy, do 5 mld m³ do 2035 r., paraliżują decyzje inwestycyjne. Dwa lata bez kroku naprzód w SMR, zyski ORLENU szorują po dnie, a z naszych, wtedy krytykowanych fuzji teraz wypłacają dywidendy. Gdzie tu wizja? Zamiast dywersyfikacji i rozwoju mamy bezwład i stagnację – zamiast budować, oni audytują i kupują limuzyny.

Wetując tę ustawę, prezydent Nawrocki chroni nie tylko gospodarkę, lecz także bezpieczeństwo milionów Polaków. Bo co to za bezpieczeństwo, gdy Bruksela dyktuje, jak przechowywać gaz, a sama nie potrafi zapobiec choćby spekulacjom w ETS, które windują ceny? My wiemy: dywersyfikacja plus własne magazyny to klucz. ORLEN i PGNiG zbudowały system, który działa – z kawernami w Mogilnie czy Kosakowie, gotowymi na szczytowe zapotrzebowanie plus margines na kryzys.

Ironia losu: UE marzy o „zielonej rewolucji", subsydiując chińskie panele, a my mamy ryzykować zimno czy blackouty? Weto to lekcja rozsądku – gaz w polskich rękach, nie w unijnych marzeniach. Bo bezpieczeństwo energetyczne to nie fanaberia, lecz codzienność: ciepły dom zimą, działająca fabryka, stabilna gospodarka. Brawo, panie prezydencie – Polska ponad brukselskim absurdem!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl f3c8658096

Jak ustępowano imperializmowi

Marta Kaczyńska-Zielińska

W latach poprzedzających II wojnę światową stosunki między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi były napięte. W 1939 r. wydawało się wysoce nieprawdopodobne, aby USA i ZSRR zawarły sojusz. Relacje amerykańsko-radzieckie znacznie się pogorszyły po decyzji Stalina o podpisaniu paktu o nieagresji z nazistowskimi Niemcami w sierpniu 1939 r. Sowiecka okupacja wschodniej Polski we wrześniu i wojna zimowa przeciwko Finlandii skłoniły prezydenta Roosevelta do potępienia Związku Radzieckiego jako „dyktatury równie absolutnej, jak każda inna dyktatura na świecie" oraz do nałożenia „embarga moralnego" na eksport niektórych produktów do Sowietów. Pomimo silnej presji na zerwanie stosunków z Moskwą Roosevelt uważał, że to nazistowskie Niemcy, a nie Związek Radziecki stanowią największe zagrożenie dla pokoju na świecie. Aby odeprzeć to zagrożenie, amerykański prezydent oświadczył, że w razie potrzeby „zagra z diabłem". I zagrał.

Podczas konferencji w Teheranie (1943) i Jałcie (1945) Roosevelt ustąpił Stalinowi w sprawie Polski i zgodził się na udział ZSRR w ONZ. Prezydent USA nie miał złudzeń co do sowieckich zapędów w Europie Wschodniej, ale żywił nadzieję, że jeśli USA podejmą wysiłki w celu zaspokojenia sowieckich gwarancji bezpieczeństwa w Europie Wschodniej i Azji Północno-Wschodniej oraz włączenia ZSRR do ONZ, radziecki reżim okaże się graczem zespołowym na arenie międzynarodowej i stanie się umiarkowanie autorytarny.

Złudzeń co do zagrożeń płynących ze strony ZSRR zdawał się nie mieć Winston Churchill. Operacja „Nie do pomyślenia" zrodziła się z jego narastających obaw o zamiary Związku Radzieckiego w Europie. Stalin rozlokował 2,5 mln radzieckich żołnierzy wokół Berlina i Niemiec Wschodnich. Mimo obietnic złożonych na konferencji jałtańskiej dotyczących wolnych i uczciwych wyborów w Polsce stało się jasne, że zapewnienia Stalina okazały się fikcją. Brytyjski premier wiedział o ludobójstwie dokonanym w Katyniu, o systematycznych gwałtach, morderstwach i zniszczeniach dokonywanych przez Sowietów na terytoriach okupowanych, a także o rozkradaniu infrastruktury i odsyłaniu jej do ZSRR. Roosevelt miał jednak podejrzewać, że plan Churchilla wynika z ambicji utrzymania wpływów imperium brytyjskiego. Ameryka chciała kontynuować współpracę z ZSRR, aby pokonać Japonię.

Do 8 maja 1945 r. siły zachodnie przekroczyły granice uzgodnione w Jałcie o ok. 240 km, docierając do linii kontaktu z Sowietami. USA chciały się zrzec tego terytorium, Churchill zamierzał wykorzystać je jako kartę przetargową w sprawie Polski i Niemiec. W związku z tym na początku maja 1945 r. zlecił opracowanie planu o kryptonimie „Nie do pomyślenia", który zakładał zmasowany, niespodziewany atak na pozycje radzieckie w Europie przeprowadzony przez wojska brytyjskie i amerykańskie przy wsparciu sił niemieckich i japońskich. Zakładano odepchnięcie wojsk radzieckich za Odrę i ustanowienie nowego, prozachodniego rządu w Polsce. Datę wstępnie ustalono na 1 lipca 1945 r., ale choć brytyjscy planiści przewidywali konieczność zaangażowania Ameryki, nie konsultowano się z nimi. Od śmierci Roosevelta prezydent Truman z rezerwą podchodził do Churchilla i jego antysowieckich planów. Także w Wielkiej Brytanii inicjatywa premiera spotkała się z dużym sceptycyzmem.

Choć Churchill naciskał na realizację operacji „Nie do pomyślenia", stawało się coraz bardziej jasne, że plan jest niewykonalny i nie osiągnie zamierzonych celów. Bez wsparcia Ameryki trudno było przeprowadzić pełnoskalową operację wojskową.

5 marca 1946 r. Churchill w obecności prezydenta Trumana wygłosił w Fulton przemówienie, w którym użył określenia „żelazna kurtyna". Przedstawił ZSRR jako niebezpieczne mocarstwo ekspansjonistyczne, które nie szanuje „słabości militarnej" i wymaga stanowczego traktowania. W ciągu kilku miesięcy szefowie sztabu USA, zaniepokojeni skalą ekspansji Związku Radzieckiego, rozpoczęli prace nad własnymi planami wojennymi. Rozpoczęła się zimna wojna.

Operacja „Nie do pomyślenia" została ujawniona w 1998 r., ale jej mapy i plany pozostają tajne.

Markowi Grabowskiemu

Najszczersze wyrazy współczucia

i słowa otuchy

w trudnych chwilach po śmierci

TATY

składa

zespół tygodnika „Sieci",

portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce24

eprasa.pl f3c8658096

Walizka Patryka Jakiego

lidera europejskich konserwatystów w Parlamencie Europejskim, byłego sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości i wykładowcy akademickiego

Ciągle czytam i szkolę się z umiejętności zarządzanie czasem, którego zawsze jest za mało. Musi go wystarczyć na zarządzanie grupą EKR, której mam zaszczyt być współprzewodniczącym, pracę europosła oraz działalność partyjną. Równolegle codziennie prowadzę moje kanały w social mediach – jedne z największych w Polsce – gdzie nie ma miejsca na jakąkolwiek przerwę, bowiem algorytmy są bezlitosne nawet dla chwili braku dobrego contentu.

No i najważniejsze – wygospodarowanie czasu dla rodziny. A to wszystko trzeba zorganizować, będąc cztery, pięć razy w tygodniu w samolocie. To wiąże się z formalnościami: odprawami, dojazdami do parlamentu i miejsc spotkań. Wiadomo, że parlament jest zarówno w Brukseli, jak i we Francji, więc zamieniamy się tymi miejscami. Podsumowując, przy mojej liczbie obowiązków umiejętność zarządzania własnym czasem i posiadanymi zasobami odgrywa jedną z ważniejszych ról.

KSIĄŻKI

Trzeba dbać o umysł i wiedzę. Ponieważ codziennie prowadzę media społecznościowe, udzielam wywiadów i zabieram głos na forach partyjnych, chcąc, by ludzie chcieli mnie słuchać, muszę poszerzać swoją wiedzę. Codziennie czytam, zagłębiając się w kulturze naszej cywilizacji, polityce polskiej i międzynarodowej. Obszary, które mnie szczególnie interesują, to historia – głównie Polski, psychologia, zarządzanie i filozofia.

„BREVIARIUM KANONU KULTURY"

Monumentalne dzieło Pawła Mielcarka. To już jest kolejny tom „Breviarium kanonu kultury". Codziennie czytam po trzy, cztery strony, aby zgłębiać to, co otrzymaliśmy w darze od przodków, aby nie zaginęło i abyśmy pamiętali, skąd jesteśmy. Wiadomo, że człowiek nie żyje sam dla siebie.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Patryka Jakiego, Schutterstock (x3)

eprasa.pl f3c8658096

ANALOGOWY NOTES

Dziś młodzi ludzie notują lub nagrywają wszystko w telefonach, będąc stale narażeni na strzały dopaminy rozpraszające człowieka. Dlatego korzystam z tradycyjnego notesu, którego nic nie zastąpi. Sam proces odręcznego pisania prowadzi do głębszego przetwarzania informacji.

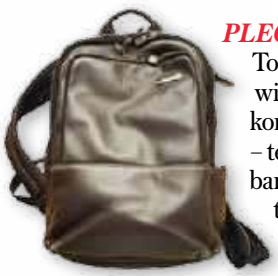

PLECAK

To coś, co wyróżnia mnie na tle większości polityków, którzy korzystają raczej z toreb czy walizek – te, powiedzmy sobie szczerze, są bardziej eleganckie. Natomiast plecak to mój element charakterystyczny z walorami zdrowotnymi dla pleców.

AUDIOBOOKI

Nieodłącznym elementem mojej walizki są słuchawki. Gdyby przeliczyć czas, który często spędzam w podróży – dojazd na lotnisko, stanie w kolejce, czekanie, aż samolot wystartuje, doleci i wyląduje, dojazd do miejsca docelowego – pewnie można byłoby to przeliczyć na cztery, a może więcej godzin dziennie. To czas, którego nie można zmarnować. Dlatego wykorzystuję go, słuchając książek, podcastów, debat albo wykładów.

SPORT

Codziennie staram się zrobić cokolwiek, nawet jeżeli miałoby to być kilka pompek, bo bez tego po prostu zaczyna brakować siły. Nie mam już 20 lat, więc jeżeli człowiek ma wytrzymać intensywny tydzień w tempie po parenaście godzin pracy dziennie i jeszcze umysł ma pracować, jak należy, to muszę dbać o formę fizyczną.

SPRZĘT DO NAGRYWANIA ROLEK

Byłem jednym z pierwszych polityków w Polsce, którzy profesjonalnie prowadzili stronę na Facebooku, a potem we wszystkich kolejnych mediach społecznościowych. Mimo że dorobiłem się ogromnych zasięgów, algorytmy są coraz bardziej wymagające, zmieniają się, dlatego trzeba dbać o to, żeby codziennie dostarczać nowe treści, które ciągle są weryfikowane przez użytkowników, więc zawsze wożę sprzęt ze sobą.

KAWA

Jestem kawoszem i każdy dzień zaczynam od kawy. Piję tylko espresso bez cukru. Dziennie wypijam kilka filiżanek mocnej kofeiny, szczególnie do czytania, bo pomagają mi w koncentracji. Najwybitniejsi teoretycy zarządzania na świecie mówią, że dziś wygrywają ci, którzy potrafią uniezależnić się od rozpraszaczy (smartfony, tablety, seriale, powiadomienia elektroniczne itp.) i dłużej skoncentrować się na zadaniu, myśleniu, analizowaniu.

URSULA VON DER LEYEN

Cały niemiecki układ von der Leyen, który nie uznaje równości państw w Unii Europejskiej, a Polskę prześladuje, to coś, z czym walczę, od kiedy dostałem pierwszy mandat do Parlamentu Europejskiego. Występując w sprawie wniosku o jej odwołanie, wymieniłem wszystko, co uważam za najważniejsze dla silnego państwa.

ZIELONY ŁAD

Tak naprawdę jest to „czerwony ład". Dlaczego czerwony? Bo bazuje na tych samych zasadach, co kiedyś marksizm, który próbuje ulepszyć człowieka, reglamentować wolność i gospodarkę. I jak kiedyś skończyło się to tragicznie, tak i dzisiaj widzimy już złe skutki – Europa stoi w miejscu, a Polska płaci za to najwięcej – jako państwo, które jest brutalnie dekarbonizowane.

IMIGRANCI

Jedyny sens sprowadzania przez zachodnich polityków do Europy problematycznych nielegalnych imigrantów to makiaweliczny plan budowania bazy nowych wyborców. UE nie ma pomysłu, jak to skończyć i widać, że będzie coraz gorzej. Za to Polska jest jeszcze w tym miejscu, kiedy może to powstrzymać u siebie i nauczyć się nie na swoich, ale na błędach innych.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl f3c8658096

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Czas skandalistów

Jan ***Pietrzak***

Jest taka tendencja medialna, aby z byle jakiej nowinki robić wielkie wydarzenie – *in plus* lub *in minus*, w zależności od konotacji politycznej *dramatis personae*. Przeciwnikom przykopać, poplecznikom przysłodzić. Pewnie nie da się uniknąć tego rodzaju zabiegów w obecnym świecie, ale zwracam uwagę, że codzienny nadmiar emocji przechodzącej w histerię w sumie prowadzi do dewaluacji ważnych tematów wszystkich opcji.

Osobnikom, którzy świadomie nakręcają społeczne burze hormonalne, nie ma co się dziwić. Za to im płacą. To wynajęci łajdacy. Natomiast szkoda ludzi nieświadomie zapędzonych w kozi róg, reagujących jak szalejące stado. Pamiętamy te ubolewania godne „czarne macice" wrzeszczących żałośnie kodziarzy... Uważali, że podkręcanie złych emocji to ich ważne zadanie. I co, czujecie się teraz lepiej po paru latach, kiedy waszą ulubioną konstytucję depcze wasz ukochany premier? Dostaliście gratyfikację z KPO?

Ogłupianie trwa. Powszechność, natręctwo ingerencji medialnej w nasze ludzkie sprawy stały się w ostatnich dziesięcioleciach tak intensywne, że budzi to lęk o zdrowy rozsądek już nie tylko nadwrażliwej młodzieży w rodzaju „ostatniego pokolenia", lecz także całych społeczności, w tym tutejszych ziomali, lokalsów, rodaków. Nasi wrogowie nie odpuszczają. Atakują ze wszystkich stron, na wszelkie sposoby.

Modne zrobiły się drony, proszę bardzo – atakują dronami w rodzaju tego, który wybuchł w Osinach obok Łukowa. To nie była jakaś zabawka, to nie był przypadek, lecz agresywna rosyjska broń. Mamy do czynienia ze skandalem. Skandalem wojskowej bezradności. Kochamy naszą armię, naszych żołnierzy, natomiast wkurza nas nieudolne dowództwo. Pytanie brzmi: dlaczego wrogi obiekt latający nie został zestrzelony? Pytanie kolejne – czy w ogóle istnieje jakaś jednostka wojskowa, która potrafi adekwatnie zareagować na atak? Podobne pytanie można postawić w zupełnie innej, pozornie odległej dziedzinie. Chodzi o Instytut Pileckiego w Berlinie. Jeżeli już stanął tam, na wrogiej ziemi, pomnik bohaterskiej polskości, by służyć prawdzie, dlaczego muszą nim zawiadywać osoby o antypolskiej mentalności? Sytuacja jest wysoce niestosowna, wręcz skandaliczna. Czy jesteśmy w stanie wpłynąć na tego rodzaju skandal? Czy po dwóch latach eurorządów jesteśmy już tak ubezwłasnowolnieni, że nie mamy żadnych możliwości ratowania polskiej godności? To jest skandal!

Cała nadzieja w panu prezydencie. Pierwsza Rada Gabinetowa toczyła się pod ciężarem gigantycznej dziury budżetowej im. Tuska (jeżeli dziura może mieć ciężar). Uznajmy, że to poetycka metafora. Ważne jest to, co się z tą dziurą stanie, kto w nią wpadnie, co znajdzie na dnie... itd. To dopiero będzie skandal!

Polska zbiera plony nienawiści

Samuel *Pereira*

Polska polityka od dawna przypomina pole, na którym zamiast ziaren zgody i porozumienia sialiśmy nienawiść. Rząd Donalda Tuska zebrał właśnie jej plon – gorzki i brutalny. Pobicie byłego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego nie jest przypadkiem, lecz konsekwencją klimatu, jaki świadomie budowano. Najpierw w sieci, potem na ulicach, a dziś w realnej przemocy wobec człowieka, który pełnił funkcję publiczną.

Nie wolno pominąć faktu, że to minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński odebrał Niedzielskiemu ochronę, choć były minister od miesięcy otrzymywał groźby. Decyzja nie była pomyłką, lecz elementem nowej linii przyjętej przez Tuska po rekonstrukcji – ostrzej, radykalniej, bardziej polaryzacyjnie. W praktyce oznaczało to, że przeciwnik polityczny miał zostać wystawiony na ostrzał. Teraz konsekwencje widać gołym okiem – ciosy, krew i szpital.

Trudno zapomnieć sceny z pandemii: wyzwiska pod adresem ministrów, krzyki o „plandemii", groźby karalne z mównicy sejmowej. W tym samym czasie „elity" opozycji flirtowały z ośmiogwiazdkową agresją, uśmiechały się do transparentów i piorunów. Kiedy Tusk objął władzę, nie zatrzymał tej spirali. Przeciwnie – uznał, że nienawiść jest użytecznym narzędziem do mobilizowania elektoratu.

Dziś Niedzielski – człowiek, który podejmował trudne decyzje w czasie pandemii – ostrzega, że Polska znalazła się na równi pochyłej. I ma rację. To państwo, w którym władza cynicznie toleruje hejt, a nawet tworzy polityczne ramy, by eskalował. A kiedy ofiara wskazuje winnych, premier i jego ministrowie udają zdziwionych, składają deklaracje: „Zero litości", choć to właśnie oni od lat hodowali ten język.

Kto poniesie odpowiedzialność? Fakty są nieubłagane: rząd Tuska zasiał ziarno nienawiści i dziś zbiera jej plon. Jeśli ta polityka się nie zmieni, rachunek zapłacą zwykli Polacy – swoim zdrowiem, bezpieczeństwem, a może i życiem.

eprasa.pl f3c8658096

Z Tuskiem Polska zawsze będzie z tyłu

Bruksela szykuje nowy budżet na lata 2028–2034 i już dziś wiadomo jedno: to nie będzie projekt dla polskiego rolnika ani dla polskich regionów. Najwięksi wygrani? Unijna biurokracja, rosnący fundusz obronny i pakiety migracyjne. Najwięksi przegrani? Ci, którzy przez ostatnie dekady wierzyli, że Unia to wspólnota solidarności, a nie klub silnych dyktujących warunki słabszym. Całe szczęście grono naiwniaków zmniejsza się z każdym rokiem.

Polska weszła do Unii 20 lat temu z nadzieją na wyrównywanie szans. Polityka spójności i dopłaty rolne miały być mechanizmami, które pozwolą nam dogonić Berlin i Paryż. Tymczasem dziś Bruksela mówi wprost: „Priorytety się zmieniły". A rząd Tuska nie tylko nie protestuje, lecz wręcz ochoczo wpisuje Polskę w nurt „europejskiej odpowiedzialności", czyli odpowiedzialności finansowej za cudze błędy.

Cięcia w dopłatach rolnych oznaczają jedno: jeszcze więcej upadłych gospodarstw i jeszcze szybsze przejmowanie ziemi przez zagraniczny kapitał. Mniej środków na spójność to wolniejsze inwestycje w regionach i zahamowanie rozwoju infrastruktury. Krótko mówiąc: zamiast gonić starą Unię, znowu będziemy oglądać jej plecy.

Tusk lubi mówić, że „nikt go nie ogra", jakby był w centrum decyzyjnym europejskich salonów. Problem w tym, że w centrum zawsze siedzą ci, którzy rozdają karty. Polska zaś w trakcie jego rządów – z entuzjazmem – ustawia się w roli płatnika netto politycznych fanaberii Brukseli. Zamiast walczyć o interes polskiego rolnika i polskiego podatnika, premier woli się fotografować na unijnych szczytach i powtarzać mantrę o „jedności", „praworządności" i „europejskiej rodzinie".

Nowy budżet UE to test. Test na to, czy polska władza potrafi jeszcze powiedzieć „nie", gdy gra toczy się o przyszłość całych regionów naszego kraju. Dziś jednak wygląda na to, że Polska oddała głos w tej sprawie i jest wpatrzona w tylne światła hamowania niemieckich oraz francuskich samochodów, nie podejmując nawet próby ich wyprzedzenia.

Arkadiusz Mularczyk

Nowa wyspa, nowa plansza

Z aktorką Igą Górecką-Hanuszkiewicz rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. TVP

Widzowie łączyli panią z rolami w serialach „Stulecie winnych", „M jak miłość", „Bunt" czy „Skazana", a potem nastąpiła przerwa...

Iga Górecka-Hanuszkiewicz: Rok temu zostałam mamą i przez dłuższy czas poświęcałam się głównie temu zadaniu. Drugi sezon serialu „Profilerka" – którego akcja rozgrywa się tym razem na Kaszubach i który trafi do jesiennej ramówki TVP – będzie moim powrotem na ekran.

Można powiedzieć, że przyjęła pani najważniejszą i niekończącą się rolę. Co zmieniła w pani życiu?

Mam wrażenie, że otworzyła się dla mnie jakaś nowa wyspa, nowa plansza. Więcej rozumiem i więcej wiem. Pozwoliło mi to m.in. na poszerzenie relacji z kobietami starszymi ode mnie. Najczęściej czuję ich zrozumienie i wsparcie. W ogóle doświadczam dużo nowego. Bywa to niełatwe, ale wszystko, co najpiękniejsze w macierzyństwie, absolutnie wynagradza wszelkie trudy.

Czy macierzyństwo wpłynęło też na pani rolę w „Profilerce Jastrzębie"?

To moja pierwsza serialowa mama. Wcieliłam się w postać Kaliny Barskiej, matki głównej bohaterki. Julia Wigier (gra ją Wiktoria Gorodecka) jako dziecko była świadkiem zabójstwa matki, którą – jak się teraz okazuje – interesowało się SB. W drugim sezonie wątek Kaliny będzie kluczowy dla akcji. Bardzo nieoczywisty i jednocześnie bardzo wciągający – sama tego doświadczyłam. Miałam znacznie więcej danych, a rozwiązanie tej zagadki bardzo mnie zaskoczyło. Sądzę więc, że serial dostarczy dużo emocji także widzom.

eprasa.pl f3c8658096

Ostatnia nadzieja Polaków

W czasie lewackiej nagonki na heteroseksualnych mężczyzn i szydery mainstreamu z kobiet z instynktem macierzyńskim wybór na prezydenta Polski wzorcowego samca alfa z przykładną matką Polką w roli pierwszej damy daje nadzieję na odbicie wahadła w stronę normalności.

W jednym z wywiadów radiowych ówczesny dyrektor Muzeum II Wojny Światowej Karol Nawrocki wyznał, że ukształtowały go „historia, boks i książki Waldemara Łysiaka". Rzetelna wiedza, aktywny sport i wartościowa kultura budują nas i naszą przyszłość. Nie jest to łatwa droga, wymaga intelektualnego wysiłku, „krwi, potu i łez" na treningach oraz świadomych poszukiwań uniwersalnych wartości w sztuce. W epoce destrukcji edukacji, aktywności fizycznej ograniczonej do kibicowania „naszym" na stadionach i promowaniu obscenicznej antykultury to wybór idący pod prąd aktualnych trendów.

Dobry przywódca kraju nie musi znać się na wszystkim. Ma od tego ekspertów. Podczas pandemii COVID-19 (którą z dnia na dzień „unieważnił" Władimir Putin) można było uniknąć wielu tragedii. Wystarczyło się wsłuchać w opinię wybitnych profesorów wirusologów, sceptycznie nastawionych do poczynań big pharmy. W zderzeniu z bankowymi oszustami (chwilówki, Amber Gold, kredyty frankowe) tylko władza dysponuje możliwościami monitorowania i zapobiegania takim praktykom.

Może też kreować pożądane wzorce. W Japonii i w Chinach sporty walki wprowadzane są obowiązkowo do szkół. *Si vis pacem, para bellum* (Chcesz pokoju, szykuj się do wojny).

Wartościową młodzież kształtuje się przez promowanie prawdy, dobra i piękna. W Polsce ogromnymi pieniędzmi z KPO wspiera się dewiacyjną, ojkofobiczną, pokraczną „kulturkę". Gdyby choć niewielką część tej kwoty przeznaczyć na odbudowanie polskiej tożsamości (piosenki, teledyski, festiwale, widowiska teatralne, filmy fabularne czy musicale), żylibyśmy dziś w normalnym, bezpiecznym kraju. Wierzę, że prezydent RP ma już tego świadomość.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: LIUDMYLA KAZAKOVA, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS, #NAWROCKI2025/X.COM, MEN, SHUTTERSTOCK/ANELO, WDG PHOTO

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 05/0325/F/ZAL

eprasa.pl f3c8658096

Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

Pomagamy, troszczymy się, jesteśmy blisko.

Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy

FUNDACJA STEFCZYKA

eprasa.pl f3c8658096

Sorosa napad na Polskę

Orzeczenia europejskich sędziów związanych z organizacjami George'a Sorosa i działania ich krajowych kolegów – prawniczych aktywistów – wysadziły w powietrze reformę sądownictwa, torując Donaldowi Tuskowi drogę do władzy w Polsce

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Jednym z największych sukcesów postępowej lewicy było wmówienie światu, że opowieści o wielkich wpływach Sorosa to teoria spiskowa, z której w dobrym towarzystwie wypada się tylko śmiać. Pomogli w tym konserwatyści, doszukujący się ręki starego Węgra dosłownie wszędzie, także tam, gdzie nigdy nie gmerała. Dziś hasło „Soros" wywołuje więc ekscytację, a także często pogardliwe wzruszenie ramion.

Tak było w przypadku prób przebicia się do opinii publicznej z informacjami o wpływach Sorosowych pieniędzy na europejski system sądownictwa. Teraz o śmiechy i lekceważenie będzie salonowi nieco trudniej. Fakty wydostały się bowiem poza niszowe, konserwatywne gazety i fachowe, niezrozumiałe dla przeciętnego odbiorcy raporty.

ALE JAZDA

„Ale jazda. »Le Figaro« zdecydowało się zająć tematem wiele lat zakopywanym pod dywan, o którym środowiska prawnicze wiedziały" – napisał na platformie X jeden z najbardziej znanych dzisiaj polskich adwokatów mec. Bartosz Lewandowski.

„Le Figaro" to najstarszy i najpoczytniejszy dziennik we Francji. Gazeta jest uznawana za głos konserwatywnej części francuskiej klasy średniej i wyższej, przeciwwagę dla lewicowo-liberalnego „Le Monde". Lefigaro.fr jest jedną z najczęściej odwiedzanych stron informacyjnych nad Sekwaną. To przeciwieństwo niszy.

I właśnie w „Le Figaro" odpalono bombę: obszerny, dobrze udokumentowany i świetnie napisany raport na temat

Fot. Hermann Bredehorst/East News

eprasa.pl f3c8658096

George'a Sorosa oraz jego wpływów w Europie. Ale nie tylko. Możemy w nim przeczytać o działaniach Węgra w Republice Południowej Afryki i w Chinach, o porzuceniu przez wielkiego filantropa swoich chińskich współpracowników po masakrze na pl. Tiananmen, o w pewnej mierze zrealizowanych pragnieniach, by transformacja ustrojowa w Europie Wschodniej dokonała się na jego, Sorosową, modłę.

„Szybko jednak Soros spojrzał szerzej – marzył o tym, by towarzyszyć procesowi budowania Unii Europejskiej, którą postrzegał jako spełnienie swojej koncepcji społeczeństwa otwartego, rozwijanej jeszcze w Londynie pod wpływem myśli Karla Poppera" – czytamy we francuskim dzienniku.

Jak zauważa „Le Figaro", paradoksalnie do urzeczywistnienia tego posłużyły Sorosowi obawy Europejczyków dotyczące migracji i zniesienia wewnętrznych granic w Unii. Odrzucenie przez Danię w 1992 r. traktatu z Maastricht wywołało zawirowania na rynkach, które wykorzystali spekulanci, atakując waluty znajdujące się w mechanizmie kursów ERM (European Exchange Rate Mechanism). Najsłynniejszym z takich ataków był ten przeprowadzony przez George'a Sorosa, w wyniku którego 16 września 1992 r. Wielka Brytania została zmuszona do wycofania z ERM funta szterlinga. Skarb Jej Królewskiej Mości stracił prawie 3,5 mld funtów, Soros zarobił ok. 1 mld.

BRACTWO MUZUŁMAŃSKIE, ABORCJA I POLSKI WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Pieniądze posłużyły Węgrowi do rozwijania swojej sieci organizacji pozarządowych. Te z kolei wspierały najróżniejsze cele. Otwarte granice? Jak najbardziej. Pieniądze dla imigrantów? A jak! Problematyka mniejszości seksualnych? Oczywiście, że tak. Prostytucja? Jaka prostytucja, przecież to normalna praca seksualna! Aborcja? Całym sercem za!

Soros był wszędzie tam, gdzie go potrzebowano.

Jak podaje „Le Figaro", wsparcia wielkiego filantropa potrzebowali także powiązani z Bractwem Muzułmańskim aktywiści CCIF (Collectif contre l'islamophobie en France, Kolektyw przeciwko islamofobii we Francji). Organizacja otrzymała od Sorosa dziesiątki tysięcy euro. Po zamachu terrorystycznym na nauczyciela Samuela Paty'ego w październiku 2020 r. francuski minister uznał CCIF za współodpowiedzialny za nagonkę na pedagoga, określił aktywistów mianem „wrogów Republiki" i rozwiązał organizację dekretem.

„Europa stała się dla Sorosa laboratorium idei – narzędziem były m.in. Europejski Trybunał Praw Człowieka oraz badania naukowe wspierane przez Open Society" – piszą autorzy „Le Figaro".

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Bo jednym z eksperymentów przeprowadzonym w Sorosowym laboratorium był zmasowany atak na Polskę w czasie rządów PiS za pomocą orzeczeń zdominowanego przez jego ludzi ETPC przy walnym udziale polskich NGO i stowarzyszeń prawników korzystających z hojności Węgra. Eksperyment zakończył się powodzeniem: polska reforma wymiaru sprawiedliwości została wykolejona, a władzę przejęła właściwa, popierana przez rodzinę Sorosów ekipa.

TRYBUNAŁ PO ZNAJOMOŚCI

ETPC jest międzynarodowym sądem orzekającym w sprawie skarg na naruszenie zapisów Konwencji o ochronie praw człowieka. Tworzy go 46 sędziów, po jednym z każdego państwa będącego sygnatariuszem konwencji.

O tym, kto zasiada w ETPC, w praktyce decyduje klucz ideologiczno-polityczny. Prawnicy związani z lewicą mają znacznie większe szanse zasiąść w trybunalskim fotelu niż konserwatyści. Ważna jest też proweniencja rządu desygnującego kandydatów (z trzech przedstawionych przez dane państwo Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy wybiera jednego). Po tym, jak w 2021 r. upłynęła kadencja Krzysztofa Wojtyczka, rządzona przez PiS Polska nie mogła przeforsować nowego kandydata – nie przedstawiali oni podobno „najwyższego poziomu moralnego". Kiedy zaczął rządzić Donald Tusk problem zniknął. Polską sędzią w ETPC jest dziś była członkini Unii Wolności Anna Adamska-Gallant.

Jak wynika z wydanego także po polsku raportu Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości (European Centre for Law and Justice, ECLJ), na który powołują się dziennikarze „Le Figaro", w latach 2009–2019 aż 18 sędziów ETPC było bezpośrednio związanych z organizacjami George'a Sorosa lub inicjatywami finansowanymi przez jego organizacje. Stanowili ok. 20 proc. wszystkich sędziów Trybunału. Do tego należało doliczyć wielu innych, działających w NGO, luźniej współpracujących z Open Society Foundations bądź podzielających jej wartości. W kolejnych latach ta liczba się zmniejszała (chwilowo rodzina Sorosów skupiła się na USA i walce z Donaldem Trumpem), ale wciąż była znacząca.

SĄDY PRZESTAŁY BYĆ SĄDAMI

Miało to daleko idące konsekwencje, także dla Polski. 7 maja 2021 r. ETPC wydał wyrok w sprawie Xero Flor przeciwko Polsce. Uznał w nim, że składy Trybunału Konstytucyjnego, w których zasiadali sędziowie wybrani przez Sejm w grudniu 2015 r., nie spełniają kryterium „sądu ustanowienia ustawą". Zgodnie z narracją przeciwników Zjednoczonej Prawicy sędziowie ci byli „dublerami", który zajęli w TK już obsadzone miejsca. Potwierdzenie tej interpretacji przez europejski trybunał zostało z miejsca uznane za przełom. Pamiętamy: sądy przestały być sądami, sędziowie sędziami, ustawy przestały obowiązywać itd.

„Wyrok ETPC wywołał euforię wśród prawników broniących rządów prawa w Polsce. »Europa naprawia bezprawie rządu PiS« – skomentował prof. Wojciech Sadurski. Wyrok wywołał też paniczną reakcję Julii Przyłębskiej i polityków PiS. Bo wyroki TK z udziałem dublerów mogą być podważone" – entuzjazmował się portal Oko.press.

Przewodniczącą składu Trybunału w tej sprawie była Ksenija Turković, sędzia z Chorwacji, desygnowana do ETPC w 2012 r., a więc w czasie rządów socjaldemokratycznego

eprasa.pl f3c8658096

premiera Zorana Milanovicia (kiedy Moskale przypuścili w 2022 r. szturm na Kijów, sprzeciwiał się on dozbrajaniu Ukraińców przez kraje NATO i przekonywał, że Krym jest rosyjski).

Ta sama Turković przewodniczyła składom orzekającym w innych głośnych sprawach dotyczących Polski. Pod jej przewodem sędziowie ETPC uznali np., że Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego została wadliwie powołana i „narusza europejską konwencję o ochronie praw człowieka" (sprawa Reczkowicz przeciw Polsce), Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych „nie jest niezawisłym i bezstronnym sądem ustanowionym zgodnie z ustawą" (Dolińska-Ficek i Ozimek przeciwko Polsce), a wybór na wniosek zreformowanej KRS sędziów do Izby Cywilnej SN sprawia, że izba ta też nie jest sądem (Advance Pharma przeciwko Polsce). Rzecz jasna takim, jak to rozumie Turković.

Ksenija Turković jest profesorem na Uniwersytecie w Zagrzebiu, doktorat robiła na Yale University. W latach 2006–2011 pracowała w komitecie kampanii przeciw przemocy wobec kobiet będącej paneuropejską inicjatywą Rady Europy, z której wyrosła słynna konwencja stambulska. Z organizacjami George'a Sorosa związała się już w latach 90., kiedy została członkiem zespołu badawczego Instytutu Społeczeństwa Otwartego na Chorwację. W latach 2005–2006 wchodziła w skład jego zarządu. W raporcie Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości Turković jest wymieniana jako przykład działania w konflikcie interesów: orzekała w sprawie, w której Sorosowa Fundacja Społeczeństwa Otwartego interweniowała jako „strona trzecia".

– Czy jej poglądy i praca dla Sorosa miały wpływ na treść orzeczeń dotyczących Polski? Moim zdaniem tak – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" mec. Bartosz Lewandowski.

WYCHOWANKOWIE SOROSA

– Artykuł w „Le Figaro" jest ważny przede wszystkim dlatego, że w bardzo poważnym, mainstreamowym medium powiedziano głośno to, o czym w środowisku prawniczym wszyscy wiedzieli od dawna. A więc że Europejski Trybunał Praw Człowieka nie jest neutralnym światopoglądowo ciałem, obiektywnie rozpatrującym każdą sprawę, która tam trafia. Przeciwnie: ETPC jest bardzo mocno zideologizowany, zdominowany przez jedną, lewicowo-liberalną opcję polityczną. Nie może być inaczej, skoro spora część zasiadających w nim sędziów to wychowankowie organizacji George'a Sorosa. I to zostało tam powiedziane wprost – podkreśla prawnik.

Wychowankiem Sorosa bez wątpienia jest Adam Bodnar. Były minister sprawiedliwości ukończył studia podyplomowe na ufundowanym i finansowanym przez wielkiego spekulanta Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie (po wprowadzeniu przez rząd Viktora Orbána nowych przepisów dotyczących szkolnictwa wyższego uczelnia przeniosła się do Wiednia). Mentorem i współautorem prac naukowych Bodnara był pracujący na Sorosowej uczelni András Sajó, w latach 2008–2017 sędzia ETPC.

Eksminister sprawiedliwości przez wiele lat był związany z założoną przez Sorosa i wspieraną finansowo przez jego organizacje Fundację Batorego (w najnowszych sprawozdaniach jako darczyńca Batorego figuruje m.in. Open Society Foundation, czyli Fundacja Społeczeństwa Otwartego). Od 2004 do 2015 r. pracował we wspieranej finansowo przez Sorosa Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. W HFPC realizował programy opłacane przez Open Society Foundation. A w czasach rządów PiS stał się liderem ruchu oporu przeciwko władzy i jej reformom sądownictwa.

> Pieniądze posłużyły Sorosowi do rozwijania swojej sieci organizacji pozarządowych. Te z kolei wspierały najróżniejsze cele. Otwarte granice? Jak najbardziej. Pieniądze dla imigrantów? A jak! Problematyka mniejszości seksualnych? Oczywiście, że tak. Prostytucja? Jaka prostytucja, przecież to normalna praca seksualna! Aborcja? Całym sercem za!

PRZYJACIELE SĄDU

Miało to także wymiar związany z funkcjonowaniem ETPC. Jako Rzecznik Praw Obywatelskich Bodnar występował przed Trybunałem w sprawach przeciwko Polsce. Korzystał z instytucji *amicus curiae* (przyjaciela sądu), składając opinie dotyczące np. polskich przepisów dotyczących kontroli operacyjnej.

Amicus curiae jest kolejnym – oprócz związków personalnych sędziów i reprezentowaniem skarżących przez prawników związanych z Sorosem – narzędziem wpływu Węgra na europejskie orzecznictwo. Formuła ta umożliwia przedstawienie ETPC elementów oceny rozpatrywanej sprawy przez osobę prywatną albo prawną niebędącą stroną w postępowaniu. Autor interwencji staje się „stroną trzecią". Może nią być – jak w przypadku Bodnara – instytucja Rzecznika Praw Obywatelskich. A także stowarzyszenie sędziów korzystające z dobroci serca jakiegoś filantropa. A najlepiej, jak mamy udział jednych i drugich, a także jeszcze innych.

Tak było w sprawie Waldemara Żurka przeciwko Polsce. Trybunał dopuścił korzystne dla dzisiejszego ministra sprawiedliwości uwagi złożone przez Europejską Sieć Rad Sądownictwa, Rzecznika Praw Obywatelskich Marcina

eprasa.pl f3c8658096

Wiącka, Amnesty International, Fundację Sędziowie dla Sędziów, Helsińską Fundację Praw Człowieka, Stowarzyszenie Sędziów Themis oraz Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia.

W tych dwóch ostatnich, doskonale znanych wszystkim, którzy choć trochę interesują się polską polityką, działał Waldemar Żurek jako sędzia. Członkiem zarządu Themis był w chwili, gdy ETPC wydał korzystne dla niego orzeczenie w sprawie, uznając, że Żurek był szykanowany przez państwo polskie poprzez odwołanie go z Krajowej Rady Sądownictwa.

CZWARTY ODCZYNNIK

Tu dochodzimy do czwartego z odczynników w laboratorium Sorosa: wspierania (w polskim przypadku pośrednio) z pieniędzy spekulanta organizacji prawniczych. Działania Iustitii były finansowane z kasy Fundacji Batorego (a ta, jako się rzekło, z pieniędzy Sorosa). Dla przykładu – w 2022 r. stowarzyszenie otrzymało dotację w wysokości 23 319 euro na projekt „Praworządność Wspólna Sprawa". Rok później było to już 44 639 euro. Themis nie dostawało dotacji. Prowadziło jednak np. projekt „Wspólnie przeciw dyskryminacji" przy – jak czytamy na stronie stowarzyszenia – „wsparciu finansowym z Funduszy Europejskiego Obszaru Gospodarczego w ramach programu »Obywatele dla Demokracji« zarządzanego przez Fundację im. Stefana Batorego oraz Polską Fundację Dzieci i Młodzieży".

Co robiły Iustitia i Themis w latach 2015–2023 – wszyscy wiedzą. Sędziokracja walcząca.

Pieniądze z Batorego płynęły także do organizacji prokuratorów. Przypomniał o tym Piotr Turek, śledczy z Krakowa. „Wstrząsający, świetnie udokumentowany raport »Le Figaro« na temat działalności George'a Sorosa. Okazuje się, że ten sam człowiek, który finansuje stowarzyszenia Lex Super Omnia i Iustia, finansuje również organizacje integrystów muzułmańskich. Dowiadujemy się też, że sędziowie ETPC powiązani ze stowarzyszeniami finansowanymi przez Sorosa wydawali wyroki w sprawach wnoszonych do ETPC przez te stowarzyszenia. A to tylko niektóre smaczki z raportu" – napisał na platformie X.

Lex Super Omnia to stowarzyszenie jak najbardziej demokratyczne i walczące. Przez lata była z nim związana słynna prokurator Ewa Wrzosek. Jego przedstawiciele natychmiast zażądali od Turka usunięcia wpisu.

„Prokurator Piotr Turek próbuje wmówić, że George Soros jest »sponsorem« Lex Super Omnia. To FAŁSZ" – zapewnili na platformia X.

Prokurator Turek nie usunął wpisu, przynajmniej do zamknięcia tego numeru naszego tygodnika. Bo i nie miał ku temu powodu. W sprawozdaniach Fundacji Batorego (dla pewności powtarzamy: jej darczyńcą są organizacje związane z rodziną Sorosów) można bez problemu wyczytać, że w 2023 r. dotowała ona Lex Super Omnia kwotą 100 tys. zł. Poszły one na „upowszechnienie projektu ustawy o Prokuraturze, warsztaty medialne dla członków Stowarzyszenia uczestniczących w spotkaniach obywatelskich, przygotowanie i promocja dorocznego raportu o stanie prokuratury", a nawet na „udział przedstawicieli Stowarzyszenia w Festiwalu Pol'and' Rock Festival 2023". Pięknie!

SZYBCIEJ, NIŻ MYŚLIMY

Czy Polsce i innym krajom naszego regionu uda się wyzwolić spod wpływów europejskich sądów zdominowanych przez sorosowców?

– Mogą w tym pomóc właśnie takie wydarzenia, jak artykuł w „Le Figaro". Trzeba uświadamiać opinii publicznej, czym są ETPC i TSUE, kto w nich zasiada, jakie sieci powiązań spajają tych ludzi. Zwłaszcza w kontekście panujących dziś nastrojów społecznych, przede wszystkim w odniesieniu do migracji i suwerenności państw w obszarze polityki migracyjnej – mówi mec. Bartosz Lewandowski.

Prawnik przypomina, że zgodnie z art. 15 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka państwa mogą zawiesić jej obowiązywanie. Z klauzuli derogacyjnej można skorzystać m.in. w przypadku zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego.

– A za takie można z pewnością uznać masową, niekontrolowaną migrację, za którą opowiadają się sędziowie ETPC. Państwa nie chcą się już dłużej poddawać presji i coraz częściej po prostu lekceważą orzeczenia Trybunału w tej materii. Jeśli ETPC pójdzie z nimi na otwartą wojnę, władza europejskich sędziów może się skończyć szybciej, niż myślimy – puentuje prawnik.

REKLAMA

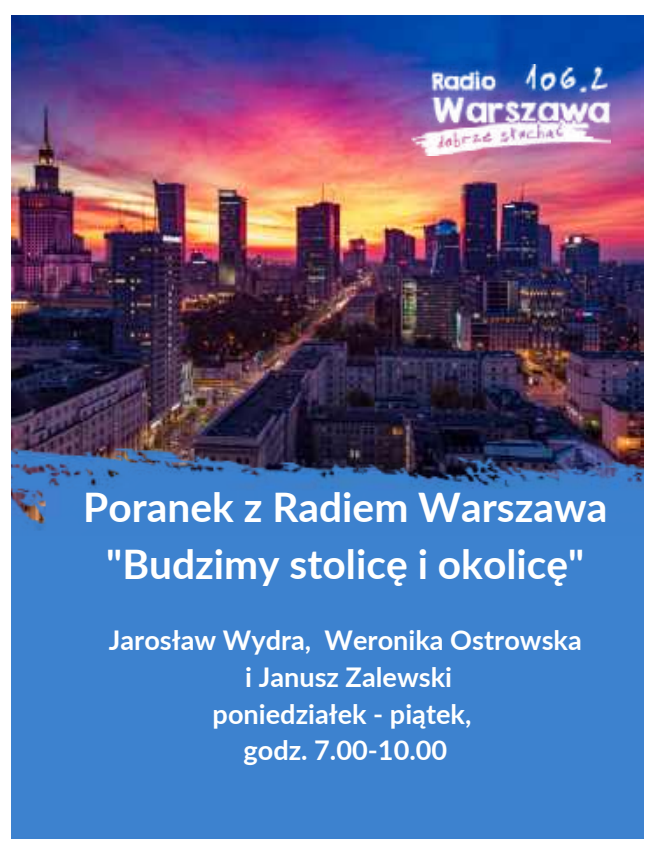

40/0825/F

eprasa.pl f3c8658096

Rosyjskie testy ataku dronowego na Polskę?

MAREK BUDZISZ

Wydarzenie w Osinach nie jest przypadkowym incydentem, a elementem przemyślanej strategii Kremla. Rosjanie do czegoś się przygotowują, budując system zdolny do precyzyjnego naprowadzania ich dronów na cele w Polsce i na Litwie. Dotarliśmy do raportu ukraińskiego Instytutu Zaawansowanych Technologii Wojskowych, który może potwierdzać tę tezę

W listopadzie ub.r. w czasie pokazów lotniczych w mieście Zhuhai Chińczycy pokazali swa najnowszą konstrukcję, która zaskoczyła zachodnich ekspertów. Chodzi o bezzałogowy samolot Jetank, przemieszczający się na wysokości 15 tys. m, który może zabrać na pokład nawet 6 t ładunku, a ponadto jest „samolotem matką" dla „tuzinów" – jak napisał chiński dziennik „Global Times" – mniejszych dronów. Zdaniem ekspertów pojawienie się tej konstrukcji oznacza, że wchodzimy w epokę „rojów", które mogą startować z pokładów zdalnie pilotowanych samolotów bezzałogowych zdolnych do zabrania dziesiątek, a docelowo nawet setek mniejszych dronów, zarówno rozpoznawczych, jak i bojowych.

Ukraiński wywiad, który bardzo uważnie śledzi ewolucję systemów bezzałogowych, informuje, że Chińczycy pracują nad kolejnym, jeszcze większym modelem samolotu zdolnego do przenoszenia dronów, który ma mieć ładowność ciężarówki i wziąć na pokład „setki" małych dronów bojowych służących do zagłuszania systemów radarowych przeciwnika i zdolnych do zaatakowania celów. Może się zatem okazać, że już w nieodległej przyszłości będziemy

Fot. mr_tigga/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl f3c8658096

musieli przygotować się na sytuację ataku dronowego na masową skalę, w czasie którego przeciwnik będzie zdolny użyć jednocześnie nie setek, ale tysięcy dronów. Jeśli Rosjanie wejdą w posiadanie takich systemów, to ich atak może nastąpić z przestrzeni powietrznej obwodu królewieckiego czy Białorusi, a to oznacza, że nie będziemy mieli dużo czasu na wykrycie zagrożenia i jego neutralizację.

Tego typu silniki napędzają rosyjskie drony wzorowane na irańskich Szachedach

DRON WABIĄCY CZY BOJOWY?

Niedawny incydent w Osinach na Lubelszczyźnie, gdzie wybuchł dron najprawdopodobniej rosyjskiej konstrukcji, pokazuje, jak słabo jesteśmy przygotowani na radzenie sobie z tego rodzaju zagrożeniami. Co wiemy, a raczej – czego nie wiemy na temat tego wydarzenia?

W jednym z pierwszych komunikatów Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych informowało, że nie „wykryło wtargnięcia" w naszą przestrzeń powietrzną. Jak napisano, „po przeprowadzeniu wstępnych analiz zapisów systemów radiolokacyjnych minionej nocy nie zarejestrowano naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej ani z kierunku Ukrainy, ani Białorusi". Później w specjalnym komunikacie Ministerstwa Obrony Narodowej poinformowało o „rosyjskiej prowokacji" i eksplozji w Osinach rosyjskiego drona wabika, czyli najprawdopodobniej systemu Gerbera. Prokuratura prowadząca dochodzenie w sprawie tego, co się stało w Osinach, informowała, że „dron nadleciał prawdopodobnie z terenu Białorusi".

Ten komunikat budzi, najdelikatniej mówiąc, sporo wątpliwości, bo ukraińskie media, w tym renomowany portal Militarnyj, piszą o dronie, który został wykryty ok. 23.30 czasu ukraińskiego, a zatem półtorej godziny przed momentem wtargnięcia w przestrzeń powietrzną Rzeczypospolitej. Ukraińskie grupy monitorujące po raz pierwszy zaobserwowały dron, który nas interesuje, kiedy przemieszczał się z obwodu żytomierskiego do

Szczątki rozbitego rosyjskiego drona Geran-2 na jednej z plenerowych kijowskich wystaw sprzętu wojskowego

chmielnickiego. Kolejna informacja napłynęła z obwodu tarnopolskiego 20 min później – o 23.49, a ostatnia o 0.21 z rejonu Złoczowa, gdzie dron został zarejestrowany przez system detekcji dźwiękowej. Po drodze były jeszcze dwie informacje na temat jego przelotu, a w obwodzie lwowskim ogłoszono nawet alarm związany z jego obecnością. Wszystkie te informacje umieszczono na powszechnie dostępnych platformach internetowych informujących ludność o zagrożeniach związanych z pojawieniem się rosyjskich systemów bezzałogowych.

Oznacza to, że jeśli polskie siły zbrojne nie wiedziały o zagrożeniu, to zapewne nie monitorują otwartych kanałów informacji i nie utrzymują komunikacji z ukraińskimi służbami. Albo ktoś nie mówi prawdy.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w specjalnej nocie protestacyjnej przekazanej Federacji Rosyjskiej pisze o „prowokacji" i wzywa do zaprzestania naruszania naszej przestrzeni powietrznej, milczeniem pomijając kwestię, czy dron nadleciał z kierunku ukraińskiego, czy białoruskiego. Jeśli z tego ostatniego, to warto zapytać, dlaczego podobnej noty nie skierowano pod adresem Mińska i skąd wiemy, że dron został wypuszczony przez Rosjan, a nie Białorusinów.

Ale to niejedyne zagadki związane z incydentem w Osinach. Na podstawie ujawnionych zdjęć obiektu, który spadł w Osinach, ukraińscy analitycy są zdania – odmiennie niż dowództwo naszego lotnictwa i prokuratura – że mamy do czynienia nie z dronem wabiącym, ale bojowym geranem, który wyposażony może być nawet w 90-kg głowicę. Ten, który eksplodował w Polsce, najprawdopodobniej jej nie miał, co by wskazywało na to, że został celowo zmodyfikowany, bo te, które atakują cele na Ukrainie, mają znacznie większą siłę rażenia.

Na jakiej podstawie Ukraińcy argumentują, że na Lubelszczyźnie eksplodował geran? Ma o tym świadczyć znaleziony ma miejscu charakterystyczny czterocylindrowy silnik typu bokser, kopia niemieckiego MD550, który jest montowany właśnie w rosyjskich bezzałogowych statkach powietrznych takich jak Geran czy Harpia. Rosyjskie drony wabiące, takie jak gerbera, to tanie konstrukcje, w których nie stosuje się tego rodzaju silników. O ile bowiem według różnych szacunków geran kosztuje 50–70 tys. dol., to gerbera co najwyżej kilkaset. Jest też zbudowana ze sklejki i pianki, choć ma identyczny kształt co rosyjskie drony bojowe.

Fot. Dmytro Stolarenko/Shutterstock

eprasa.pl f3c8658096

POLSKIE KARTY SIM W ROSYJSKICH DRONACH

Na Politechnice Kijowskiej działa specjalny Instytut Zaawansowanych Technologii Wojskowych, a pracujący tam eksperci zajmują się przede wszystkim wojną radioelektroniczną, w tym badaniem rosyjskich rozwiązań w zakresie naprowadzania systemów bezzałogowych. Kieruje nim Jurij Jechanurow, były premier Ukrainy, którego matka, jak mi mówił, była Polką i stąd jego sympatia oraz zaangażowanie w kwestie bezpieczeństwa także naszego kraju. Wyniki pracy instytutu są na tyle interesujące, że warto zwrócić na nie uwagę również w Polsce.

Pod koniec czerwca pracujący tam naukowcy poinformowali w specjalnym komunikacie, że w zestrzelonych nad Ukrainą rosyjskich dronach odkryto karty SIM litewskich i polskich operatorów telefonii komórkowej. Na pierwszy rzut oka może się to wydać absurdalne, ale Ukraińcy już jakiś czas temu wykryli, że Rosjanie nie tylko używają lokalnych sieci komórkowych, aby naprowadzać swoje drony na cel i korygować tor ich lotu, lecz także po to, aby uzyskać dokładne dane lokalizacyjne miejsca, w których ich geran został zestrzelony czy eksplodował. To pozwala na identyfikowanie stanowisk ogniowych potencjalnego przeciwnika albo – jeśli dron leciał sobie przez nikogo nie niepokojony – zidentyfikowanie dziur w naszej obronie przestrzeni powietrznej.

Inne analizy instytutu Jechanurowa są jeszcze ciekawsze. Otóż wbrew potocznemu mniemaniu rosyjskie drony bojowe są systemami precyzyjnie uderzającymi w cel, pilotowanymi i naprowadzanymi zdalnie przez operatorów. Ukraińców interesowało to, w jaki sposób Rosjanie korygują tor ich lotu i odkryli, że w tym celu przejmują kontrolę nad punktami dostępowymi Wi-Fi, które w odpowiednim momencie stają się węzłami służącymi do transmisji ich komend. Najczęściej jest to infrastruktura sieci komórkowych, ale nie wyłącznie, bo zwykłe cywilne punkty dostępowe też mogą być przez nich

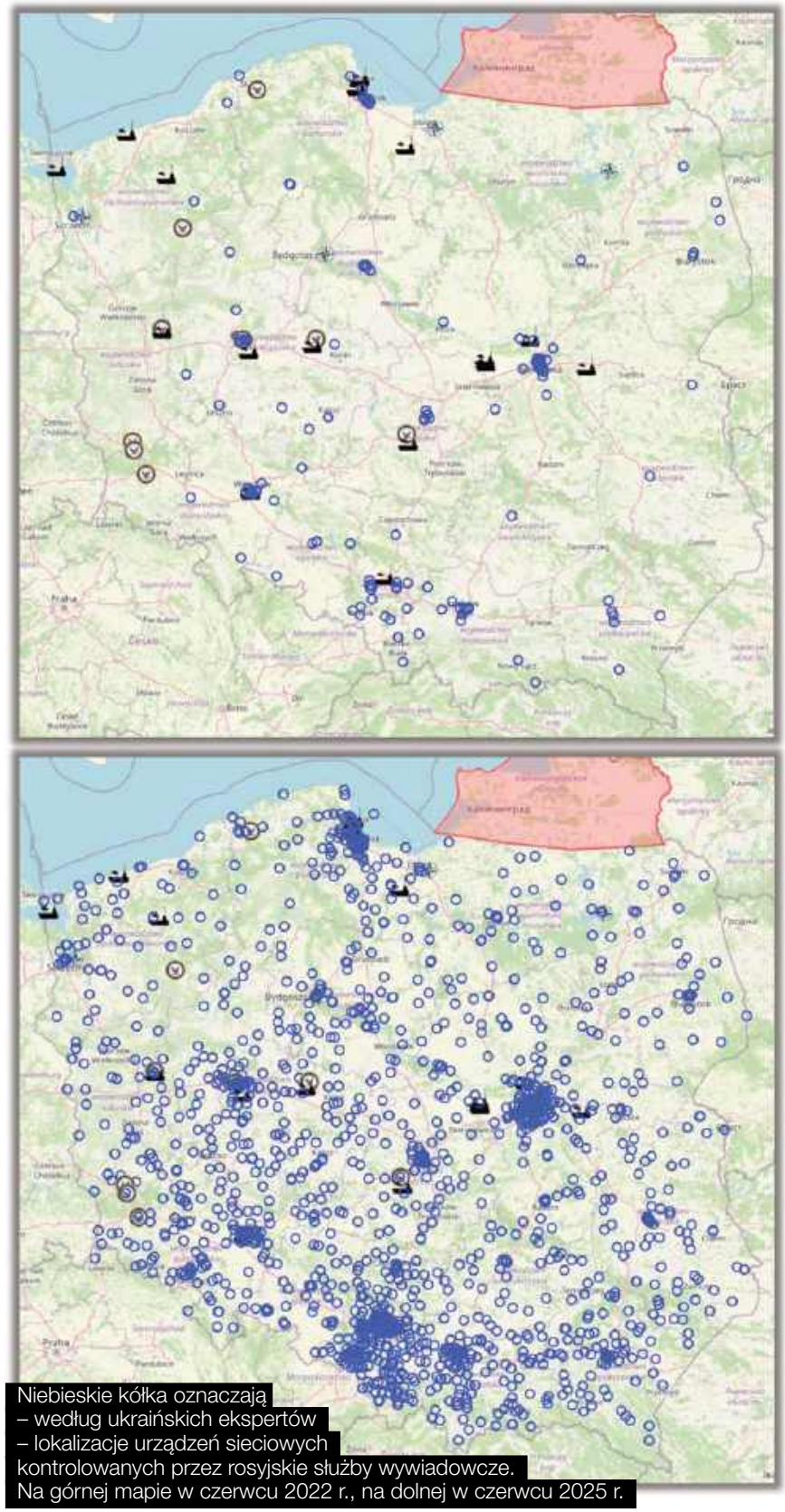

Niebieskie kółka oznaczają – według ukraińskich ekspertów – lokalizacje urządzeń sieciowych kontrolowanych przez rosyjskie służby wywiadowcze. Na górnej mapie w czerwcu 2022 r., na dolnej w czerwcu 2025 r.

Źródło: Instytut Zaawansowanych Technologii Wojskowych

eprasa.pl f3c8658096

przejęte. Nie całkowicie, bo utrata kontroli byłaby dostrzeżona przez służby techniczne operatorów.

Jak ustalono w Kijowie, Rosjanie przejmują tylko część pasma i zdolności transmisji, wykorzystując je w ograniczonym czasie, a potem przeskakując – bo przecież dron przemieszcza się do kolejnego punktu dostępowego. Gdyby ktoś z zewnątrz obserwował to, co robią Rosjanie, dostrzegłby niewielką i krótkotrwałą asymetrię w zakresie obciążenia transmisją danych danego punktu dostępowego. Na Politechnice Kijowskiej to właśnie zrobiono, nakładając trasy przelotu rosyjskich dronów na mapę takich „asymetrii" w zakresie transmisji danych.

OSINY NA LUBELSZCZYŹNIE I NA MAZOWSZU

Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że w Kijowie zbadano też aktywność Rosjan na terenie Polski i Litwy. Reprodukujemy sporządzoną przez nich mapę „anomalii" w polskich sieciach, bo zdaniem ukraińskich ekspertów mamy do czynienia z dwoma zjawiskami. Po pierwsze, wyraźnie widać, jak narasta – i to od trzech lat – aktywność Rosjan w tym obszarze. Po drugie, co nie mniej istotne, łatwo dostrzec koncentrację takich „punktów Wi-Fi z anomaliami" wokół naszych baz wojskowych, lotnisk czy obiektów energetycznych.

Innymi słowy, Rosjanie już od dawna przygotowują się do czegoś, budując system zdolny do precyzyjnego naprowadzania ich dronów na cele w Polsce i na Litwie. Nie muszą wykorzystać tych możliwości, ale warto pamiętać, że w lipcu na terenie Litwy spadły dwa rosyjskie drony, co zresztą spotkało się ze stanowczym protestem Wilna. Wydarzenie w Osinach nie jest zatem przypadkowym incydentem, a elementem przemyślanej strategii Federacji Rosyjskiej, która ma na celu zarówno pokazanie nam możliwości, jakimi dysponuje Kreml, jak i manifestowanie gotowości do eskalowania presji.

Osobną kwestią jest to, ile czasu rosyjski dron przebywał w przestrzeni powietrznej Polski. Najpierw policja informowała o eksplozji ok. 2.20, co by oznaczało, że przez ponad dwie godziny krążył on przez nikogo nie niepokojony, realizując najprawdopodobniej jakąś misję obserwacyjną. Kilka dni po incydencie w Osinach skorygowano tę informację i pojawiły się doniesienia o wybuchu „w okolicach północy". Komu wierzyć? To, że dron spadł w Osinach, też nie wydaje się przypadkowe, bo 1,4 tys. m od pasa startowego 23. Bazy Lotnictwa Taktycznego polskich sił zbrojnych także znajduje się miejscowość Osiny. Kilka godzin po eksplozji na Lubelszczyźnie nieopodal Osin na Mazowszu w tej właśnie bazie przebywał polski minister obrony.

> Jeśli mowa o wykrywaniu dronów, dziś jesteśmy ślepi i głusi, a według zapowiedzi ministra Kosiniaka-Kamysza służący temu system ma działać dopiero za dwa lata

Przypadkowy zbieg okoliczności? Napisałem książkę o rosyjskiej kulturze strategicznej i może dlatego trudno mi uwierzyć w przypadki. Zresztą skierowanie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych noty protestacyjnej do Rosji uprawdopodabnia tezę, że nasz rząd również zdaje sobie sprawę z tego, z czym mamy do czynienia, a uspokajające komunikaty są formułowane na użytek wewnętrzny.

NA RAZIE ŚLEPI I GŁUSI

W całej sprawie jest jeszcze jeden ciekawy aspekt. Otóż uspokajając opinię publiczną, minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz zapewniał, że już za dwa lata Polska będzie miała system wykrywania dronów zbudowany na podstawie „aerostatów radarowych" zdolnych do wykrycia obiektów latających o niewielkich rozmiarach i niewielkiej sygnaturze radiolokacyjnej, czyli np. rosyjskich dronów Geran. Tradycyjne radary, które zresztą były budowane po to, aby wykrywać przemieszczające się na większych wysokościach samoloty załogowe, są bezsilne, ale poradzą sobie z tym amerykańskie aeorstaty zakupione w ramach programu „Barbara". Ich pozyskanie będzie kosztować polskiego podatnika 960 mln dol. netto.

Deklaracje naszego ministra obrony wyjaśniają, dlaczego dziś jesteśmy – jeśli mowa o wykrywaniu dronów – ślepi i głusi, bo system ma działać za dwa lata, ale nie dają odpowiedzi, z jakich powodów odrzuciliśmy inną opcję, która polega na wykorzystaniu doświadczeń ukraińskich.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Ukraina, która niemal każdego dnia jest atakowana setkami rosyjskich dronów bojowych, zbudowała system ich dźwiękowej detekcji. Umożliwia on nie tylko wykrycie i śledzenie toru lotów geranów, lecz także – z tego powodu, że informacje te są dystrybuowane w czasie rzeczywistym na tablety mobilnych grup bojowych – ich niszczenie. Pierwsze prace nad Sky Fortress, bo tak się nazywa ten system, zaczęto jesienią 2022 r., a dziś obejmuje on 10 tys. czujników, sieć łączności, analizy danych i ich dystrybucji. Z oczywistych powodów wdrożone rozwiązania niemal codziennie są modyfikowane, ale to raczej zaleta niż wada, bo przeciwnik też niemal każdego dnia wprowadza ulepszenia w swoich konstrukcjach. Atutem jest nie tylko doświadczenie ukraińskich konstruktorów, lecz przede wszystkim to, że proponują oni działające i tanie rozwiązania. Cały system Sky Fortress kosztował bowiem 54 mln dol., a nie 20 razy więcej. My wolimy kupować za oceanem, wychodząc z założenia, że amerykańskie rozwiązania z pewnością są lepsze, choć w tym wypadku wymaga to jeszcze udowodnienia. Co gorsze, nawet jeśli za dwa lata będziemy dysponować amerykańskimi aerostatami, to może się okazać, że w momencie ich rozmieszczenia będą to systemy już przestarzałe, postęp jest bowiem niesłychanie szybki. Wydamy 1 mld dol. i nadal być może będziemy ślepi i głusi, a Rosjanie mogą nie chcieć czekać.

eprasa.pl f3c8658096

Nie będzie nudy z Nawrockim

Prezydent Donald Trump wielokrotnie, także publicznie, podczas rozmów, bardzo ciepło wyrażał się o Karolu Nawrockim. Ale czas na to, żeby się autentycznie polubić, jeszcze przed nimi

Z Marcinem Przydaczem, szefem Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP, rozmawia Marcin Wikło

Zawsze się mówiło, iż między państwami nie ma przyjaźni, że są wyłącznie interesy. Czy to zasada, od której nigdy nie odchodzi się w dyplomacji, czy pewne relacje osobiste mają jednak znaczenie?

Marcin Przydacz: Podstawą zawsze są interesy i konkretne decyzje, ale zażyłość personalna może pomagać, a jej brak – przeszkadzać. Wielokrotnie przekonywaliśmy się, że złe emocje przeszkadzają w prowadzeniu polityki. Co do zasady, warto nie obrażać swoich partnerów, zwłaszcza jeśli są to kluczowi sojusznicy.

Mam wrażenie, że nie mówi pan o wyimaginowanej sytuacji.

eprasa.pl f3c8658096

Niech to będzie lekcja dla Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego i Bogdana Klicha. Obrażanie polityków, którzy pochodzą być może z innego obozu politycznego, ale mają szansę na objęcie ważnego stanowiska, jest taktyką krótkowzroczną. Dla krótkiego poklasku, własnej, przepełnionej wendetą emocji i paru lajków w mediach społecznościowych nie warto zamykać sobie drzwi do Białego Domu.

A jakie relacje panują pomiędzy Donaldem Trumpem i Karolem Nawrockim? Można powiedzieć, że się lubią?

Prezydent Donald Trump wielokrotnie, także publicznie, podczas rozmów, bardzo ciepło wyrażał się o Karolu Nawrockim. Ale czas na to, żeby się autentycznie polubić, jeszcze przed nimi. Będzie ku temu okazja, bo w najbliższych latach będą się widywali często i w różnych formatach. Widzę tutaj naprawdę duży potencjał, by nawiązała się między nimi bardzo dobra relacja. Niech dowodem będzie fakt, że chyba po raz pierwszy w historii amerykański prezydent zdecydował się na przyjęcie w Białym Domu polityka, który był dopiero kandydatem na najwyższy urząd. Trump bardzo mocno wyraził wówczas swoje sympatie. Pamiętajmy także, że jako pierwszy zadzwonił do prezydenta po objęciu urzędu, a na uroczystość zaprzysiężenia Karola Nawrockiego przysłał specjalną delegację, która poza rytualnymi gratulacjami przywiozła konkretne zaproszenie do Waszyngtonu.

Czy to wynika z dobrych doświadczeń z Polską, z prezydentem Andrzejem Dudą?

Tu działa kilka czynników. Po pierwsze, prezydent Trump ma w pamięci 2017 r. i wspaniałe przyjęcie przez Polaków podczas przemówienia na pl. Krasińskich przed Pomnikiem Powstania Warszawskiego. On ma głęboko wdrukowane, że Polska jest państwem proatlantyckim i proamerykańskim. Po drugie, pozytywną relację buduje nasza polityka zbrojeniowa z czasu rządów Zjednoczonej Prawicy. Byliśmy absolutnym liderem i wytyczyliśmy kierunek dla innych państw NATO, co zawsze spotykało się z uznaniem USA, a prezydent Trump często mówił o nas: „Model ally", czyli wzorcowy sojusznik. Trzeci czynnik to jego osobista opinia o prezydencie Nawrockim, którego postrzega jako silnego lidera i silnego człowieka. Bo poza analizą polityczną na tym szczeblu ma znaczenie także charyzma, a tej naszemu prezydentowi nie brakuje. Wielu urzędników w Białym Domu mówiło mi osobiście, że u nich po prostu bardzo pozytywnie się o nim myśli. Jest dla nich ciekawą postacią polityczną, jego życiorys jest interesujący, jest dla nich człowiekiem, którego chcą poznawać i z nim pracować.

> Wizyta w Warszawie przywódców Litwy, Łotwy, Estonii i Danii przed wylotem do Waszyngtonu dała polskiemu prezydentowi mandat do tego, by rozmawiać z Amerykanami z pozycji perspektywy całego regionu, a nie tylko Polski

Jeśli do polskiego prezydenta tuż przed wizytą w Waszyngtonie na konsultacje przyjeżdżają prezydenci Litwy, Łotwy i Estonii i premier Danii, to co nam to mówi o jego roli w polskiej polityce zagranicznej, a także w polityce regionu?

To pokazuje, że Karol Nawrocki ma ważną rolę do odegrania w kwestii bezpieczeństwa całego regionu, a nasi sojusznicy i partnerzy uznają konsultację z prezydentem Polski za wartościową. Wiadomo, że wszystko to dzieje się w kontekście bardzo ważnej wizyty w Waszyngtonie, rozmowy z prezydentem Trumpem będą dotyczyły bezpieczeństwa i będą oczywiście rzutowały na cały region. Wizyta przywódców Litwy, Łotwy, Estonii i Danii dała polskiemu prezydentowi mandat do tego, by rozmawiać z Amerykanami z pozycji perspektywy całego regionu, a nie tylko Polski. Klucz tego spotkania był środkowoeuropejsko-bałtycki, co pokazuje, jakie priorytety obiera prezydent Nawrocki. Do tej pory w takich rozmowach najważniejsza dla Polski była Europa Środkowa i Południowa, ale po wejściu Finlandii i Szwecji do NATO zasadniczo zmieniła się sytuacja w basenie Morza Bałtyckiego. Prezydent w naturalny sposób zwraca się do krajów położonych właśnie tutaj.

Prezydent Andrzej Duda wysoko postawił poprzeczkę, realizując ważną agendę w relacjach polsko-amerykańskich. Mamy już ruch bezwizowy, mamy wojska amerykańskie w Polsce. Co będzie chciał osiągnąć Karol Nawrocki podczas swojej prezydentury i z czym jedzie do Waszyngtonu 3 września?

Mamy świadomość, że po spotkaniu prezydenta Trumpa z zawodowym kłamcą Putinem na Alasce rosyjska propaganda rozlała po świecie niezwykle zmanipulowany przekaz. Stawiamy więc sobie za cel odkłamywanie narracji, która może bardzo wypaczać podejście światowych polityków do rosyjskich zbrodni i imperialnej polityki Kremla w Europie. Kolejny punkt to nasze bezpieczeństwo, które budujemy, nie tylko bazując na własnej armii, lecz także na sprawdzonych sojuszach, a naszym najważniejszym sojusznikiem są oczywiście Stany Zjednoczone. Wielkie osiągnięcie, jakim było rozlokowanie amerykańskich wojsk w Polsce, musi zostać utrzymane. To wymagające, bo mamy świadomość, że w USA toczy się dyskusja, zarówno publiczna, jak i niepubliczna, na temat ograniczenia obecności wojskowej w Europie. Będziemy też rozmawiać o kontraktach zbrojeniowych, których wypełnianie niestety czasem się ślimaczy z winy rządu. Naprawdę nie mamy czasu, musimy odstraszać Rosję już,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3c8658096

dzisiaj. Wreszcie – współpraca energetyczna. Szczególnie ważna po tym, jak polskiemu rządowi „udało się" już chyba wypchnąć Koreańczyków z inwestycji w naszym kraju. Nie możemy dopuścić do tego, że Donald Tusk, tak bardzo zapatrzony w kręcące się niemieckie wiatraki, pozwoli na opóźnienie w budowie elektrowni atomowej. Zjednoczona Prawica zaczęła ten projekt z Amerykanami, nie można tego zostawić.

Odbywa się teraz przedziwna licytacja, kto prowadzi w Polsce politykę zagraniczną. Rząd ewidentnie sobie nie radzi, ale nie korzysta z kontaktów prezydenta, tylko go atakuje. Tak to wygląda w przestrzeni publicznej. Jaka naprawdę jest relacja Karola Nawrockiego z MSZ Radosława Sikorskiego?

Rzeczywiście, zamiast licytacji przydałaby się współpraca, której zasady są zresztą jasno określone w konstytucji. Kompetencje są dzielone, więc trzeba szukać komponentu współpracy, aczkolwiek nie jest to łatwe, bo mamy do czynienia z ludźmi, którzy od 2023 r. nie przestrzegali konstytucji. Te relacje są zatem trudne, a Radosław Sikorski nie jest łatwym partnerem. Rozumiem, że on sam chętnie widziałby siebie jako prezydenta, tymczasem ma za sobą potrójną porażkę w prawyborach. Nawet partyjni koledzy odmówili mu szansy kandydowania. To może mieć wpływ na poczucie zazdrości, ale trzeba być poważnym politykiem, a takie emocje odrzucać albo chociaż ukrywać. Jako Kancelaria Prezydenta RP będziemy szukali synergii tam, gdzie będzie to konieczne, ale będziemy też blokować niemądre posunięcia rządu w zakresie polityki międzynarodowej. Jeśli gabinet będzie chciał w Brukseli wypełniać zobowiązania wynikające z paktu migracyjnego albo umowy z Mercosur, nie będzie na to zgody prezydenta.

Prezydent jasno postawił też sprawę niektórych nominatów Radosława Sikorskiego na ambasadorów. Tutaj także nie będzie zgody?

Nie będzie. Ale uporządkujmy – to są tylko kandydaci na ambasadorów. Ambasadorem zostaje się tylko wtedy, kiedy pod nominacją dostaje się podpis prezydenta. Wiele z tych osób, o których pan pyta, nie otrzymało zgody na objęcie placówki od poprzedniego prezydenta i od obecnego też jej nie dostaną.

To tylko upór personalny czy są merytoryczne podstawy?

Polska w żadnym kraju nie może mieć dwóch ambasadorów. W wielu tych placówkach są już tacy, bo nigdy nie zostali odwołani przez prezydenta. Zostali przez MSZ zawróceni do kraju, ale nikt ich nie zwolnił z funkcji. Pełnią ją więc bez możliwości pracy w kraju akredytacji, co prowadzi do paraliżu polskiej służby zagranicznej. Na pewno – i prezydent mówił to wprost – nie będzie zgody na politycznych nominatów, którzy nie mogą prowadzić skutecznej polityki, bo np. obrażali prezydenta kraju goszczącego. To przypadek Bogdana Klicha w USA. Nominacji prezydenta nie uzyska także Ryszard Schnepf we Włoszech. Ale jest jeszcze jeden sprawa – z nieznanych mi powodów szef MSZ forsuje na placówki m.in. na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej grupę absolwentów moskiewskiej szkoły szpiegów (MGIMO). Rozumiem, że minister Sikorski jest na „ty" z Siergiejem Ławrowem i ma na koncie niesławną już dzisiaj politykę resetu z Rosją, ale po trzydziestu paru latach Polska dochowała się już znakomitych, młodych fachowców w dziedzinie dyplomacji. Naprawdę nie musimy bazować na kadrach szkolonych u Sowietów ani na emerytach, bo i takich chciał ściągać na placówki obecny minister spraw zagranicznych.

> Rozmowy w Białym Domu będą dotyczyć także współpracy energetycznej. Jest ona szczególnie ważna po tym, jak polskiemu rządowi „udało się" już chyba wypchnąć Koreańczyków z inwestycji w naszym kraju

Spójrzmy na nasze najbliższe sąsiedztwo, czyli na Ukrainę. Kiedy Karol Nawrocki złoży wizytę w Kijowie? Są takie plany?

Prezydent Nawrocki już rozmawiał telefonicznie z prezydentem Zełenskim. Ukraiński przywódca zadzwonił z gratulacjami, ale rozmowa przerodziła się w szerszą debatę o aktualnej sytuacji. Ja osobiście jestem w kontakcie z Andrijem Jermakiem, szefem kancelarii i najbliższym współpracownikiem Wołodymyra Zelenskiego. Jest jasne, że wizyta na Ukrainie zostanie zrealizowana, ale najpierw mamy w planach te, do których prezydent zobowiązał się jeszcze w kampanii, czyli USA i Watykan.

A co dalej?

Z trzecią wizytą prezydent uda się do Wilna. Litwini to nasi ważni sojusznicy, sąsiedzi. Na wspólnej historii – co dla Karola Nawrockiego jest ważne – budujemy trwałe partnerstwo i jedność całego regionu. Taki ma popłynąć sygnał z tej wizyty. Z Wilna prezydent poleci do Helsinek – Finlandia jako nowy członek NATO to ważny, strategiczny cel. W ostatnim czasie odbyło się kilka rozmów prezydentów Nawrockiego i Stubba, co pokazuje, że w obliczu rosyjskiego zagrożenia traktujemy się naprawdę poważnie.

A gdy już dojdzie do spotkania Nawrocki–Zełenski, jak może wyglądać agenda rozmów?

Myślę, że będzie dwojaka. Na pewno trzeba rozmawiać o szeroko pojętym bezpieczeństwie, ale mamy także sprawy bilateralne. Ważne dla Polaków kwestie historyczne i gospodarcze. Musimy bronić naszego rynku przed niekontrolowanym zalewem ukraińskiego zboża, mówmy też w końcu o konieczności upamiętnienia ofiar

eprasa.pl f3c8658096

rzezi wołyńskiej i szerzących się ideologiach, na które nie ma naszej zgody. Niestety banderyzm nie jest w odwrocie na Ukrainie, pojawiają się także takie manifestacje, jak choćby incydent na Stadionie Narodowym w Warszawie. Nie możemy i nie chcemy do tego dopuszczać, stąd inicjatywa pana prezydenta, by zbrodniczą wobec Polaków ideologię banderowską zrównać z komunizmem, nazizmem czy faszyzmem.

I zrobił się z tego niezły szum na Ukrainie. A dodatkowo zaledwie dzień po ukraińskim święcie niepodległości prezydent Nawrocki zawetował ustawy przedłużające przywileje socjalne dla niepracujących Ukraińców w Polsce. Czy pan rozumie, dlaczego Ukraińcy tak emocjonalnie reagują na te weta?

Mam nadzieje, że w Kijowie wszyscy rozumieją, że Ukraina naprawdę potrzebuje sojuszników, także po sąsiedzku, i nie leży w ich interesie zrażanie do siebie kogokolwiek. Polska zrobiła dla nich bardzo dużo, i to w kluczowym momencie. Gdy nie wszyscy, którzy teraz wypinają piersi do orderów, robili tyle, co my. Najważniejsza była oczywiście bohaterska postawa ukraińskich żołnierzy i determinacja Wołodymyra Zełenskiego, który został w Kijowie mimo spadających bomb, ale pragnę przypomnieć, jak ważne było polityczne wsparcie Warszawy. Nad tylko jedną ambasadą powiewała flaga na znak, że ambasador nie opuścił placówki mimo zbliżających się ruskich czołgów. Ukraińcy nigdy nie zapomną postawy naszego ambasadora Bartosza Cichockiego. To gesty, ale przecież od trzech lat pomagamy Ukrainie także militarnie – to ogromne koszty. Mamy więc prawo oczekiwać konkretnych działań, choćby odblokowania upamiętnień na Wołyniu. Jeśli się tego nie doczekamy, to trudno będzie ocieplać te relacje. A tym razem się nie cofniemy, nie będziemy już zamykać oczu na prawdę. Tym bardziej że inne państwa mogą przeprowadzać takie ekshumacje na Ukrainie. Dla Polaków jest to kompletnie niezrozumiałe.

> Z nieznanych mi powodów szef MSZ forsuje na placówki m.in. na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej grupę absolwentów moskiewskiej szkoły szpiegów (MGIMO)

Ale przecież pomoc Ukrainie była i jest w naszym interesie. Czy coś się zmieniło?

Szczególnie na początku wojny, gdy Ukraina chwiała się pod ruskimi ciosami, trzeba było pomagać, nie patrząc na koszty. Bardzo bym chciał, żeby nasi ukraińscy przyjaciele mieli świadomość, ile warta była ta pomoc i żeby nie traktowali jej jako czegoś oczywistego, co im się należy i o czym w zasadzie przypominamy sobie, jak się kończy. Dzisiaj mamy już prawo oczekiwać pewnej wzajemności i decyzji w sprawach dla nas ważnych, uwzględniających naszą wrażliwość. Nie można też mieć do nas pretensji o to, że chcemy uporządkować sprawy Ukraińców przebywających w naszych granicach. Nie ma zakazu pracy, wręcz przeciwnie – jakąś formą zachęty do pracy jest możliwość skorzystania ze sfery socjalnej i zdrowotnej dla pracujących. Nie ma natomiast miejsca na nadużywanie naszej gościnności. I na obciążanie nas wszystkich, bo przecież opieka zdrowotna jest finansowana z naszych składek. Oczywiście bywają osoby, których przypadki należy rozpatrywać w kategorii pomocy humanitarnej, i na to oczywiście jest zgoda. Ale jako pracowite społeczeństwo zachęcamy do tego, by pracować razem z nami, a nie godzimy się na pracowanie na kogoś, kto sobie wymyślił, że będzie żył z socjalu.

Siedzimy w gabinecie, który bardzo dobrze pan zna, bo pracował pan już w kancelarii prezydenta Andrzeja Dudy. Ale to była chyba zupełnie inna kancelaria i inna prezydentura niż Karola Nawrockiego – mam rację?

Budynek jest ten sam, ale rzeczywiście kancelaria jest inna z oczywistych względów. Dwie kadencje Andrzeja Dudy to był znakomity czas dla Polski. Jestem mu wdzięczny jako obywatel kraju, dla którego dobrze się przysłużył, ale też jako ja, który mógł pracować dla niego przez wiele lat. Co się teraz zmieniło? Inaczej pełni się swój urząd w dziesiątym roku prezydentury, a inaczej w pierwszym miesiącu. Karol Nawrocki jest bardzo zdeterminowany, ma dużo własnych pomysłów, inicjatyw, dużo świeżości i energii. To bardzo aktywny model zarządzania, prezydent bardzo często dzwoni do swoich ministrów i wiele spraw uzgadnia osobiście. Dopytuje, kierunkuje, decyduje. Jest też wyjątkowo pracowity, od rana do późnej nocy jest bardzo aktywny.

Z prezydentem Nawrockim nie ma i chyba nie będzie nudy?

Absolutnie nie. Pod każdym względem będzie tutaj bardzo aktywnie – i politycznym, i merytorycznym, i dyplomatycznym. I nawet pod względem... sportowym. Prezydent mówi do nas, że mamy przed sobą ciężki czas, każdy z nas musi zachować dobrą kondycję, także fizyczną. Zachęca nas do dbania o siebie. Jogging to minimum.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3c8658096

Sześć wet prezydenta

Prezydent Nawrocki ma niezwykłą szansę na takie konstytucyjne rozepchnięcie swojej roli ustrojowej, aby uzyskać swoisty status „głównego koalicjanta koalicji”

JAN ROKITA

W chwili, gdy przygotowywałem wysłanie tego tekstu do redakcji, nadeszła wiadomość o kolejnych wetach prezydenta wobec dwóch ustaw, dopiero co uchwalonych przez większość rządową. Z tempa, w jakim narasta liczba wet, można odnieść wrażenie, że Karol Nawrocki powoli wkracza na drogę, na której ćwierć wieku temu, w 2001 r., Aleksander Kwaśniewski skutecznie doprowadził do głębokiego kryzysu i klęski gabinet Jerzego Buzka.

Z premedytacją piszę „powoli wkracza na drogę”, gdyż ciągle nie mam pewności, na czym bardziej zależy w tej chwili prezydentowi Nawrockiemu. Czy eskalacja wet w najróżniejszych dziedzinach ustawodawstwa ma służyć posianiu zamętu wewnątrz rządu i stojącej za nim koalicji, a w konsekwencji sparaliżować władzę i wywołać kryzys polityczny skutkujący dymisją Tuska? Czy też Karol Nawrocki w precedensowy sposób rozszerzająco traktuje ustrojową rolę prezydenta i zamierza metodą faktów dokonanych wyegzekwować uznanie głowy państwa jako „trzeciej izby ustawodawczej”?

CASUS KWAŚNIEWSKIEGO

Te dwa cele nie pozostają wprawdzie w otwartej sprzeczności, więc ambitna prezydentura może próbować osiągnąć oba z nich. Niemniej to, jak dalej stosowane będą weta prezydenckie, zależy w znacznej mierze od tego, który z tych dwóch celów jest dla Nawrockiego priorytetowy.

W 2001 r. Kwaśniewskiemu w ogóle nie szło o powiększenie sformalizowanego wpływu na kierunek rządzenia, gdyż prezydenturę traktował jako swoistą formę „patronatu”

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl f3c8658096

pozwalającego mu załatwiać interesy i grać rolę na scenie międzynarodowej. Pod koniec rządu Buzka wetował zatem wszystko, co uważał za kluczowe dla większości rządowej, np. ustawodawstwo podatkowe czy reformę zarządzania administracją. Jego jedynym celem było posianie chaosu i poczucia bezradności w rządzie oraz wypromowanie Leszka Millera jako nowego, silnego premiera. Im istotniejsze dla rządu ustawy, tym bardziej należało je wywrócić, a to, czego one dotyczyły i jakie skutki dla kraju przynosiło ich wywrócenie, w tamtych okolicznościach nie miało znaczenia. Ten skrajny cynizm z entuzjazmem nagrodziła wtedy większość opinii publicznej, która nie znosiła rządu Buzka z powodu nadmiaru reform, jakie chciał przeprowadzić.

Dotąd w Polsce nie było precedensu z głową państwa, która postanowiłaby zmusić premiera oraz rząd do uznania swego prawa do kształtowania polityki państwowej, i to praktycznie we wszystkich obszarach. I choć kolejni prezydenci na użytek wyborów powszechnych przedstawiali jakieś swoje całościowe programy, to ani oni sami, ani nikt rozsądny nie traktował tego poważnie. Niektórzy, tak jak Andrzej Duda, mieli to szczęście, że krótko po ich sukcesie wyborczym władzę w kraju obejmowała partia, z której sami się wywodzili, więc ich program stawał się w ten sposób programem rządu. Z reguły bywało jednak tak, że prezydenci, w tym nawet Lech Wałęsa, nie mieli ani ambicji, ani ochoty narzucać większości parlamentarnej tego, jakie ustawy ma uchwalać, chyba że szło o rozstrzygnięcia ustrojowe (np. ordynacje wyborcze za Wałęsy albo oddzielenie prokuratury generalnej od rządu za Lecha Kaczyńskiego). A nawet jeśli od czasu do czasu próbowali trochę głębiej zaingerować wetami w kształt polityki rządowej, to im się to nie udawało, np. spośród 18 wet Lecha Kaczyńskiego aż 7 zostało w Sejmie odrzuconych.

Dziś jest jednak inaczej, gdyż w Polsce utrwalił się na tyle ostry, bipolarny podział parlamentu, że weto nie oznacza już wezwania posłów do ponownego namysłu nad jakimiś kwestiami rodzącymi konflikty i napięcia, ale jest po prostu wyrokiem śmierci na akt prawny wskazany palcem przez prezydenta.

Nawrocki ma zatem niezwykłą szansę na takie konstytucyjne rozepchnięcie swojej roli ustrojowej, aby uzyskać swoisty status „głównego koalicjanta koalicji". To znaczy kogoś, kto – choć odrzucany, szkalowany i znienawidzony – jednocześnie musi zostać uznany przez parlamentarną większość jako ustrojowy podmiot współrządzący, bo alternatywą dla takiego uznania mogą się okazać długotrwałe i niszczące dla obozu premiera paraliż i stagnacja. Niektóre spośród sześciu pierwszych wet ustawodawczych Nawrockiego sprawiają wrażenie takiej politycznej intencji, np. Ukraińcy albo wiatraki. Jako alibi Nawrocki ma tu ogłoszony w marcu 2025 r. w Szeligach „Plan 21", którego szczegółowej treści dziś nikt już nie pamięta, ale który samemu prezydentowi świetnie służy do domagania się respektu dla jego własnej prezydenckiej polityki.

CZEMU SŁUŻĄ TE WETA?

Z sześciu pierwszych wet Nawrockiego można już powoli wnioskować o wektorach owej polityki prezydenckiej. I nie ma tu większego znaczenia, iż tylko niektóre z owych wektorów wynikają wprost z „Planu 21", do którego sam Nawrocki tak lubi się odwoływać, zawsze przy tym (tak było też podczas Rady Gabinetowej) ironizując na temat lekceważenia przez Tuska jego własnych „100 konkretów".

Nie jest niespodzianką, że Nawrocki będzie próbował wymusić zmianę polityki energetycznej państwa, nie tylko ograniczając możliwości rozwoju źródeł odnawialnych i zielonych, lecz także starając się zminimalizować współpracę energetyczną z sąsiadami Polski, zwłaszcza z Ukrainą i Niemcami. Z mojej perspektywy – czyli kogoś, kto nie żywi żadnych uprzedzeń wobec zielonych źródeł energii – trzeba jednak przyznać, że na razie sławne weto wiatrakowe trzyma się zdrowego rozsądku, jest przekonująco uargumentowane i wcale nie prowadzi do blokady rozwoju energii wiatrowej.

> Z sześciu pierwszych wet Nawrockiego można już powoli wnioskować o wektorach prezydenckiej polityki. I nie ma tu większego znaczenia, iż tylko niektóre z owych wektorów wynikają wprost z „Planu 21"

Nawrocki domaga się tylko utrzymania minimalnej odległości 700 m od ludzkich siedzib, krytykuje Senat za bezmyślne usunięcie z ustawy wymogów respektu dla bezpieczeństwa lotnictwa wojskowego (zwłaszcza na wypadek wojny), chce odsunięcia wiatraków od dróg publicznych i utrzymania dotychczasowego systemu szerokiego informowania lokalnej opinii o planach budowy farm wiatrakowych. Wobec dobrze znanych faktów opisanych w przywoływanych w wecie raportach NIK (z czasów prezesury Krzysztofa Kwiatkowskiego), wskazujących na potajemny i korupcyjny system budowy wiatraków w Polsce, reguły proponowane przez Nawrockiego powinny być akceptowalne także dla jako tako przytomnych zwolenników zielonej energii. Zwłaszcza że prawdziwym politycznym niebezpieczeństwem, przed jakim stoi polityka zielonej energii, jest rosnący sprzeciw społeczny wobec niej, często bazujący na przesądach. A w demokracji nie ma innych środków na rozpraszanie przesądów niźli informacyjna i biznesowa przejrzystość tego rodzaju projektów.

Dużo bardziej wątpliwe jest weto gazowe, dla którego głównym argumentem jest niebezpieczeństwo korzystania przez Polskę z magazynów na Ukrainie i w Niemczech. Nawrocki nie bez racji nawołuje do inwestycji w magazyny gazowe, tyle tylko, że jest to przecież pieśń przyszłości. Niestety po 35 latach niepodległości nasze magazyny gazowe mają mniej więcej dziewięciokrotnie mniejszą pojemność niż ukraińskie

eprasa.pl f3c8658096

i siedmiokrotnie mniejszą niźli niemieckie. W takich okolicznościach korzystanie zwłaszcza z taniej i wygodnej oferty magazynów ukraińskich nie jest zaprzeczeniem, ale wymogiem bezpieczeństwa narodowego. I w takim kierunku szła też polityka rządu Morawieckiego, za którego podpisano w 2022 r. stosowne memorandum z Kijowem. Wygląda na to, że rząd Tuska zamierzał teraz wykorzystać te możliwości, upraszczając procedury, ale Nawrocki wyskoczył z wetem, odwołującym się z grubej rury do opacznie rozumianej, ale łatwej do sprzedania idei energetycznej suwerenności.

Druga linia polityczna, jaka wyłania się z sześciu pierwszych wet Nawrockiego, jest bardziej zaskakująca z powodu szeroko upowszechnionej dotąd opinii, iż obecny prezydent – w ślad za ideologią Konfederacji – miałby mieć nastawienie bardziej prorynkowe i probiznesowe niźli PiS. Tymczasem logika przedstawiana w argumentacji wet Nawrockiego jest – jak do tej pory – wyraźnie odmienna.

Najbardziej zdumiewające jest weto do Kodeksu karnego skarbowego (kks), którym prezydent sprzeciwia się obniżce horrendalnych grzywien nakładanych na przedsiębiorców za takie zbrodnie, jak np. spóźnienie z powiadomieniem fiskusa o nabyciu auta, użycie błędnego formularza albo dokonanie zgłoszenia na papierze tam, gdzie prawo wymaga zgłoszenia cyfrowego. Te i inne podobne rzeczy są opisane w karygodnym art. 56 kks, który na dobrą sprawę w ogóle powinien zniknąć z porządku prawnego. Sejm obniżył grzywny za tego rodzaju przestępstwa z 45 tys. zł do 15 tys. zł oraz z 15 tys. do 7 tys. zł. Sprzeciw Nawrockiego jest uzasadniany alarmującym poziomem długu publicznego, co stanowi przecież logiczną niedorzeczność. Czemu miałoby więc w istocie służyć to weto? I czy sejmowa frakcja Konfederacji się obudzi, aby zgodnie z własnymi ideami zorganizować akcję odrzucenia go przez Sejm?

Podobny biurokratyczny duch wieje z dwóch dalszych wet prezydenckich, choć ich logika nie jest aż tak bezsensowna jak w przypadku kks. W wecie do jednej z ustaw deregulacyjnych Nawrocki obala zastąpienie biurokratycznego pozwolenia na budowę wymaganego dla instalacji małej fotowoltaiki na własny, domowy użytek prostszym i mniej papierkowym systemem zgłoszenia. Tu przypominam sobie, że rząd Morawieckiego (zdaje się, że na osobiste życzenie Jarosława Kaczyńskiego) umożliwił budowanie w trybie zgłoszenia nawet małych domów jednorodzinnych!

Prezydent sprzeciwia się też drobnym rabatom za prąd dla rodzin, które przejdą na internetową korespondencję z zakładem energetycznym, co w ogóle musi zdumiewać jako przedmiot weta, sprawia bowiem wrażenie przysłowiowego strzelania z armat do wróbli. Zdaje się, że opóźnianie cyfryzacji administracji i usług publicznych w ogóle ma być jedną z linii prezydenckiej polityki, bo Nawrocki wetuje także nowelę ustawy o pestycydach, a to tylko dlatego, by zakwestionować obowiązek wielkich producentów rolnych rejestrowania w internecie rodzaju i ilości używanych przez nich pestycydów. Prezydent domaga się, aby wielki biznes rolny prowadził te rejestry... na papierze i z tego powodu nie podpisuje całej ustawy. Czyż to nie czysty nonsens?

Widzimy tu więc nową i niespodziewaną twarz Nawrockiego: miłośnika papierowej biurokracji, zezwoleń, koncesji, zaświadczeń i załączników, wysokich grzywien i kar nakładanych na ludzi tylko dlatego, że naruszyli jakieś tam urzędnicze procedury. W wecie deregulacyjnym prezydent blokuje bowiem także dokonane przez Sejm zniesienie wymogu koncesji na zielone instalacje energetyczne produkujące powyżej 1 MW energii. I tu, prawdę mówiąc, nawet taki jak ja przeciwnik koncesji i zezwoleń jest gotów ewentualnie podzielić argumentację prezydenta, iż skoro elektrownie bazujące na klasycznych źródłach wymagają takiej koncesji w imię spójności systemu energetycznego państwa, to czemu robić przywilej akurat dla elektrowni zielonych?

> Destabilizacja i szybkie usunięcie rządu Tuska nie pozwolą Nawrockiemu na ustrojowy eksperyment poważnego rozszerzenia władzy prezydenckiej

DESTABILIZACJA CZY KOHABITACJA?

Cały czas powraca jednak pytanie, co jest w istocie politycznym celem prezydenta Nawrockiego, gdy ingeruje swoimi wetami w tak szczegółowe kwestie rządzenia jak reguły koncesjonowania energetyki albo magazynowania gazu. Albo też co skłania go do tego, aby strzelać z armat do wróbli, kwestionując całe ustawy z powodu drobnych rabatów dla ludzi przechodzących na cyfrowe kontakty z państwem?

Świadomie pozostawiam tu na boku weto ukraińskie, które choć formalnie dotyczy statusu Ukraińców w Polsce, w istocie kształtuje polską politykę zagraniczną, a więc można by rzec – naturalną sferę zainteresowań i kompetencji głowy państwa. To oczywiście temat na odrębny i zasadniczy tekst. Tutaj interesują mnie w pierwszym rzędzie owe „drobniejsze" weta Nawrockiego, czasem nawet trudne do wytłumaczenia opinii publicznej, bo wymagające eksperckiej wiedzy (jak choćby w przypadku magazynowania gazu).

Co do politycznego skutku nagromadzenia dużej liczby takich „drobniejszych" wet, jedna rzecz wydaje się pewna. Destabilizacja i szybkie usunięcie rządu Tuska nie pozwolą Nawrockiemu na ustrojowy eksperyment poważnego rozszerzenia władzy prezydenckiej. Jakakolwiek bowiem nowa koalicja wygrałaby następne wybory, to z pewnością zgodnie z logiką ustroju wynikającą z konstytucji 1997 r. powstrzyma taką ekspansję prezydentury. Nie powstrzyma jej tylko trwający przy władzy, choć słaby i dryfujący Tusk. Jego upadek zmniejszy do minimum szanse na zaprowadzenie w Polsce rządzącej prezydentury. Niewykluczone zatem, że wkrótce Nawrocki zasmakuje w obecnej kohabitacji i wcale nie będzie chciał szybko zmieniać tego stanu. Z nikim nie będzie mu przecież tak dobrze, jak ze słabym i zapędzonym w kozi róg Tuskiem.

eprasa.pl f3c8658096

Rządu Tuska miłość do wiatraków

Problemy w funkcjonowaniu farm wiatrowych czy słonecznych są powszechne i już trwałe. Dotyczą całej Europy oraz znacznej części świata. Tylko rząd Tuska zdaje się ich nie widzieć

DARIUSZ MATUSZAK

Fot. Andrzej Stwarczyński

Po tym jak Karol Nawrocki zawetował ustawę wiatrakową ze strony rządzącej koalicji posypały się oskarżenia, iż chce, by Polacy płacili więcej za prąd. Zamysł rządu był taki, że przez trzy miesiące z własnych podatków dopłacamy za prąd, więc rachunki na papierze będą niższe, ale za to na całe dziesięciolecia zostaniemy obstawieni wiatrakami. Ponadto prezydent jako wróg postępu i nauki złośliwie zablokował nowoczesność w domu i zagrodzie, uniemożliwiając stawianie wiatraków w odległości 500 m od zabudowań.

Znów rozgorzała dyskusja, w której zwolennicy energii zależnej od pogody opowiadają, iż wiatraki nie hałasują, ale co najwyżej szumią kojąco jak las albo strumyk, są czyste i przyjazne, niewinnie stoją pośród kwietnych łąk, na których będziemy boso pląsać po rosie o poranku. Tymczasem prawdziwy problem polega nie na tym, czy stawiać je 500 m, 700 m, czy jak w Niemczech 1000 m od zabudowań, tylko czy w ogóle te straszydła powinny stać i mielić powietrze. Rząd uważa, że jak najbardziej i nawet premier Donald Tusk buńczucznie zapowiada, że ominie prezydenckie weto, będzie dzielny jak konfederaci barscy i „choć się spęka świat i zadrży słońce, chociaż się chmury i morza nasrożą", to i tak te wiatraki będą stawiać.

eprasa.pl f3c8658096

Premierowi się wydaje, że odkryto sprytny myk – tzw. repowering polegający na tym, że stare turbiny o mniejszej mocy zostaną zastąpione tymi o większej i pogodowego prądu będzie więcej. Wiele jednak wskazuje na to, że to tylko buńczuczne zapowiedzi i skończy się jak zwykle na „wietrze zapowiedzi", jak mówił Makbet. Obietnice są od tego, by je wypowiadać, a nie realizować. Nawet premier Tusk nie zmieni fizyki i geometrii, więc repowering może napotkać na problemy nie do pokonania. Ale o tym w dalszej części tekstu. Na razie zamiast wiatraków powinniśmy zadać fundamentalne pytanie, czy stawianie na energię pogodową w ogóle ma sens.

ŚWIATOWA WOJNA WIATRAKOWA

Ostanie informacje o tym, jak się ma branża wiatrowa, brzmią jak doniesienia z frontu, przy czym wiatrakowcy ponoszą klęskę za klęską. Na skraju bankructwa znalazła się duńska firma Ørsted, która z PGE w ramach projektu Baltic 2 stawia farmę o mocy 1,5 MW za 30 mld zł, a potem kolejną w Baltic 3. Główny udziałowiec – państwo duńskie – musiał ją dofinansować 9,5 mld euro, by w ogóle jeszcze żyła. W maju Duńczycy porzucili projekt farmy Hornsea 4 w Anglii, a pod koniec sierpnia amerykańska administracja zablokowała ich Revolution Wind u wybrzeży Rhode Island. Kłopoty trwają od co najmniej trzech lat. W 2023 r. administracja Joe Bidena zablokowała projekty Ocean Wind 1 i 2. Ørsted odnotowała wtedy blisko 4 mld euro strat. W 2024 r. firma wycofała się z projektów w Hiszpanii, Portugalii, Norwegii i Japonii. Na szczęście ma w projekty w Polsce i swoją panią dyrektor na Polskę, żonę wiceministra klimatu i środowiska Krzysztofa Bolesty.

Od dwóch lat projekty wiatrowe ogranicza Holandia. W maju niczym zakończyły się przetargi na dwie morskie farmy wiatrowe o mocy 2 GW. Nie było chętnych. Minister ds. klimatu Sophie Hermans stwierdziła, że dotychczasowe cele energetyki wiatrowej „są całkowicie nierealistyczne". Całkowitą klapą zakończyły się też przetargi w Niemczech. Federalna Agencja ds. Sieci (BNetzA) ogłosiła w sierpniu, że nie wpłynęła ani jedna oferta. W maju, po tym, jak administracja Trumpa ogłosiła koniec dokładania pieniędzy podatników do farm wiatrowych, swe amerykańskie projekty wstrzymało niemieckie RWE. W sierpniu szef niemieckiego koncernu ThyssenKrupp Miguel López oznajmił, że transformacja energetyczna z wiatru i słońca nie ma w Niemczech sensu. Dołączył do niego prezes koncernu energetycznego E.ON Leonhard Birnbaum, pisząc na łamach „Die Welt", że wiatraki i farmy słoneczne powstają bez żadnego planu i kosztem społeczeństwa, a ogromne pieniądze są marnowane na projekty, które powinny się same utrzymać.

> By dostarczyć energii z wiatraków dla całej Polski, trzeba by nimi pokryć 12–16 tys. km², czyli mniej więcej całe województwo śląskie albo świętokrzyskie i pół opolskiego

W Szwecji po protestach samorządów sąd cofnął zgodę na powstanie farmy Aurora. OX2 i Ingka Investments chciały postawić 370 monstrów u wybrzeży Gotlandii. Co więcej, dowódcy szwedzkich sił zbrojnych chcą całkowitego zaprzestania budowy kolejnych farm na Bałtyku. Przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie zostanie zbadany i rozwiązany problem, który odkryto. Gen. Carl-Johan Edström, szef Sztabu Obrony, poinformował, że wiatraki zakłócają radary, systemy monitorujące i obrony przeciwrakietowej. Największa w Europie szwedzka elektrownia wiatrowa Markbygden Ett od początku istnienia notuje wyłącznie straty. Sześć szwedzkich farm należących do chińskiego koncernu CGN w ciągu kilku lat funkcjonowania wygenerowało więcej długów – 1,5 mld euro – niż prądu. W Ameryce oskarżany o szpiegostwo przemysłowe chiński potentat trafił na czarną listę.

Wielkie kłopoty ma belgijski projekt Zielonej Wyspy na Morzu Północnym. Nie dość, że są problemy technologiczne, to również koszty farm okazały się ponad trzy razy wyższe niż zakładano – 7 mld euro zamiast 2 mld. Belgowie zaczynają odczuwać to, że nowo powstające farmy ograniczają efektywność już istniejących nawet o 20 proc. Chodzi o efekt cienia aerodynamicznego – cienia wiatru. Łopaty jednego wiatraka blokują wiatr dla kolejnych. Efekt bywa odczuwalny nawet na odległość 55 km. Dopóki nasycenie wiatrakami było niewielkie, cień wiatru nie stanowił dużego problemu. Co innego, gdy wiatraki sterczą gęsto jak kolce z morskiego jeżowca. Cień wiatru to nie tylko sprawa techniczna. Coraz poważniej mówi się też o zmianach mikroklimatu. Wiatr hamowany przez łopaty nie dociera znad morza na ląd. Żegnaj ożywcza bryzo.

We Francji sądy już hurtowo nakazują wstrzymanie pracy turbin, zwłaszcza w Langwedocji i Oksytanii, po tym, jak okazuje się, że odpowiadają one za śmierć rzadkich i chronionych ptaków. Sprawa dotyczy dziesiątków farm. Były prezes EDF Renewables, największej firmy od mielenia ptaków, został skazany na 6 miesięcy więzienia w zawieszeniu i 100 tys. euro grzywny. We Francji coraz powszechniej mówi się o patologicznej deweloperce wiatrakowej.

Mimo trwającej od dwóch lat niemal nieprzerwanej hossy na giełdach odzwierciedlający notowania zielonych firm Indeks S&P Global Clean Energy Transition jest na najniższym poziomie od pięciu lat. Deirdre Cooper, szefowa globalnego funduszu Ninety One, powiedziała w rozmowie z „Financial Times", że mimo niezłych wyników finansowych inwestorzy są skrajnie pesymistyczni, jeśli chodzi o przyszłość firm z sektora dekarbonizacji i OZE.

Meldunkami z wietrznego i słonecznego frontu moglibyśmy zapełnić cały numer tygodnika. Pokazują jedno – problemy w funkcjonowaniu farm wiatrowych czy słonecznych, całej tej energii z pogody, są powszechne i już trwałe. Problem dotyczy całej Europy i znacznej części świata, więc nie mamy do czynienia z jakimiś tam lękami polskiej ciemnoty.

eprasa.pl f3c8658096

NA CHŁOPSKI ROZUM

Pierwszy raz zobaczyłem farmy wiatrowe ponad 30 lat temu u wybrzeży Danii. Patrzyłem jak urzeczony w majestatyczną przyszłość – imponujące konstrukcje, cuda inżynierii mające dać czystą, nieskończoną jak wiatr energię. To było złudzenie kogoś, kto w pogodny dzień przepłynął obok nich. Fajnie migotało w tym słońcu. Minęły trzy dekady i są tylko problemy. Od 2023 r. tylko Dania anulowała 24 z 33 projektów morskich farm wiatrowych w ramach programu „Open Door". W ciągu 30 lat nowa technologia powinna była zawojować świat. Jak komputery, sieć internetowa, telefonia komórkowa czy łączność satelitarna, więc na mój chłopski rozum coś musi być fundamentalnie nie tak, skoro wciąż musimy dopłacać do tych wiatraków, skoro wciąż wychodzą na jaw nowe problemy i wciąż musimy polegać na energetyce konwencjonalnej. Lepszy chłopski rozum niż taki, jaki mają redaktorzy Wieliński czy Wiech.

Cała Europa zadaje sobie pytania, bada i rozważa, tymczasem Polska wdrapuje się na wysoką na 200 m kolumnę pod śmigła i szykuje się do skoku do basenu, z którego właśnie jest spuszczana woda. Pod koniec lipca minister klimatu Paulina Hennig-Kloska i jej zastępczyni Urszula Zielińska przedstawiły Krajowy Plan w Dziedzinie Energii i Klimatu 2030. Oznajmiły, iż w ciągu dekady mamy wydać 1,1 bln zł na ekocudeńka, dzięki czemu rachunki za prąd spadną o 7–9 proc. Już w 2030 r. elektrownie pogodowe mają dawać 52 proc. energii, a w 2040 – 80 proc.

No to przyjrzyjmy się. By dostarczyć energii z wiatraków dla całej Polski, trzeba by nimi pokryć 12–16 tys. km², czyli mniej więcej całe województwo śląskie albo świętokrzyskie i pół opolskiego. Możemy sobie dowolnie kombinować i jak ktoś nie lubi lubuskiego, to tam może zasiać wiatraki, z tym że trzeba by wyrżnąć wszystkie lasy i stawiać monstra na jeziorach Pojezierza Łagowskiego. Dla samej stolicy potrzeba 800 km, czyli półtorej Warszawy takiej farmy wiatrowej. Jeśli tylko zgodnie z tym genialnym planem pań od klimatu zechcemy dać tylko 50 proc. energii z wiatru, to las wiatrakowy powinien mieć jakieś 8 tys. km², co oznacza, że wiatraki można by upchnąć na Opolszczyźnie. Pod warunkiem, że będziemy je stawiać także w miastach i na wsiach, na drogach, na torach kolejowych, w lasach, na rzekach, lotniskach, w parkach narodowych itd.

Zapowiedzi premiera Tuska o repoweringu oznaczają wymianę starych turbin na nowe o większej mocy. Te jednak będą musiały być wyższe i z większymi łopatami, by łapać więcej wiatru. To oznacza też demontaż i utylizację starych, nowe fundamenty i nową konfigurację wiatraków na farmie. Na tej samej powierzchni nie da się upchnąć tyle samo wiatraków większych co mniejszych. Większe wirniki wymagają większych odległości. Ponadto im większy wiatrak i łopata, tym większy opisany cień wiatru. W tych gminach, gdzie w planach zabudowy obowiązuje stara zasada 10H – odległość wiatraka od zabudowań musi wynosić 10 razy więcej niż wysokość wieży plus wystającej nad nią łopaty, nie da się postawić żadnej większej turbiny. Na koniec więc sprytny plan repoweringu może ograniczyć się do kilku lokalizacji.

Gdybyśmy chcieli dać energię tylko ze słońca, to pod panele potrzebujemy 1,5 mln km², czyli tyle co Hiszpania, Francja i Niemcy razem wzięte. Do tego magazyny energii. Te wyliczenia powierzchni są pewnym ćwiczeniem intelektualnym uwzględniającym rzeczywistą efektywność, a nie to, że owszem, panele i wiatraki mogą wyprodukować ogrom energii. Tej nadmiarowej nie da się bowiem przechować wtedy, kiedy nie świeci i nie wieje, czyli jakieś 80 proc. roku. Przypominamy – latem w nocy też nie ma słońca. Brakuje efektywnych magazynów energii i dlatego nie ma nawet pociągów na akumulator, tylko wszędzie muszą być druty trakcji, a jak ich nie ma, to się puszcza spalinówki.

JAK WE FRANCUSKIM DOWCIPIE

Zabawa w OZE kosztuje nas 20–25 mld zł rocznie, nikt nie wie, ile dokładnie, bo dotacje i fundusze są rozproszone jak same wiatraki. Owo 20–25 mld to 2,5–3 razy więcej niż dokładamy rocznie na przeklęty węgiel. A i to zależy, jak liczyć, bo z 9 mld zł, które w tym roku ma trafić do sektora górniczego, aż 7 mld idzie na redukcję zdolności produkcyjnych. Upraszczając: 2 mld na to, by kopać, a 7 mld, by przestawać kopać. Unijny podatek od powietrza ETS kosztuje rocznie – w zależności od spekulacji – od 30 mld zł do nawet 84 mld, jak w 2022 r. Z tego mniej niż połowa trafia do budżetu. Reszta przez giełdę w Lipsku wyparowuje za granicę, bo Polska cierpi na deficyt uprawnień do emisji CO_2 i musi je importować.

Rocznie więc energia pogodowa wraz z kosztami kopania i niekopania węgla kosztuje nas 60–120 mld zł. Wszytko to dodatkowo ląduje na naszych rachunkach za prąd. W nich bowiem uwzględniony jest haracz ETS za powietrze, koszt niekopania węgla i braku prądu z wiatraka, bo za nieodbieranie go też trzeba płacić. Do tego 5 mld zł na rynek tzw. mocy – utrzymanie gotowości elektrowni konwencjonalnych, które wchodzą w system, gdy nie ma prądu z wiatru i słońca. Jest jak we francuskim dowcipie o Belgach, którzy na noc stawiają przy łóżku dwie szklanki – jedną z wodą, drugą pustą, bo jak się budzą, to raz chce im się pić, a raz nie.

Dochodzimy do sedna groteskowego układu. Państwo dorzuci nam z naszych podatków do rachunku za prąd po to, byśmy my dorzucali na energetykę pogodową, która sprawia, że prąd jest jeszcze droższy, więc państwo jeszcze więcej dorzuci z naszych podatków do naszych rachunków, byśmy jeszcze więcej dorzucili na energetykę pogodową i mieli jeszcze droższy prąd... i tak do rozpadu systemu, co prognozuje prof. Władysław Mielczarski z Instytutu Energetyki Politechniki Łódzkiej, wykładowca na uniwersytetach w Melbourne i Singapurze. Przewiduje on, że coraz częściej będzie dochodzić do całkowitego zaniku energii w sieci, jak niedawno w Hiszpanii i Portugalii, Czechach, a wcześniej w Anglii. System załamie się nie tylko energetycznie, lecz także finansowo. Tak czy owak, po 35 latach zielonej rewolucji 450 mln Europejczyków boi się, że nie będzie prądu albo nie będzie ich stać na opłacanie rachunków. Rządy Austrii, Niemiec czy Szwecji co jakiś czas prowadzą kampanie o tym, jak przetrwać bez energii elektrycznej. Mamy trzecią dekadę XXI w. i wracamy do problemów, które były rozwiązane w połowie XX w.

eprasa.pl f3c8658096

Kto tym kręci

Fundacja finansowana m.in. z zysków niemieckich firm działających w branży OZE wspiera rząd Tuska w walce o wiatraki

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

21 sierpnia prezydent Karol Nawrocki ogłosił weto do ustawy wiatrakowej. Tego samego dnia fundacja o nazwie More in Common (Łączy nas więcej) opublikowała wyniki badań opinii publicznej, z których wynikało, że Polacy kochają wiatraki i życzą sobie, by było ich jak najwięcej. Dane natychmiast trafiły do materiałów propagandowych rządu. Internet zalały grafiki wyprodukowane m.in. przez Ministerstwo Energii i Kancelarię Premiera. 64 proc. Polek i Polaków popiera rozwój farm wiatrowych! 59 proc. preferuje miks energetyczny bazujący na odnawialnych źródłach energii! Tylko 24 proc. nie popiera lądowej energetyki wiatrowej! Wniosek był prosty: forsując ustawę wiatrową, rząd Donalda Tuska działa ku chwale ojczyzny, a stawiający weto prezydent Karol Nawrocki przeciwstawia się woli Polaków.

– Powiedzcie mi, dlaczego polski rząd podpiera się badaniem zleconym przez fundację More in Common, która otrzymała w 2022 r. 350 tys. dol. na stworzenie polskiego oddziału od George Sorosa, nie mówiąc już o milionowych grantach, aby uderzyć w prezydenta Polski? – pytał europoseł PiS Michał Dworczyk.

IMIGRACJA I WYBORY

More in Common to dość typowe ogniwo globalnej sieci liberalno-lewicowych organizacji pozarządowych. Działa w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, a od 2022 r. także w Polsce.

„Nasz zespół prowadzi badania na temat demokracji oraz najważniejszych wyzwań społecznych naszych czasów. Angażujemy się też w działania na rzecz zmniejszania polaryzacji społecznej w Polsce. W naszej pracy łączymy doświadczenia i ekspertyzę z zakresu politologii, socjologii, psychologii społecznej i komunikacji" – tak informuje o swoich działaniach polski oddział fundacji.

Adam Traczyk, dyrektor fundacji More in Common

Poza badaniami dotyczącymi klimatu i źródeł energii More in Common zajmuje się np. problemem migracji. W maju br. fundacja opublikowała badania pokazujące, że mamy całkiem przychylne podejście do napływu imigrantów, bo widzimy potrzebę zasilenia przez nich rynku pracy. „Korzyści ponad obawy. Ekonomiczny potencjał imigracji oczami Polaków" – tak brzmiał tytuł raportu opublikowanego przez More in Common.

Fundacja wspiera także demokratyczne zaangażowanie obywateli. Wykonane przez nią badania „dotyczące postaw i oczekiwań Polek i Polaków" zostały wykorzystane w kampanii profrekwencyjnej „To Twój wybór" przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Zdaniem organizatorów wspierane m.in. przez Fundację Batorego działania przyniosły oszałamiający sukces – docierając do 88 proc. kobiet w wieku 18–34 lat, kampania przyczyniła się do rekordowej frekwencji w tej grupie demograficznej. Nie trzeba dodawać, że mobilizacja młodych kobiet była jednym z warunków wyborczego sukcesu ówczesnej opozycji.

MECHANIZM I KOMPROMIS

Na pierwszy rzut oka mamy więc do czynienia z następującym mechanizmem: fundacja zamawia badania potwierdzające pewną tezę, zainteresowani jej forsowaniem powołują się

eprasa.pl f3c8658096

na ten „głos społeczeństwa" w swojej propagandzie, osiągając w ten sposób określony zysk, np. polityczny czy narracyjny.

W odpowiedzi na pytania tygodnika „Sieci" dyrektor More in Common Adam Traczyk wyjaśnia jednak, że to zupełnie nie tak. Badania dotyczące wiatraków podobnie jak wcześniejsze miały się przyczynić do „zawarcia dobrego dla Polski kompromisu cieszącego się szerokim poparciem społecznym wykraczającym poza utarte ramy sporów partyjnych".

Traczyk tłumaczy, że sondaże zlecane przez jego fundację „regularnie wskazują duży konsensus społeczny co do kierunku rozwoju polskiej energetyki i szerokie, ponadpartyjne poparcie dla inwestycji w energię atomową oraz odnawialne źródła energii". Jak przekonuje, w kwestionariuszu wiatrakowego badania przeprowadzonego przez firmę Opinia24 (sondaże zamawia u niej m.in. Platforma Obywatelska) zawarte było „ogólne sformułowanie o poparciu dla rozwoju energetyki wiatrowej oraz pytanie o stosunek do budowy wiatraków w okolicy miejsca zamieszkania bez bieżącego kontekstu politycznego".

Dlaczego wyniki zamówionego 30 lipca sondażu zostały opublikowane akurat w dniu ogłoszenia prezydenckiego weta? Czy to przypadek, że został on natychmiast wykorzystany przez rządową propagandę?

– Jak wszyscy inni badacze nie mamy pełnej kontroli nad tym, przez kogo i w jakim kontekście zostaną przytoczone wyniki naszych badań. W naszym zamyśle mają one służyć wszystkim, którzy chcą skonfrontować swoje wyobrażenia z tym, co rzeczywiście myślą Polacy i dokładamy wszelkich starań, aby tak było – mówi Traczyk.

> – Nie lobbujemy na rzecz danych rozwiązań politycznych, lecz staramy się wskazywać obszary, w których Polki i Polaków więcej łączy, niż dzieli – powiedział tygodnikowi „Sieci" Adam Traczyk, dyrektor fundacji More in Common. Czy aby na pewno?

NIEMIECKIE PIENIĄDZE

Zanim w lipcu 2022 r. został szefem More in Common, Adam Traczyk był związany z utrzymywanym z pieniędzy m.in. rządu RFN, Komisji Europejskiej, fundacji George'a Sorosa i Friede Springer Niemieckim Towarzystwem Polityki Zagranicznej. Jeszcze wcześniej pracował w Friedrich-Ebert-Stiftung, fundacji politycznej niemieckiej SPD. Doradzał w zakresie polityki zagranicznej Robertowi Biedroniowi, współpracował z senackimi komisjami Unii Europejskiej i Spraw Zagranicznych.

Zapewnienia Traczyka, że jego organizacja jest apolityczna (a przynajmniej ponadpartyjna) i przeciwstawia się polaryzacji społeczeństwa, naszym zdaniem nie wytrzymują konfrontacji z publiczną działalnością dyrektora More in Common. Wystarczy przejrzeć jego konta w mediach społecznościowych – jeśli np. porównywanie posła PiS Przemysława Czarnka z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem nie jest wzmacnianiem polaryzacji i partyjną nawalanką, to ciekawe, co nimi jest.

Wydaje się, że w kwestii ustawy wiatrakowej Adam Traczyk także stracił dystans i chłód obiektywnego badacza.

„Chciałbym dokładnie zrozumieć, na czym polega szantaż wobec prezydenta w sprawie energii wiatrowej. W ustawie miał dwa dobre rozwiązania z szerokim poparciem i ustawę zawetował. Tak jakby ktoś ci podsunął pod nos eklerkę i napoleonkę, a ty byś się oburzył, że to szantaż" – pisał na platformie X po wecie.

„Z pewnym zaciekawieniem dowiaduję się, że największe problemy z tymi wiatrakami to fakt, że zmiana ustawy wiatrakowej wpłynie na ceny energii za kilka lat, a nie od wczoraj i że w gabinecie prezesa PGE stoi plastikowy wiatrak od podwykonawcy" – komentował.

„Ja mam 50 metrów od swojego mieszkania przedszkole, spróbujcie dilować z tym hałasem" – ironizował.

„Siemens w 2024 roku odnotował rekordowy zysk na poziomie 9 miliardów euro, a kurs jego akcji w ostatnich 5 latach wygląda tak. Nie wygląda mi to na firmę, którą trzeba ratować, ale może warto się pochylić nad leczeniem antyniemieckich obsesji" – odpowiadał na komentarz, że ustawa została napisana w interesie zagranicznych firm z branży OZE.

Takie firmy zresztą finansują działania More in Common. Wśród jej donatorów znajduje się na Fundacja Roberta Boscha. Posiada ona 94 proc. udziałów w Robert Bosch GmbH z siedzibą w Stuttgarcie. Zyski grupy Boscha trafiają więc do fundacji. Wśród spółek córek Boscha jest Bosch Rexroth, produkująca m.in. systemy hydrauliczne do turbin wiatrowych (a także zajmująca się OZE Bosch Home Comfort Group).

Czy to wypada, żeby kampaniami na rzecz energetyki wiatrowej zajmowała się fundacja zasilana pieniędzmi pośrednio pochodzącymi od firmy zainteresowanej jej rozwojem z powodów komercyjnych?

– More in Common Polska nie prowadzi żadnych kampanii czy działań rzeczniczych. Nie lobbujemy na rzecz danych rozwiązań politycznych, lecz staramy się wskazywać obszary, w których Polki i Polaków więcej łączy, niż dzieli – odpowiada na pytanie tygodnika „Sieci" Adam Traczyk.

– Fundacja More in Common Polska za pośrednictwem naszego punktu koordynującego w Londynie otrzymała środki od Fundacji Roberta Boscha w ramach grantu obejmującego kilka państw na badania dotyczące postrzegania migracji – podkreśla. –Nie dostrzegamy związku pomiędzy tym projektem a badaniami dotyczącymi transformacji energetycznej – twierdzi.

eprasa.pl f3c8658096

Zarzuty prokuratury w sprawie ujawnienia tzw. planu „Wisła" nie zaszkodzą zbytnio głównemu oskarżonemu, czyli Mariuszowi Błaszczakowi. Będzie wręcz przeciwnie: odświeżą pamięć o sprawie, która kompromituje rządy Platformy. A na dodatek przypomną to, że Błaszczak miał największe osiągnięcia spośród ministrów obrony narodowej w czasach III RP, a przedstawiciele PO w tym resorcie – szczególnie Bogdan Klich – byli najgorszymi szefami tego ministerstwa

Kto zyska, kto straci, czyli atak na Błaszczaka

PIOTR GURSZTYN

Mariusz Błaszczak, a także oskarżany w tej samej sprawie obecny szef BBN Sławomir Cenckiewicz zapewne stracą trochę czasu na bezsensownych przesłuchaniach w prokuraturze. I na tym prawdopodobnie skończą się ich straty. Bilans – wbrew intencjom obecnej władzy – będzie dla nich pozytywny. Szczególnie dla Błaszczaka jako polityka, którego funkcjonowanie zależy od sympatii lub antypatii wyborców.

Pod względem formalnym zarzuty brzmią absurdalnie. Ujawniając plany oddania bez walki jednej trzeciej kraju rosyjskiemu agresorowi, Błaszczak miał osiągnąć korzyść osobistą w postaci uzyskania większej liczby głosów oddanych na niego w wyborach parlamentarnych 2023 r. Jak prokuratura chce to udowodnić w wymierny sposób? Prokuratorzy przyznają, że Błaszczak jako minister miał prawo do odtajniania tego typu archiwaliów, ale uczynił to „bezrefleksyjnie". Na dodatek rozdygotana rzecznik prokuratory Alicja Szelągowska oznajmiła, że Błaszczak doprowadził do „ośmieszenia Polski na arenie międzynarodowej". To chyba pierwszy taki przypadek, że prokuratura ściga polityka z tak publicystycznego powodu. Brzmi komicznie, ale przy okazji udowadnia polityczny motyw ścigania Błaszczaka.

Poziom absurdu powiększa kakofonia w atakach polityków Koalicji Obywatelskiej na Błaszczaka. Z jednej strony zarzucają mu ujawnienie

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl f3c8658096

tajemnicy państwowej i narażenie na szkodę bezpieczeństwa Polski. Z drugiej twierdzą, że tamte plany nie miały znaczenia, gdyż były jedynie hipotetycznymi wariantami, elementem ćwiczeń sztabowych, a nie rzeczywistym scenariuszem działań Wojska Polskiego.

Prokuratura, twierdząc, że Mariusz Błaszczak uzyskał „osobistą korzyść" w postaci zwiększonego poparcia wyborców, potwierdza coś, na czym obecnej władzy nie powinno zależeć. Ujawnienie kompromitujących planów obrony było ogromnie ważną informacją dla wielkich mas wyborców. Przede wszystkim dla mieszkańców Polski wschodniej i północnej, czyli jednej trzeciej części naszego kraju. Z tego powodu Błaszczak nie wygląda na niezadowolonego z powodu działań prokuratury. Jak sam kilkakrotnie mówił, plan „Wisła" to temat, który rezonuje na spotkaniach z wyborcami (a właściwie plan „Warta", bo tak się nazywał oficjalnie, a słowo „Wisła" pojawiło się samoistnie w debacie publicznej po ujawnieniu). Ludzie, z którymi się spotykał, nadal są poruszeni informacjami o tym, że ich własne państwo chciało ich porzucić w razie agresji putinowskiej Rosji. W oczywisty sposób łączą to z informacjami o zbrodniach takich jak Bucza czy Irpień. Dodajmy też rzecz powszechnie znaną – najbardziej „wydajną" bazą rekrutacyjną WP jest Polska wschodnia. Dla wielkich mas żołnierzy to był sygnał, że nie będą bronione ich rodzinne miejscowości oraz najbliżsi im ludzie.

Od momentu ujawnienia tych rewelacji minęło sporo czasu, więc temat zacierał się w pamięci, także mieszkańców Polski wschodniej. A tu bum! Żurkowska prokuratura postanowiła odświeżyć pamięć. A przy okazji Błaszczak – posłaniec złej nowiny, a nie autor szkodliwego planu obrony – ukaże się w aureoli tego, który cierpi za ujawnienie nieprzyjemnej prawdy. Złośliwie można stwierdzić, że dopiero teraz prokuratura przysporzy korzyści osobistej Błaszczakowi – bo jego popularność wśród wyborców zdecydowanie wzrośnie, a nie zmaleje.

OD PIERWSZEGO KILOMETRA

Błaszczak jako szef MON głosił plan obrony kraju „od pierwszego kilometra". Ówczesna opozycja krytykowała to jako koncepcję bezsensowną. Życie przyznało mu rację, bo najpierw prezydent Joe Biden ogłosił obronę terytorium państw NATO właśnie „od pierwszego kilometra", a po przejęciu władzy ekipa Donalda Tuska ogłosiła plan budowy Tarczy Wschód od razu przy samej granicy. Potwierdzeniem tego, iż rzeczywiście ówczesne władze cywilne i dowództwo wojskowe chciało oddać jedną trzecią Polski, była awantura o dyslokację czołgów Leopard. Najlepsze wówczas wozy WP stacjonowały w Żaganiu, czyli setki kilometrów od zagrożonej granicy wschodniej. Ich dyslokacja w 2017 r. wywołała potężną falę krytyki, a osławiony gen. Mirosław Różański podał się w proteście do dymisji. Bo „leosie" miały być... odwodem. Czyli siłą, która miała kontratakować dopiero wtedy, gdy wróg wtargnąłby w głąb terytorium Polski.

Sprawa obrony „od pierwszego kilometra" i Tarczy Wschód przypomina kolejną rzecz. Mariusz Błaszczak jako szef MON był atakowany przez ówczesną opozycję także za wszystkie swoje działania. I znowu tak się złożyło, że obecna władza – złożona z dawnych krytyków – nie zakwestionowała żadnego z odziedziczonych kierunków działań (a co więcej, nie dodała nic nowego o zauważalnej wartości). W większym lub mniejszym stopniu idzie drogą wyznaczoną przez Błaszczaka.

NAJLEPSZY I NAJGORSZY MINISTER

Nikomu nie chce to przejść przez usta, ale gdyby ktoś stworzył ranking ministrów obrony III RP, Błaszczak bezkonkurencyjne zająłby pierwsze miejsce. Obiektywnie rzecz biorąc, to on – niezależnie od wszystkich oczywistych dyskusji i kontrowersji – był najlepszym ministrem obrony po 1989 r. Bo kto był lepszy?

Jednocześnie nie ma wątpliwości, kto był najgorszym szefem MON. To Bogdan Klich – osoba znienawidzona i pogardzana przez ogromną większość żołnierzy Wojska Polskiego (zwłaszcza tych, których wyrzucił z szeregów redukowanej przez siebie armii). Mamy więc sytuację, że prokuratura ściga najlepszego szefa MON, a najgorszy ma być nagrodzony prestiżowym stanowiskiem ambasadora RP w USA.

Wiadomo, że Bogdan Klich nie nadaje się na to stanowisko. Nie tylko dlatego, że w furiacki sposób obrażał prezydenta Donalda Trumpa, ale też z tego powodu– i jest to zbyt rzadko podnoszone – że zdemolował potencjał obronny Polski. Plan „Warta" – za ujawnienie którego ścigany jest dzisiaj Błaszczak – jest z tym bezpośrednio związany. Armia, zredukowana przez Klicha do żałosnych rozmiarów, nie była w stanie skutecznie bronić nie tylko Polski wschodniej. Owe 96 tys. ludzi z jego czasów (wliczając w to wojskowych urzędników, logistykę, obsługę tyłów itp.) nie mogłoby obronić ani linii Wisły, ani nawet dalszych rubieży w centrum kraju. I żeby było jasne – Klich był „tylko" wykonawcą, ministrem w rządzie Donalda Tuska. Pamiętając o jego odpowiedzialności za wyrządzone szkody, nie należy zapominać o tym, kto zlecił mu taki kierunek działań.

„Akcja Likwidacja" – tak nazywano w wojsku działalność Bogdana Klicha. On sam chwalił się mediom tym, jak jest skuteczny w redukowaniu liczebności armii. „Już w 2008 r. po całej Polsce rozjechały się połączone komisje wojskowe, które typowały nieperspektywiczne garnizony. »Po pierwszej inspekcji dostałem propozycje na zlikwidowanie zaledwie 6 proc. infrastruktury. W sytuacji, w której uzawodowiliśmy armię i wyprowadziliśmy z niej poborowych, te 6 proc. było całkowicie nie do zaakceptowania« – tłumaczy Bogdan Klich. Komisje znów pojechały w kraj szukać oszczędności. W listopadzie 2009 r. okazało się, że jednak da się zredukować więcej. Tym razem kontrolerzy krakowskim targiem zaproponowali redukcję o 13,5 proc. Wojsko dostało dwa miesiące na znalezienie pełnych 20 proc." – z entuzjazmem pisał w lutym 2010 r. tygodnik „Polityka". Zwróćmy uwagę, że wspomniany 2008 r. to czas agresji regularnej armii rosyjskiej na Gruzję. Artykuł kończył się w ciekawy sposób: „Gen. Mirosław Różański, dowódca

eprasa.pl f3c8658096

11. Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, sam zgłosił do wcześniejszego zlikwidowania podległy mu 10. Batalion Rozpoznawczy. Mało tego, chce oddać miastu drogie w utrzymaniu i mało przydatne dla wojska budynki zajmowane w centrum. W tym własny sztab. To ciągle postawa rzadko spotykana. Ale dobrze rokująca dla armii i podatnika. Niebawem okaże się, ilu jest w armii nowocześnie myślących dowódców, a w parlamencie posłów z szerokimi horyzontami". Tak zaczęła się kariera generała, który dzisiaj jest senatorem Polski 2050.

Klich nie miał najmniejszej determinacji, aby bronić interesów powierzonego mu resortu. Mimo ustawowego obowiązku wydawania na obronność 1,95 proc. PKB nakłady na armię *de facto* spadały – w 2008 r. było to 1,67 proc., a rok później 1,7 proc. PKB. Miał słabą pozycję we własnym rządzie i nawet gdyby chciał, to nie dostałby więcej (inaczej niż Błaszczak, który potrafił przeforsować niesłychane do tej pory wydatki).

„Profesjonalizacja" armii przez Klicha spowodowała to, że było to wojsko, w którym było pełno wodzów, a mało Indian. W 2011 r. na jednego oficera przypadało 3,5 podoficerów i szeregowych. W czasie redukcji wyższe szarże zadbały o swe etaty, a zawodowi podoficerowie i szeregowi nie mieli pleców, więc byli wywalani na bruk.

„To najgorszy minister obrony w ostatnim dwudziestoleciu. W działaniach każdego z jego poprzedników potrafiłem znaleźć jakieś plusy. W przypadku ministra Klicha nie ma żadnych argumentów, by pozostawał na swoim stanowisku choćby przez jeden dzień" – mówił w 2011 r. gen. Sławomir Petelicki.

Żaden szef MON nie miał na swym koncie tak czarnej serii, jak liczba katastrof samolotów lotniczych. Najpierw spadł samolot CASA w Mirosławcu. Zginęło 20 lotników, w tym jeden generał i pięciu pułkowników. Potem rozbił się śmigłowiec, zginął jeden z pilotów. Krótko po tej katastrofie doszło do poważniejszej – rozbił się samolot Bryza (z tego samego 36. Pułku Lotnictwa Transportowego, z którego był tupolew zniszczony w Smoleńsku). Zginęło czterech lotników.

Dowódca sił lotniczych gen. Andrzej Błasik ostrzegał Klicha, że „wykonanie zaplanowanego do realizacji nalotu jednostek lotniczych SP w 2010 roku jest zagrożone zbyt niskim przydziałem paliwa lotniczego. Przydzielone limity paliwa nie pozwolą na wykonanie zaplanowanych na 2010 rok zadań". W tym samym roku w budżecie MON zabrakło też 220 mln zł na bieżące remonty samolotów. Chwilę później gen. Błasik stracił życie w katastrofie smoleńskiej, czyli tragedii, która w największym stopniu obciąża bilans rządów Bogdana Klicha w Ministerstwie Obrony.

Przychodząc do ministerstwa, Klich zastał wojsko liczące 90 tys. żołnierzy zawodowych i 54 tys. odbywających zasadniczą służbę wojskową. Po roku liczba zawodowych spadła do 78 tys., a „zetę" zredukowano do 37 tys. Po kolejnym roku, już po zawieszeniu poboru, ogólny stan sił zbrojnych wyniósł 106 tys. ludzi, czyli o 38 tys. mniej niż w momencie przyjścia Klicha do ministerstwa. Po roku – w końcu 2010 r. – wojsko liczyło już tylko 97 tys. ludzi. I nie był to koniec „rekordów" – w 2012 r. (już za ministra Tomasza Siemoniaka) liczba sięgnęła dna – 95 tys. żołnierzy.

> Nikomu nie chce to przejść przez usta, ale gdyby ktoś stworzył ranking ministrów obrony III RP, Mariusz Błaszczak bezkonkurencyjne zająłby pierwsze miejsce. A kto był najgorszym szefem MON? Oczywiście Bogdan Klich

Za czasów Klicha zostało rozformowanych ponad 600 różnego rodzaju jednostek organizacyjnych WP, w tym wiele dużych jednostek bojowych w garnizonach położonych na wschodzie Polski – w Przemyślu, Siedlcach, Rzeszowie, Braniewie, Olsztynie. W wielu miastach szczególnym znakiem tego była sprzedaż kompleksów koszarowych na potrzeby cywilne. Dzisiaj wojsko musi się ratować budowaniem miasteczek kontenerowych.

Na tym tle lista osiągnięć Mariusza Błaszczaka jawi się spektakularnie. Zakup czołgów Abrams i K2, błyskawicznie realizowany kontrakt na armatohaubice K9, zakup samolotów FA-50, kontrakt na myśliwce piątej generacji F-35, zakup systemów rakietowych HIMARS, umowa na dostarczenie nowych okrętów (w tym fregat z programu „Miecznik"), dalsza rozbudowa obrony przeciwlotniczej, dostawy śmigłowców, dronów (w tym słynnych bayraktarów), zwiększone zakupy różnego rodzaju sprzętu oraz wyposażenia w polskich zakładach zbrojeniowych. I to wszystko w warunkach jednoczesnego bardzo intensywnego wspierania walczącej z Rosją armii ukraińskiej.

Za Błaszczaka znikł z obiegu osławiony zwrot, że wojsko rozpoczęło „dialog techniczny", czyli że zacznie się długotrwała, przewlekła i niekoniecznie sfinalizowana procedura zakupu jakiegoś sprzętu. Nawet najbardziej wrodzy pisowskiemu ministrowi komentatorzy musieli przyznać półgębkiem, że Błaszczak znacząco ograniczył papierologię w procedurach zakupowych.

Widać to też w rozwoju liczebnym sił zbrojnych. Przychodząc do ministerstwa, Błaszczak zastał ok. 104 tys. żołnierzy zawodowych i pierwsze 4 tys. żołnierzy WOT. Odchodząc z resortu w grudniu 2023 r., zostawił armię liczącą 240 tys. ludzi, licząc żołnierzy zawodowych, DZSW i WOT.

BUKIET KWIATÓW

Będą toczone debaty, czy wiele decyzji mogło być podjętych lepiej, czy też nie. Ale faktem jest, że Błaszczak ma się czym pochwalić, a Klich nie ma (tak jak Siemoniak). Prokuratura postanowiła to przypomnieć. Może Mariusz Błaszczak powinien wysłać prokuratorowi generalnemu Waldemarowi Żurkowi podziękowania wraz z wielkim bukietem kwiatów?

eprasa.pl f3c8658096

Każdy, byle nie z KO

Kamil Żbikowski

STANISŁAW JANECKI

Opozycja uważa, że dynamika uruchomiona porażką kandydatki rządzącej koalicji w Zabrzu daje szansę na referendum w Warszawie i odwołanie Rafała Trzaskowskiego

Tu wszystko jest znaczącym precedensem. W nadzwyczajnych wyborach na prezydenta Zabrza 24 sierpnia 2025 r. nie była ważna ani frekwencja, ani poglądy zwycięzcy Kamila Żbikowskiego. Najważniejsze było to, że 11 maja 2025 r. w referendum odwołano prezydent Agnieszkę Rupniewską i że 24 sierpnia nie wygrała Ewa Weber, kojarzona z Koalicją Obywatelską komisarz zarządzająca miastem, którą były wicepremier Jacek Sasin nazwał „protegowaną Borysa Budki".

Wybory odbywały się pod hasłem „Każdy, byle nie z KO". I Koalicja Obywatelska przegrała te wybory. Ewa Weber miała wynik zaledwie o 106 głosów gorszy od Kamila Żbikowskiego, ale liczy się porażka. Liczy się też to, że choć w referendum głosy ważne oddało „tylko" 25,2 proc.

Fot. Kamil Żbikowski – Lepsze Zabrze/facebook

eprasa.pl f3c8658096

uprawnionych, było to więcej niż wymagany próg trzy piąte uczestników drugiej tury wyborów z 2024 r. i referendum okazało się skuteczne. W wyborach samorządowych w 2024 r. Zabrze miało jedną z najniższych frekwencji (nieco ponad 36 proc.), więc próg do zorganizowania referendum był stosunkowo niski.

To ważne, gdyż skuteczne referendum odwoławcze jest w Polsce ewenementem. Zaledwie kilkanaście procent z nich kończy się sukcesem, np. w województwie śląskim tylko dwa razy przez ponad 20 lat: w Częstochowie w 2009 r. i w Bytomiu w 2012 r. Wynik wyborów w Zabrzu sprawia, że kolejne referenda w polskich miastach stały się bardziej realne. Podobnie jak realne jest upowszechnienie zasady: „Każdy, byle nie z KO". Nieprzypadkowo były premier Mateusz Morawiecki skomentował wynik zabrzańskiej elekcji wpisem na platformie X: „Zabrze to dopiero początek". Finałem miałoby być referendum o odwołanie prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego.

„TAK" DLA REFERENDÓW

W Zabrzu pomogło to, że Platforma Obywatelska obsadziła na stanowisku komisarza swoją kandydatkę na prezydenta miasta. Nie mając demokratycznego mandatu, ta pani komisarz sprzedała miejski „skarb" – zabytkową elektrociepłownię (grupie Arche za 7,4 mln zł).

Precedensów było więcej. Wybory odbywały się w wakacje, więc frekwencja była niska i decydowała mała liczba głosów. W pierwszej turze głosy odbierali sobie kandydaci Prawa i Sprawiedliwości Borys Borówka (15,29 proc. głosów) i Konfederacji Sebastian Dziębowski (14,09 proc. głosów), przez co żaden z nich nie wszedł do drugiej tury, a wzrosły szanse drugiego w pierwszej turze Kamila Żukowskiego (16,14 proc. głosów), startującego z własnego komitetu. Ewa Weber wygrała pierwszą turę wyborów z dużą przewagą (39,29 proc. głosów) i być może ostatecznie przegrała dlatego, że część jej wyborców pomyślała, iż ma zwycięstwo w kieszeni. Poza tym Kamil Żbikowski jest dobrze znanym, wieloletnim radnym. W Zabrzu wygrała osoba o lewicowych poglądach, ale – jak się okazało – jako kandydat anty-KO strawna dla wyborców sympatyzujących z prawicą.

W badaniu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej (6–13 sierpnia 2025 r.) po raz drugi zapytano Polaków, czy wzięliby udział w referendum odwoławczym w swojej gminie lub mieście. Wyniki potwierdzają większą chęć głosowania niż w lutym 2025 r., gdy OGB taki sondaż przeprowadziła po raz pierwszy – wtedy udział deklarowało 52,81 proc. badanych (44,1 proc. było na „nie"). Obecnie już 61,27 proc. (32,2 proc. było na „nie") wzięłoby udział w referendum odwoławczym.

W Zabrzu pomogło to, że Platforma Obywatelska obsadziła na stanowisku komisarza swoją kandydatkę na prezydenta miasta. Nie mając demokratycznego mandatu, ta pani komisarz sprzedała miejski „skarb" – zabytkową elektrociepłownię (grupie Arche za 7,4 mln zł)

W Polsce poddanie pod osąd wyborców kwestii odwołania urzędującego prezydenta miasta jest możliwe po zainicjowaniu procedury przez grupę mieszkańców, powiadomieniu odpowiednich organów i zebraniu wymaganej liczby podpisów (co najmniej 10 proc. uprawnionych do głosowania). Wedle stanu na sierpień 2025 r. w Częstochowie trwa zbiórka podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka. Inicjatywa została zgłoszona 14 sierpnia 2025 r., a zbiórka podpisów rozpoczęła się 25 sierpnia 2025 r. W Zawierciu zainicjowano procedurę odwołania prezydent miasta Anny Nemś. Wcześniej w 2025 r. we Wrocławiu próba odwołania prezydenta Jacka Sutryka upadła, gdyż nie zebrano wystarczającej liczby podpisów. Ale wrocławski poseł Konfederacji Krzysztof Tuduj wzywa wszystkie wrocławskie środowiska polityczne do powtórnego zorganizowania referendum, podkreślając, że przy poprzedniej próbie zawiodła organizacja. Piotr Uhle z komitetu SOS Wrocław, który próbował zorganizować pierwsze referendum, czeka na więcej środowisk, które będą „chętne do konkretnych działań". Posłanka Marta Stożek zadeklarowała, że partia Razem zastanawia się nad dołączeniem do tej inicjatywy.

KTO NASTĘPNY?

Z analiz m.in. Ogólnopolskiej Grupy Badawczej wynika, że referenda mogłyby się powieść w Poznaniu (od 2014 r. prezydentem jest Jacek Jaśkowiak z Platformy Obywatelskiej), Lublinie (od 2010 r. prezydentem jest Krzysztof Żuk z PO), Legnicy (prezydentem jest Maciej Kupaj z Koalicji Obywatelskiej), Wałbrzychu (od 2011 r. prezydentem jest Roman Szełemej z PO), Żorach (od 1998 r. prezydentem jest Waldemar Socha, dawniej związany z Unią Wolności), Koszalinie (prezydentem jest Tomasz Sobieraj z PO), Piotrkowie Trybunalskim (prezydentem jest Juliusz Wiernicki z PO), Sieradzu (od 2014 r. prezydentem jest Paweł Osiewała z lokalnego komitetu).

OGB cyklicznie sprawdza notowania prezydentów 10 największych miast w Polsce. Najnowsze pochodzą z badania, które zostało przeprowadzone 19–26 lutego 2025 r. Sondaż jest ogólnopolski, więc respondenci nie mają pełnej wiedzy o włodarzach 10 największych miast, lecz wyniki

eprasa.pl f3c8658096

mogą mieć znaczenie przy ocenie prezydentów i ewentualnych referendach o ich odwołanie. W badaniu z lutego 2025 r. najwyższy poziom zaufania odnotował prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski (37 proc.), ale nie ufa mu aż 42,49 proc. Na kolejnych miejscach uplasowali się: Aleksandra Dulkiewicz (prezydent Gdańska) – 31,18 proc. zaufania i 25,14 proc. nieufności, Hanna Zdanowska (prezydent Łodzi) – 22,19 proc. zaufania i 19,67 proc. nieufności, Jacek Jaśkowiak (prezydent Poznania) – 18,73 proc. mu ufa, a 16,00 proc. nie ufa, Aleksander Miszalski (prezydent Krakowa) – ufa mu 11,33 proc., a nie ufa – 14,96 proc., Jacek Sutryk (prezydent Wrocławia) – ufa mu 10,61 proc., a nie ufa 32,01 proc., Tadeusz Truskolaski (prezydent Białegostoku) – ufa mu 10,87 proc., a nie ufa – 7,09 proc., Krzysztof Żuk (prezydent Lublina) – ufa mu 8,16 proc., a nie ufa – 7,20 proc., Piotr Krzystek (prezydent Szczecina) – ufa mu 4,94 proc., a nie ufa – 5,73 proc., Rafał Bruski (prezydent Bydgoszczy) – ufa mu 3,87 proc., a nie ufa – 5,13 proc. Największa zmiana w kwestii braku zaufania w 2025 r w stosunku do 2024 r. dotyczy Jacka Sutryka – 18,36 pp., a następnie Aleksandry Dulkiewicz – 6,78 pp., Hanny Zdanowskiej – 5,83 pp. i Rafała Trzaskowskiego – 4,67 pp.

TERAZ TRZASKOWSKI

Za najważniejsze referendum w sprawie odwołania aktualnego prezydenta miasta jest uważane to w Warszawie, dotyczące Rafała Trzaskowskiego. Poseł Przemysław Wipler z Konfederacji ma już negocjować warunki jego przeprowadzenia. W czasie kampanii przed wyborem prezydenta RP polityk zapowiedział, że wspólnie z Prawem i Sprawiedliwością, ruchami miejskimi oraz partią Razem będzie zbierał podpisy pod wnioskiem. Temat referendum odżył po porażce Trzaskowskiego z Karolem Nawrockim. W tygodniku „Polityka" aktywność prezydenta Warszawy w serwisach społecznościowych została przedstawiona jako działanie wyprzedzające kampanię referendalną. Pod wnioskiem musi się podpisać 10 proc. uprawnionych do głosowania w wyborach w stolicy, czyli 138 tys. osób, a na zebranie podpisów jest tylko 60 dni. Referendum będzie ważne, jeśli weźmie w nim udział trzy piąte wyborców, którzy brali udział w wyborach na prezydenta Warszawy w 2024 r., czyli 466 tys. osób. To może być trudne, zważywszy na to, że Trzaskowski dwa razy z rzędu wygrał wybory samorządowe.

> Za najważniejsze referendum w sprawie odwołania aktualnego prezydenta miasta jest uważane to w Warszawie dotyczące Rafała Trzaskowskiego. Poseł Przemysław Wipler z Konfederacji ma już negocjować warunki jego przeprowadzenia

W PiS zdecydowanie za referendum jest Sebastian Kaleta, szef warszawskich struktur partii, oraz inni politycy związani ze Zbigniewem Ziobrą. Kaleta wskazuje na „rekordowy wynik Karola Nawrockiego w drugiej turze wyborów prezydenckich w stolicy" oraz zapewnia, że PiS „będzie cały czas punktować fatalną prezydenturę Trzaskowskiego w Warszawie". Dodaje, że przed Trzaskowskim udało się „uchronić Polskę, ale Warszawy cały czas szkoda". Sceptycy odpowiadają, że trzeba było zacząć zbierać podpisy za referendum od czerwca, a nie w sierpniu i wrześniu. Niektórzy z nich uważają, że nawet jeśli uda się odwołać Trzaskowskiego, żaden kandydat PiS nie wygra wyborów na prezydenta Warszawy. Mają tego dowodzić wyraźne porażki Patryka Jakiego i Tobiasza Bocheńskiego.

Zostało jeszcze trochę czasu, referendum można rozpisać najpóźniej dziewięć miesięcy przed kolejnymi wyborami samorządowymi, czyli przed sierpniem 2028 r.

W warszawskim ratuszu podobno „nie czuć nerwowej atmosfery z powodu próby odwołania prezydenta" (napisała tak „Gazeta Wyborcza"), bo PiS nie ma w Warszawie „żadnych szans". Dlatego urzędnicy ani zaplecze polityczne Trzaskowskiego nie przygotowują się do ewentualnego referendum. Sprawę nazywają „tematem zastępczym".

NIE POWTÓRZĄ BŁĘDU

Pierwszą próbę usunięcia włodarza z PO mieliśmy w Warszawie w 2013 r. Ówczesny burmistrz Ursynowa Piotr Guział wraz z Warszawską Wspólnotą Samorządową zebrał ponad 166 tys. podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz. 13 października 2013 r. oddano 343 732 głosy. Żeby głosowanie było ważne, musiało wziąć w nim udział trzy piąte liczby wyborców, którzy głosowali w wyborach prezydenta Warszawy w 2010 r., czyli co najmniej 389 430 osób. Frekwencja wyniosła 25,66 proc. Za odwołaniem Hanny Gronkiewicz-Waltz głosowało 322 017 osób, przeciwko było 17 465. Piotr Guział ocenił wówczas, że „wyborcy dali PO tylko żółtą kartkę. Ale wyborcy dali czerwoną kartkę partiom politycznym tą frekwencją". Ówczesny premier Donald Tusk podziękował warszawiakom za pozostawienie Gronkiewicz-Waltz na stanowisku oraz za „wyrozumiałość i cierpliwość".

W sierpniu 2025 r. inicjatorzy referendum w sprawie odwołania Rafała Trzaskowskiego zapewniają, że nie popełnią błędów, które wpłynęły na niepowodzenie w 2013 r. A odwołanie prezydenta Warszawy byłoby końcem rządów Donalda Tuska oraz układu stworzonego wokół Koalicji Obywatelskiej, rządzącego Polską od 13 grudnia 2023 r.

eprasa.pl f3c8658096

Nowacka wykuwa unijczyka doskonałego

Rozpoczyna się nowy rok szkolny 2025/2026, a do szkół wchodzą kolejne zmiany zaplanowane przez resort edukacji. Zdaniem ekspertów ich celem jest wyhodowanie Europejczyka doskonałego, wyzwolonego z narodowej tożsamości

DOROTA ŁOSIEWICZ

Elementy tzw. reformy edukacji mają być wprowadzane stopniowo, aby szkoły miały czas na przygotowanie. 1 września 2025 r. pojawią się dwa nowe przedmioty: edukacja obywatelska i edukacja zdrowotna, ograniczone zostaną lekcje religii i etyki. Zmieni się także podstawa programowa wychowania fizycznego. Przyjrzyjmy się tym zmianom krytycznym okiem.

EDUKACJA OBYWATELSKA

To nowy przedmiot, który wkracza do szkół ponadpodstawowych. Edukacja obywatelska ma zastąpić historię i teraźniejszość. Ma kłaść nacisk na kształtowanie u uczniów praktycznych umiejętności i kompetencji. Teoretycznie jej celem ma być przygotowanie do świadomego i odpowiedzialnego zaangażowania w społeczeństwie demokratycznym, m.in. poprzez działania obywatelskie i projekty edukacyjne. A praktycznie?

– Ten przedmiot wpisuje się doskonale w projekt włączenia Polski do Europejskiego Obszaru Edukacyjnego. W nowym przedmiocie kładzie się nacisk na umiejętności projektowe i działania społeczne. Jednak zwracając uwagę na kręgi, w których funkcjonuje człowiek, pominięto zupełnie środowisko rodzinne. Wymienia się wspólnotę państwową czy lokalną, ale pomija się rodzinę – wyjaśnia Agnieszka Pawlik-Regulska, prezes Stowarzyszenia „Nauczyciele dla Wolności". – Z młodzieżą ma się rozmawiać o przynależności do Unii Europejskiej, ale już nie o kwestii suwerenności. Wszystkie te reformy, które wprowadza minister Nowacka, odzwierciedlają zamysł, aby polska edukacja przestała mieć charakter narodowy. Ma to być edukacja, w której dobrze odnajdzie się każdy obywatel Unii Europejskiej. O tych celach od dawna mówi Iliana Ivanova, unijna komisarz ds. innowacji, badań naukowych, kultury, edukacji i młodzieży. To samo podnosi Barbara Nowacka.

Dr Zbigniew Barciński, prezes Stowarzyszenia Pedagogów NATAN, dodaje, że działania Ministerstwa Edukacji Narodowej są systemowe i spójne. – Ich analiza prowadzi do wniosku, że resort chce przeprowadzić całościową transformację polskiej szkoły – zmianę wartości, jakim ma ona służyć. Można wskazać trzy główne cele tej transformacji. Cel pierwszy to likwidacja edukacji patriotycznej, edukacji, która uczy dumy z polskości. W tym kierunku idą zmiany w podstawach programowych szczególnie języka polskiego i historii oraz zmiany na liście lektur. Można odnieść wrażenie, że dla MEN wszystko, co służy postawie patriotycznej, jest „przemocowe" i do usunięcia ze szkoły. Likwidacja edukacji kształtującej polską tożsamość to przygotowywanie gruntu pod kształtowanie w szkole tożsamości europejskiej. Taką funkcję pełni Europejski Obszar Edukacji, który oznacza m.in. jednolity program do historii w szkołach krajów UE. Taką funkcję pełni też likwidacja przedmiotu historia i teraźniejszość i wprowadzenie w to miejsce edukacji obywatelskiej – ocenia dr Barciński. O kolejnych celach, które wymienia, za chwilę.

EDUKACJA ZDROWOTNA

Edukacja zdrowotna 1 września 2025 r. zastąpi wychowanie do życia w rodzinie. Przedmiot będzie realizowany w klasach IV–VIII szkoły podstawowej oraz klasach I–III branżowej szkoły I stopnia, klasach I–III liceum ogólnokształcącego i klasach I–III technikum. MEN informuje, że „edukacja zdrowotna to nowoczesny przedmiot, którego celem jest wyposażenie dzieci i młodzieży w rzetelną wiedzę, umiejętności oraz postawy umożliwiające skuteczne dbanie o zdrowie własne i innych osób we wszystkich jego wymiarach: fizycznym, psychicznym, społecznym, środowiskowym i cyfrowym. Przedmiot obejmuje nie tylko obszar medyczny czy biologiczny, lecz także zagadnienia związane z emocjami, relacjami, odpowiedzialnością, wartościami i dobrostanem. Uczy podejmowania świadomych decyzji zdrowotnych. Promuje zdrowy styl życia. Rozwija umiejętności komunikacji, empatii, troski o siebie i otoczenie.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f3c8658096

Fot. Shutterstock

Pozwala ustrzec się przed różnorodnymi zagrożeniami – od chorób zakaźnych przez uzależnienia po dezinformację".

W informacji resortu pominięto, że edukacja zdrowotna zawiera komponent „edukacja seksualna". Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły tak podsumowuje ten przedmiot na swojej stronie internetowej: „Lewicowy rząd, z minister edukacji Barbarą Nowacką na czele, wprowadza rewolucyjne zmiany w polskim szkolnictwie, ukrywając je pod nazwą »edukacja zdrowotna«! Pod tą szlachetną nazwą przemycane są do szkół treści proaborcyjne, zachęcające do wczesnej seksualizacji dzieci, promujące ideologię gender i tęczową narrację, co burzy podstawową wiedzę dzieci o społeczeństwie i samych sobie. Edukacja, która podważa fundamenty, na których opiera się funkcjonowanie ludzkości, nie jest dbaniem o zdrowy rozwój – wręcz przeciwnie, powoduje zamęt w umysłach nieświadomych dzieci, które są na etapie budowania swojego światopoglądu".

I tu wróćmy do kolejnego celu transformacji edukacyjnej wskazywanego przez dr. Zbigniewa Barcińskiego. – Cel drugi to przekształcenie przekonań moralnych młodego pokolenia w taki sposób, aby przestało ono cenić rodzinę i wartości chrześcijańskie. Temu służy z jednej strony likwidacja wychowania do życia w rodzinie i marginalizacja religii, a z drugiej wprowadzenie edukacji zdrowotnej. A ta wyrywa tematykę seksualną z kontekstu małżeństwa i rodziny i promuje wśród uczniów postulaty środowisk lesbijek, gejów, biseksualistów, osób transpłciowych i queer, co w podstawie programowej tego przedmiotu zostało określone jako »kwestie prawne i społeczne grup osób LGBTQ+«. Postulaty te to m.in. prawo do zawarcia małżeństwa przez dwóch mężczyzn, prawo do adopcji przez nich dzieci czy prawo do »uzgodnienia płci«, czyli urzędowego uznania deklaracji mężczyzny, że identyfikuje się jako kobieta (na to wskazuje litera »T« w skrócie LGBTQ+ oznaczająca osoby transpłciowe). Wśród tych postulatów jest także odrzucenie wszelkich norm w obszarze płciowości i seksualności (takie jest znaczenie litery »Q«, czyli queer we wspomnianym skrócie) – ocenia ekspert.

Tu warto przypomnieć, że w roku szkolnym 2025/2026 udział w przedmiocie edukacja zdrowotna nie jest obowiązkowy. Jest jednak dorozumiany – to znaczy, że rodzice muszą zrezygnować z udziału dziecka w zajęciach. Mają na to czas do 25 września.

MNIEJ RELIGII

Zgodnie z decyzją MEN od września tego roku lekcje religii mogą odbywać się w grupach międzyoddziałowych. Resort zdecydował także, iż nauka religii i etyki będzie odbywać się w wymiarze jednej godziny lekcyjnej tygodniowo, a nie dwóch, jak obecnie, przed lub po obowiązkowych zajęciach edukacyjnych.

Cytowana już przeze mnie Agnieszka Pawlik-Regulska widzi wszystkie wprowadzane zmiany w jasnym kontekście. „Barbara Nowacka potrafi być dobrym funkcjonariuszem systemu. Przeprowadza zmiany w szkole skutecznie i bezkompromisowo, bez udawania. Problem w tym, że wprowadza w szkole neomarksistowską rewolucję" – stwierdziła ekspertka na łamach PCh24.pl. Zdaniem Pawlik-Regulskiej reformy szefowej MEN składają się w spójny obraz: „Likwidacja prac domowych, wyrzucanie narodowych bohaterów i elementów tożsamości narodowej, brak obowiązkowości w przypadku lektur, uderzenie w rodzinę oraz intymne sfery życia poprzez edukację

eprasa.pl f3c8658096

zdrowotną, wreszcie usuwanie religii i deprecjonowanie wiary – to wszystko składa się na system marksistowski".

Zmiany oznaczają też problemy dla katechetów. Członek zarządu Stowarzyszenia Katechetów Świeckich Dariusz Kwiecień uważa, że reformy MEN mogą doprowadzić do utraty etatów przez blisko 10,5 tys. katechetów. „To na razie prognozy. Nie wiemy dokładnie, ilu katechetów zostanie bez pracy. Twarde dane poznamy w październiku. Jednak już teraz docierają do nas informacje od kolegów i koleżanek, że to dla nich bardzo ciężki, nerwowy czas" – powiedział PAP.

NOWA PODSTAWA PROGRAMOWA WF

Do tej pory najmniejsze emocje i kontrowersje wywołała nowa podstawa programowa przedmiotu wychowanie fizyczne. Będzie ona obowiązywać w: szkole podstawowej (klasy I–III oraz IV–VIII), szkołach ponadpodstawowych (licea, technika, szkoły branżowe I i II stopnia), szkołach policealnych. Dokument skupia się nie tylko na sprawności fizycznej, lecz przede wszystkim na kształtowaniu postaw i kompetencji.

Najważniejsze założenia to rozwijanie motywacji do regularnej aktywności fizycznej, promowanie zdrowego stylu życia poprzez ruch i zabawę, podejście skoncentrowane na uczniu i jego dobrostanie, uwzględnienie edukacji włączającej, sprawiedliwości społecznej i ochrony środowiska, wykorzystanie nowoczesnych technologii w edukacji fizycznej.

Nowa podstawa dla starszych klas szkoły podstawowej i szkół ponadpodstawowych zakłada: łączenie wiedzy z praktyką – wymagania obejmują konkretne umiejętności, pytania wiodące w każdej części programu, które pomagają zrozumieć cel nauki, korelacje międzyprzedmiotowe, wspierające całościowy rozwój uczniów. W klasach VII–VIII wprowadzono fakultatywny dział z ćwiczeniami stosowanymi podczas rekrutacji do służb mundurowych i zawodów wymagających wysokiej sprawności. W szkołach ponadpodstawowych ten dział będzie obowiązkowy dla wszystkich uczniów.

W „Głosie nauczycielskim" Karolina Godlewska-Kociela, nauczycielka wychowania fizycznego, tak komentowała zmiany: „Dokument wymaga od szkół i nauczycieli wychowania fizycznego wielu analiz i przemyśleń, bo w każdej szkole są inne warunki do uprawiania sportu. Sale gimnastyczne różnią się wielkością, mają lepsze lub gorsze zaplecze. Są też szkoły, gdzie alternatywą dla sali gimnastycznej jest korytarz szkolny. Tymczasem w nowej podstawie programowej przedmiot będzie wymagał zapewnienia odpowiednich warunków realizacji, które wspierają, jak czytamy, wszechstronny rozwój uczniów oraz „nabywanie wiedzy i umiejętności ruchowych". I dalej: „Infrastruktura będzie jak zawsze kluczowa. W tym przypadku będzie szczególnie ważna, bo uczniowie oprócz koszykówki, siatkówki, piłki nożnej i piłki ręcznej będą musieli zapoznać się jeszcze z zasadami dwóch innych gier zespołowych" – wyjaśniała nauczycielka.

> Wydaje się, że MEN odrzuca ideę, iż szkoła ma wspierać uczniów w zdobywaniu wartościowej wiedzy, że jest to miejsce, gdzie wymaga się od uczniów rzetelnej pracy. Wiele za to wskazuje, że resort ma ideę szkoły, która powinna zapewnić uczniom miłe spędzenie czasu

INNE ZMIANY

Co jeszcze zmieni się w szkole od września? Dyrektorzy będą mieli możliwość tworzenia klas sportowych z mniejszą liczbą uczniów (min. 14, a nie 20 jak dotychczas). Zostaną zlikwidowane tzw. godziny czarnkowe (czyli dodatkowy czas dostępności nauczycieli dla rodziców i dzieci). Zostanie wprowadzona ocena funkcjonalna – nauczyciele będą mogli stosować nowy system oceniania uczniów z autyzmem oraz innymi niepełnosprawnościami. Ocena funkcjonalna ma się nie skupiać wyłącznie na wynikach, lecz także na sposobach radzenia sobie w codziennym życiu.

Na koniec ponownie oddajmy głos dr. Zbigniewowi Barcińskiemu. – Cel trzeci reform Barbary Nowackiej to obniżenie poziomu szkolnej edukacji. Wydaje się, że MEN odrzuca ideę, że szkoła ma wspierać uczniów w zdobywaniu wartościowej wiedzy, że jest to miejsce, gdzie wymaga się od uczniów rzetelnej pracy i gdzie tę pracę się ocenia. Wiele za to wskazuje, że resort ma ideę szkoły, która powinna uczniom zapewnić miłe spędzenie czasu, wolność od pracy i od ocen (bo oceny z definicji „dyskryminują" – jedni dostają lepsze oceny, inni gorsze). W tę wizję szkoły bezstresowej wpisują się m.in. ograniczenia w zadawaniu i ocenie prac domowych czy obniżanie poziomu wymagań z matematyki w powstającej nowej podstawie programowej tego przedmiotu. W tę wizję szkoły wpisuje się postawienie w centrum idei dbania o „dobrostan" uczniów. W tę wizję „szkoły bez pracy, bez ocen, bez dyskryminacji" wpisuje się też idea edukacji włączającej, czyli dążenie do tego, aby w jednej klasie były osoby, których wiedza i zdolność zdobywania tej wiedzy są na bardzo różnym poziomie. To jest coraz bardziej powszechne ze względu na to, że likwidowanie są szkoły specjalne jako „stygmatyzujące i dyskryminujące". W takiej klasie nauczyciel musi dostosować zakres i tempo pracy do uczniów najsłabszych. Przestaje jednak wtedy wspierać pozostałych uczniów w wysiłku zdobywania wartościowej wiedzy. Podsumowując: szkoła, która uczy patriotyzmu, uczy postaw prorodzinnych, wspiera rozwój religijny, wspiera zdobywanie wiedzy – to według MEN przeżytek, coś, co trzeba odrzucić. Resort pod wodzą minister Nowackiej chce innej szkoły: szkoły kształtującej tożsamość europejską, promującej postulaty środowisk LGBTQ+, szkoły, w której poziom nauczania jest dostosowany do najsłabszych uczniów – podsumowuje ekspert.

Wykuwanie unijczyka doskonałego idzie więc pełną parą.

eprasa.pl f3c8658096

Kryzys zbożowy

Polskie rolnictwo stało się branżą wysokiego ryzyka. Produkcja żywności – głównie za sprawą zielonej transformacji i wyśrubowanych norm unijnych – jest coraz droższa, a konkurencja spoza Unii – coraz silniejsza

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tego lata pogoda nie sprzyjała rolnikom w Polsce. Dużo opadów i majowe przymrozki sprawiły, że choć ziarna nie brakuje, to często jest ono słabej jakości. Kiedyś można by je było przeznaczyć na karmę dla świń, ale dziś pogłowie tych zwierząt jest o połowę mniejsze niż 20 lat temu, gdy wchodziliśmy do Unii Europejskiej. Dlatego tegoroczne zboże trudno sprzedać i zalega w magazynach.

W rezultacie mamy do czynienia z dziwną klęską urodzaju – elewatory ograniczyły skup, a cena ziarna notuje historyczne spadki. Wielu rolników może ponieść duże straty, bo przy obecnych cenach skupu nie zwrócą im się poniesione nakłady. Niektórzy będą też mieli poważny problem ze spłatą zaciągniętych kredytów.

Polskie rolnictwo stało się branżą wysokiego ryzyka. Produkcja żywności – głównie za sprawą zielonej transformacji i wyśrubowanych norm unijnych

Fot. Shuterstock

eprasa.pl f3c8658096

– jest coraz droższa, a konkurencja spoza Unii, której te normy nie obowiązują, robi się coraz silniejsza. Wystarczy kilka tygodni gorszej pogody czy – jak dwa lata temu – zalew zboża z sąsiedniego kraju, aby cały sektor żywnościowy w Polsce zachwiał się w posadach.

Nie jest więc wielką przesadą stwierdzenie, że unijna umowa z krajami Ameryki Południowej (Mercosur) może się stać gwoździem do trumny polskiego rolnictwa. Jego upadek byłby śmiertelnym zagrożeniem, bo stracilibyśmy fundament, na którym opiera się nasze państwo. Kraj, który nie jest w stanie wyżywić swoich obywateli, traci przecież swoją suwerenność.

SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY

„Rok temu myśleliśmy, że gorzej być nie może. Teraz już wiemy, że może" – mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Poradnikiem Rolniczym" jeden z dolnośląskich rolników.

Tegoroczne żniwa zapowiadały się bardzo dobrze, potem jednak pogoda w Polsce się załamała. To, czego nie zniszczyły przymrozki i ulewny deszcz, zaatakowała grzybica. Rolnicy musieli się uwijać jak w ukropie, aby wykorzystać każdą chwilę słońca i zebrać z pola, co się da.

Do punktów skupu zaczęło trafiać mnóstwo mokrego ziarna słabej jakości. W rezultacie co najmniej 35 proc. zostało zakwalifikowane jako ziarno paszowe. Tu warto wyjaśnić, że zboże – w zależności od jego jakości – jest klasyfikowane jako konsumpcyjne (do spożycia przez ludzi) lub jako paszowe (na karmę dla zwierząt). Od tej klasyfikacji zależy cena w skupie. Ponieważ w tym roku ziarna paszowego było dużo, cena takiego surowca gwałtownie spadła (żyto – nieco powyżej 600 zł za t, a pszenica – ok. 750 zł za t). Po jakimś czasie elewatory zostały zapchane i w ogóle przestały przyjmować ziarno. Gdy w końcu pogoda trochę się poprawiła i żniwa ruszyły pełną parą, doszło do klęski urodzaju. Na świeżo zebrane ziarno, już lepszej jakości, zabrakło miejsca w magazynach, bo tego mokrego – z lipcowych zbiorów – nie udało się nigdzie upłynnić.

Być może byłoby inaczej, gdyby w ciągu ostatnich 20 lat nie wyrżnięto w Polsce milionów zwierząt hodowlanych. Kiedyś ziarno słabszej jakości można było sprzedać na paszę, jednak dziś nie ma na nią chętnych. Hodowcy wybili swoje stada, ponieważ konkurencja ze strony innych państw Unii okazała się dla nich zabójcza.

Rolnicy liczyli też na to, że za lepsze ziarno dostaną więcej pieniędzy, ale nic z tego. Ceny niektórych zbóż, w tym żyta i pszenicy, spadły w wielu regionach do poziomu sprzed dwudziestu kilku lat. Oznacza to gigantyczne straty w rolnictwie. I nie chodzi tylko o inflację – dzisiejsze 600–800 zł za t zboża ma niższą wartość niż 25 lat temu. Problem polega również na tym, że obecnie produkcja rolna jest znacznie droższa. Przykładowo 1 t nawozu (tzw. NPK) kosztuje obecnie ponad 2 tys. zł. Dlaczego jest tak drogo? Głównie z powodu unijnych opłat klimatycznych nakładanych na zakłady azotowe.

> Upadek rolnictwa byłby dla Polski śmiertelnym zagrożeniem. Kraj, który nie jest w stanie wyżywić swoich obywateli, traci przecież swoją suwerenność

Poza Unią ceny nawozów są znacznie niższe. Co więcej, tamtejsi producenci żywności nie podlegają restrykcyjnym normom, sztywno regulującym kalendarz nawożenia (bez względu na warunki pogodowe) ani obostrzeniom dotyczącym środków ochrony roślin czy emisji spalin. Nie dotyczą ich także nakazy stosowania konkretnych zabiegów agrotechnicznych oraz wszechobecna biurokracja, której symbolem są np. rejestry zwierząt hodowlanych.

Wszystko to miało poprawić jakość unijnej żywności oraz zmniejszyć negatywny wpływ rolnictwa na środowisko naturalne. Z tym nikt nie dyskutuje. Główny problem leży gdzie indziej – w tym, że żywność spoza Unii jest zwolniona z tych surowych wymogów. Polscy rolnicy domagają się równego traktowania, bo w przeciwnym razie zbankrutują.

ZABÓJCZA UMOWA

„Cena pszenicy pod rządami uśmiechniętej koalicji poniżej 800 zł za tonę... W 2022 roku cena ta wynosiła 1600 zł, a gdy w 2023 spadła do 950, bito w PiS jak – nomen omen – w mokre zboże. Rząd ratował wtedy rolników wielomiliardową pomocą publiczną. Dziś poniżej 800 zł i zero ratowania" – napisał w połowie sierpnia były europoseł i unijny komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski.

Tymczasem sytuacja może się wkrótce pogorszyć, bo rozpoczęły się zbiory kukurydzy, której plony zapowiadają się w tym roku całkiem nieźle. Jeżeli nadal będą zatory w skupach, grozi nam coś w rodzaju powtórki kryzysu zbożowego z 2023 r. i wybuch protestów.

Minister rolnictwa Stefan Krajewski (PSL) sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Sektor żywnościowy nie jest dla ekipy Tuska priorytetem, co chyba nie powinno dziwić, zważywszy na to, że obecny reżim nie sprzeciwił się przecież zabójczej dla naszego rolnictwa umowie z krajami Mercosur.

Przypomnijmy, że umowa, której treść uzgodniono w grudniu 2024 r., przewiduje zniesienie ceł w handlu pomiędzy Unią, a państwami Ameryki Południowej zrzeszonymi w Mercosur. W praktyce oznacza to ryzyko zalania Europy tanimi produktami żywnościowymi, co może doprowadzić do całkowitego załamania rolnictwa w Unii. W zamian unijny, a więc głównie niemiecki przemysł samochodowy, maszynowy i chemiczny, będzie miał ułatwiony dostęp do latynoamerykańskiego rynku. Krótko mówiąc, europejscy, w tym polscy rolnicy, będą musieli poświęcić swoje dotychczasowe miejsca pracy, by ratować niemiecką gospodarkę. Trudno się więc dziwić, że Tusk siedział jak mysz pod miotłą i nie ośmielił się zaprotestować przeciwko temu. Prawdopodobnie nawet nie przyszło mu to w ogóle do głowy.

Obecna ekipa bez szemrania realizuje cele wyznaczone w Berlinie i Brukseli. Ale to chyba niejedyny powód milczenia reżimu w tak fundamentalnej dla Polski

eprasa.pl f3c8658096

sprawie jak ochrona rolnictwa i naszego bezpieczeństwa żywnościowego. Po prostu Platforma i cały obóz liberalny nienawidzą polskiej wsi i głęboko nią gardzi. To przecież główne zaplecze polityczne szeroko rozumianej prawicy. Dowiodła tego choćby brutalność, z jaką reżim Tuska rozprawił się z protestami rolniczymi w 2024 r., gdy oddziały policji spałowały manifestujących rolników.

Trudno więc oczekiwać, że ktokolwiek w tym rządzie stanie w ich obronie.

WYGASZANIE ROLNICTWA

Rzadko zwraca się na to uwagę, ale polskie rolnictwo zwija się od chwili wejścia naszego kraju do Unii Europejskiej. Podczas negocjacji akcesyjnych państwa Europy Zachodniej, w szczególności Francja, bardzo obawiały się konkurencji w sektorze rolnym. To dlatego nie chciano zgodzić się na dotacje dla polskich rolników, choć szeroko korzystali z nich europejscy farmerzy.

Członkostwo Polski w Unii było rewolucją dla polskiej wsi. Poprawiło efektywność i wydajność produkcji oraz było impulsem do pełnej profesjonalizacji branży rolnej, ale odbyło się to kosztem upadku tradycyjnych społeczności wiejskich. Małe gospodarstwa rodzinne zniknęły wraz z tętniącą życiem dawną polską wsią. Większość z nich nie była w stanie sprostać nowym wymogom rynku.

Konkurencji nie wytrzymali też polscy hodowcy zwierząt. Przykładowo od wejścia Polski do Unii Europejskiej pogłowie świń spadło u nas o połowę – o ile w 2005 r. liczba tych zwierząt przekraczała 18 mln sztuk, o tyle w tej chwili jest ich tylko 9 mln. Co ciekawe, nie oznacza to, że jemy w Polsce mniej mięsa – po prostu importujemy je z innych krajów Unii.

Spada również, choć mniej drastycznie, pogłowie bydła – zresztą widać to na łąkach, kiedyś wszędzie pasły się krowy. Dziś taki widok jest o wiele rzadszy. Na razie trzyma się jeszcze hodowla drobiu, choć i tu pojawiają się oznaki coraz mniejszej opłacalności.

Wspominam o tym wszystkim, aby zwrócić uwagę, że poszczególne branże w rolnictwie są ze sobą ściśle powiązane. Jeśli od wielu lat – powoli, ale konsekwentnie – głównie wskutek przemian strukturalnych i silnej konkurencji z zewnątrz kurczy się u nas sektor hodowlany, musi to wywołać negatywne konsekwencje również w sektorze zbożowym. Polskie rolnictwo – pomimo skoku technologicznego i profesjonalizacji rolników – po prostu słabnie w oczach i obecny kryzys jest tego przejawem.

Ten rząd nie zamierza chronić rolnictwa przed upadkiem, który stanie się prawdopodobny, gdy Unia jeszcze mocniej przykręci zieloną śrubę i wprowadzi w życie umowę z krajami Mercosur.

PONURY SCENARIUSZ

Obserwując politykę większości rządów unijnych, trudno powstrzymać się od wrażenia, że – podobnie jak w przypadku Tuska – dążą one do likwidacji branży rolnej albo przynajmniej zgadzają się na taki scenariusz.

> Ceny niektórych zbóż, w tym żyta i pszenicy, spadły w wielu regionach do poziomu sprzed dwudziestu kilku lat. Oznacza to gigantyczne straty w rolnictwie

W tej chwili ceny zbóż na giełdzie w Paryżu notują duże spadki, co oznacza, że obecny problem nie dotyczy tylko polskiego rolnictwa. Unia jest zapchana tanim ziarnem, którego nie można sprzedać. Na światowym rynku dominują inni: Rosja, Indie, Stany Zjednoczone oraz wspomniane kraje Mercosur.

Co ważne, specyfika produkcji rolnej w Ameryce Południowej, a także na Ukrainie czy w Rosji, jest zupełnie inna niż w Unii. Za sektor rolny odpowiada tam garstka bogatych oligarchów, którzy zarządzają ogromnymi latyfundiami. By zwiększyć plony, powszechnie używa się gigantycznej ilości środków chemicznych, zwykle niedozwolonych w Unii. Wyprodukowana w ten sposób żywność jest wprawdzie tania, ale często bardzo niezdrowa. I to ona za kilka lat może trafić na nasze stoły, jeśli Unia otworzy granice dla południowoamerykańskiego rolnictwa.

W wielu przypadkach udział w zyskach z tej produkcji mają międzynarodowe korporacje rolne. Dostęp do europejskiego rynku dałby im bajeczne dochody, nic więc dziwnego, że wywierali – jak się okazało skuteczną – presję na unijnych urzędników.

Oddając rolnictwo w obce ręce, Unia pozbawia Europę bezpieczeństwa, bo zostaniemy uzależnieni od zewnętrznych źródeł żywności. To powtórka scenariusza z dostawami gazu z Rosji. Energetyczna zależność od Moskwy skończyła się wybuchem wojny i destabilizacją całego kontynentu, ale jak widać nikt w Brukseli ani w Berlinie, gdzie zrodziły się te niebezpieczne pomysły, nie wyciągnął z tego właściwych wniosków.

Być może da się doszukiwać się w tym przejawów korupcji, choć na razie nie ma na to żadnych dowodów. Jest za to na pewno niemiecki egoizm (eksport samochodów w zamian za otwarcie rynku rolnego w Unii) oraz dążenie do inżynierii społecznej. Bo zabicie europejskiego rolnictwa musi wywołać rewolucyjne zmiany.

W Polsce oznacza to dalsze wyludnienie prowincji i migrację do miast. Dawne grunty rolne zostaną zalesione lub przeznaczone – jak w wielu krajach Europy – pod farmy słoneczne i wiatrowe. Gdzieniegdzie pozostaną małe ekologiczne gospodarstwa produkujące drogą żywność dla najbogatszych konsumentów. Reszta będzie skazana na nafaszerowaną chemikaliami importowaną karmę dla biedoty.

Nieliczne wsie będą pełniły funkcje turystycznych skansenów, bo pozostałe znikną. Ich dawni mieszkańcy trafią do miast, gdzie będą mogli rywalizować z imigrantami o niskopłatne miejsca pracy. Na tych zmianach zyskają wyłącznie najbogatsi, podczas gdy większość obywateli i całe państwo straci. Staniemy się pariasami pod obcą władzą.

Ktoś może powiedzieć, że jeszcze daleko nam do tak czarnego scenariusza, tymczasem jest wręcz przeciwnie. Już zmierzamy ku przepaści, tyle że posuwamy się w jej stronę etapami. Ciągle jest jednak czas, aby się zatrzymać i wrócić.

eprasa.pl f3c8658096

Niebezpiecznie być kobietą w Europie

Niemal co trzecia kobieta w UE doświadczyła przemocy fizycznej lub seksualnej. Raport Parlamentu Europejskiego ujawnia szokujące liczby. Szczególnie dramatyczna jest sytuacja w „postępowych" krajach Skandynawii

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

13 stycznia br. Baasim Yusuf, 28-latek pochodzenia somalijskiego, został skazany przez sąd w szwedzkiej Uppsali na osiem lat więzienia za dwa przypadki gwałtu i trzy przypadki napaści seksualnej, które nagrał na telefonie. Niektóre z jego ofiar, cierpiące na demencję, nie pamiętały, co się z nimi stało, dopóki policja nie pokazała im nagrań. Przypadek Yusufa, pracującego jako opiekun dla osób starszych, nie był bynajmniej odosobniony.

Wcześniej, na jesieni 2024 r., 84-letnia Elsa (używająca pseudonimu „Vera") zdecydowała się udzielić wywiadu regionalnemu dziennikowi „Upsala Nya Tidning" (UNT). Opiekun z tłem imigracyjnym, którego przydzielono jej rok wcześniej, zaczął ją molestować seksualnie, a w końcu zgwałcił. Mimo iż złożyła na niego skargę, mężczyzny nie zwolniono z pracy. Po publikacji wywiadu z Elsą do mediów zgłosiło się więcej starszych kobiet, które spotkał podobny los z rąk opiekunów pochodzących z Somalii, Erytrei, Syrii czy Afganistanu. Wybuchł skandal, szczególnie że wyszło na jaw, iż władze usiłowały tuszować sprawę. Okazało się, że opiekunowie nie byli poddawani żadnemu procesowi weryfikacji. Mężczyzna oskarżany o gwałt na Elsie miał podobno na swoim koncie kilka innych zarzutów o napaść seksualną, zanim podjął pracę w domu starców.

UPOKARZAJĄCE AKTY SEKSUALNE

Pokazuje to, że przemoc wobec kobiet jest powszechna w wielu europejskich krajach. Taki jest również wniosek z nowego raportu Parlamentu Europejskiego pod tytułem „Przemoc wobec kobiet w UE: sytuacja w 2025 r.". Wynika z niego, że pomimo różnorodnych inicjatyw politycznych i intensywnych działań uświadamiających w ostatnich latach prawie co trzecia kobieta (30 proc.) w Unii Europejskiej doświadczyła przemocy, odkąd skończyła 15 lat. Szczególnie dramatyczna jest sytuacja właśnie w Skandynawii. W krajach powszechnie uważanych za spokojne, otwarte i przyjazne oraz pionierów w dziedzinie równości praw. W Szwecji ponad 40 proc. kobiet zgłosiło, że padło ofiarą przemocy seksualnej, w Finlandii 37 proc., a w Danii 33 proc.

Według raportu Portugalia (6 proc.), Polska (5 proc.) i Bułgaria (3 proc.) są najmniej dotknięte tym problemem. Jeśli chodzi o wszystkie rodzaje przemocy (seksualna, fizyczna oraz groźby), Polska jest czwarta od końca (16,7 proc.). Prowadzi Finlandia (57,1 proc.) przed Szwecją (52,5 proc.) oraz Węgrami (49,1 proc.), które plasują się tuż przed Danią (47,5 proc.). Do tego dochodzi przemoc w internecie, także seksualna, oraz tzw. stalking, czyli prześladowanie, którego doświadczyło 18,5 proc. kobiet. Ponadto jak czytamy – „większość przemocy, której doświadczają kobiety, ma miejsce w domu i w większości przypadków jest popełniana przez partnera".

Wszystkie dane w raporcie pochodzą z szeroko zakrojonego badania przeprowadzonego przez Europejski Urząd Statystyczny Eurostat, Europejski In-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f3c8658096

stytut ds. Równości Kobiet i Mężczyzn (EIGE) oraz Agencję Praw Podstawowych Unii Europejskiej (FRA). Wzięło w nim udział łącznie 114 023 kobiet w 27 państwach członkowskich w okresie od września 2020 r. do marca 2024 r. Identyczne badanie przeprowadzone w 2021 r. dało bardzo podobny wynik: tu także jedna trzecia kobiet stwierdziła, że padła ofiarą przemocy choćby raz w życiu. Finlandia (47 proc.), Szwecja (42 proc.), Dania (38 proc.), Holandia (36 proc.) i Luksemburg (34 proc.) prowadziły w tabeli, jeśli chodzi o przemoc ze strony osób trzecich, nienależących do kręgu rodzinnego.

Analiza tej przemocy według rodzaju pokazuje, że największe różnice między krajami UE dotyczą częstości występowania poniżających lub upokarzających aktów seksualnych innych niż gwałt. Wartości wahały się od 24 proc. w Finlandii i 22 proc. w Szwecji do poniżej 2 proc. w Bułgarii, Czechach i Polsce.

CZYNNIKI SPOŁECZNE I KULTUROWE

Parlament Europejski definiuje przemoc wobec kobiet jako „przemoc psychiczną, nękanie (seksualne, werbalne), przemoc fizyczną i seksualną, okaleczanie żeńskich narządów płciowych, przymusowe małżeństwa, przymusowe aborcje, sterylizacje i zbrodnie honorowe". Mimo iż w tej definicji zawarte są przestępstwa, których dopuszczają się głównie migranci – jak zabójstwa honorowe czy obrzezanie kobiet – próżno szukać w raporcie jakiegokolwiek odniesienia do tego faktu lub choć próby wyjaśnienia, dlaczego w najbardziej postępowych i egalitarnych państwach Unii przemocy wobec kobiet jest najwięcej. Zamiast tego dowiadujemy się, że najbardziej narażone na przemoc są „migrantki, kobiety starsze i niepełnosprawne, osoby LGBT+, czyli homo- i transseksualne, prostytutki oraz kobiety żyjące w budynkach zbiorowego zamieszkania".

Przemocy wobec kobiet i dziewcząt mają sprzyjać czynniki społeczne, kulturowe i ekonomiczne. „Aby ją usprawiedliwić, dochodzi do powoływania się na tradycyjne wartości i normy. Czynniki takie jak brak niezależności ekonomicznej zwiększają podatność kobiet na przemoc" – czytamy. Czyje są to tradycje i normy oraz kto się na nie powołuje, tego się już nie dowiadujemy.

Tymczasem według danych szwedzkiej telewizji publicznej SVT ok. 58 proc. mężczyzn skazanych w Szwecji w ciągu ostatnich pięciu lat za gwałt lub usiłowanie gwałtu urodziło się za granicą. Liczba gwałtów także znacząco wzrosła wraz z falą imigracyjną w 2015 r. Podczas gdy w 2013 r. zgłoszono łącznie ponad 16 tys. przestępstw na tle seksualnym, w 2023 r. liczba ta zwiększyła się do prawie 24 tys. Powołując się na dane Ministerstwa Sprawiedliwości, duński dziennik „Berlingske" donosił na jesieni ub.r., że imigranci pochodzący z krajów niezachodnich, którzy stanowią 8,4 proc. populacji Danii, popełniają 14 proc. przestępstw z użyciem przemocy i 24,3 proc. gwałtów w kraju.

> Według danych szwedzkiej telewizji publicznej SVT ok. 58 proc. mężczyzn skazanych w Szwecji w ciągu ostatnich pięciu lat za gwałt lub usiłowanie gwałtu urodziło się za granicą

Jeszcze bardziej niepokojące są dane dotyczące imigrantów w drugim pokoleniu, którzy powinni być już zintegrowani. Stanowiąc zaledwie 2,2 proc. populacji, grupa ta jest odpowiedzialna za 15,6 proc. przestępstw z użyciem przemocy i 8,1 proc. gwałtów. W sumie oznacza to, że sprawcy 29,6 proc. przestępstw z użyciem przemocy i 32,4 proc. gwałtów w kraju pochodzą spoza UE, mimo że stanowią zaledwie 10,6 proc. populacji.

WYSOKI KOSZT

Ponadto dane Duńskiej Służby Więziennej pokazują, że 27,6 proc. osadzonych w Danii to imigranci pierwszego lub drugiego pokolenia. Dodając do tego cudzoziemców (kategorię obejmującą nielegalnych imigrantów, turystów i osoby, które oficjalnie nie mieszkają w kraju), ponad 31 proc. duńskiej populacji więziennej to osoby niebędące Duńczykami. Z raportu Parlamentu Europejskiego niczego się jednak nie dowiemy na ten temat. Zamiast tego jego autorzy przekonują nas, że wyższy poziom przemocy wobec kobiet w Skandynawii wynika z częstszego zgłaszania takich incydentów dzięki ruchowi #MeToo i większej świadomości kobiet oraz surowszej definicji gwałtu.

Jedno jest jednak pewne: przemoc wobec kobiet kosztuje 27 krajów UE łącznie 289 mld euro rocznie. Ponad połowa (57 proc.) kobiet będących ofiarami przemocy zmaga się z konsekwencjami zdrowotnymi. 13 proc. cierpi z powodu długotrwałych skutków fizycznych, a 12 proc. zmaga się z psychologicznymi skutkami przemocy. Stanowi to ogromne obciążenie dla systemów socjalnych i rynków pracy w poszczególnych krajach.

Jak czytamy w raporcie, Unia Europejska zamierza zaostrzyć walkę z przemocą wobec kobiet m.in. za pomocą konwencji stambulskiej, strategii na rzecz praw ofiar, wielu dyrektyw dotyczących równości w miejscu pracy czy dostępu do usług oraz środków z pocovidowego funduszu odbudowy. W Brukseli funkcjonuje również „Plan działania w sprawie płci w stosunkach zewnętrznych" (GAP III 2020–2025), a także inicjatywa „Spotlight" o wartości 500 mln euro, która według raportu PE jest ściśle powiązana z „Agendą na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030". Pytanie, czy to cokolwiek zmieni, skoro w raporcie PE nie znalazł się nawet zarys profilu sprawców, wśród których co najmniej w krajach skandynawskich, Francji czy Niemczech niemały odsetek stanowią imigranci, najczęściej z krajów muzułmańskich.

„Z punktu widzenia społeczeństwa problem polega na tym, że przestępczość coraz częściej ma podłoże etniczne" – podkreślił w rozmowie z „Berlingske" Lars Højsgaard Andersen z Fundacji Rockwool, zajmującej się badaniami nad strukturą społeczną Danii.

eprasa.pl f3c8658096

Warszawskie Termopile

Niemcy nie mogli uwierzyć, że tak słaby batalion przez tyle dni stawiał opór całej dywizji. Oficerowie wroga oddawali honory bohaterskim obrońcom (na nogach pozostało 10–15 proc. wyjściowego stanu III batalionu), pozwalając oficerom zabrać ze sobą białą broń. Ale historia obrony Boernerowa jest prawie zapomniana

ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Osiedle Dekada w Warszawie przy ul. Radiowej (dawna Szosa Forteczna) jest dziś elegancką mieszanką przedwojennej architektury modernistycznej i oddanych do użytku w 2018 r. nowoczesnych apartamentowców. Partery klatek schodowych domów zdobią historyczne zdjęcia owego miejsca z czasów przedwojennych i okupacji niemieckiej. Widać na nich posiekane ogniem broni maszynowej i pocisków artyleryjskich ściany tych samych budynków, które obecnie świecą świeżym tynkiem. Obok wiszą fotografie potężnych, 126,5-metrowych stalowych masztów w kształcie litery „T" ustawionych w szczerym polu. To pamiątki po wysadzonej podczas odwrotu Wehrmachtu ze stolicy 17 stycznia 1945 r. Transatlantyckiej Radiotelegraficznej Centrali Nadawczej (TRCN Babice). To od niej zaczęła się ta historia.

STALOWE MASZTY I OSIEDLE

Uruchomiono ją w 1923 r. Na uroczyste otwarcie przyjechał prezydent Stanisław Wojciechowski. Centrala składała się z 10 stalowych masztów o wysokości połowy Pałacu Kultury każdy. Jej sygnał docierał na całą półkulę północną do USA, a także do Tokio. Inwestycję tę stawiano obok Centralnego Okręgu Przemysłowego i Portu Gdynia jako jedną z trzech najważniejszych w II RP. TRCN znajdowała się na przedpolu Fortu IIA Babice (dziś Radiowo), który miał ją chronić.

Kiedy w grudniu 1931 r. legionista płk Ignacy Boerner ponownie został ministrem poczt i telegrafów, zainicjował postawienie na niezagospodarowanych terenach zaplecza TRCN osiedla domków jednorodzinnych. W ciągu czterech lat wybudowano w Babicach kolonię (osiedle Łączności) liczącą ponad 275 domów. Korzystne warunki kredytowe umożliwiały pracownikom poczt i telegrafów zakup nieruchomości na gruntach państwowych. Teren cieszył się zainteresowaniem nie tylko pocztowców. Niebawem dołączyła do nich organizacja żony Józefa Piłsudskiego Aleksandry Bratnia Pomoc b. Uczestników Walk o Niepodległość, której sekretarzował Melchior Wańkowicz. Jedną z jej inicjatyw było przekazanie dwóch domów dla weteranów powstania styczniowego. W ten sposób na terenie TRCN powstały dwa osiedla: Łączności i Kolonii im. Aleksandry Piłsudskiej, które po śmierci w 1936 r. Ignacego Boernera zostały nazwane na jego cześć Boernerowem.

Osiedle stało się łakomym kąskiem dla przedwojennych elit Warszawy. Położone na granicy lasu, z dala od miejskiego zgiełku, a od października 1933 r. z własną linią tramwajową B (dziś 20). Kursowała z pl. Teatralnego do najładniejszej w obecnej Warszawie, ukrytej w lesie pętli na Boernerowie (dziś u zbiegu ulic Westerplatte i Kaliskiego). Przed wojną tramwaj jeździł tam przez całą noc (linia 90), a przejazd z centrum

eprasa.pl f3c8658096

Osiedle Łączności Boernerowo. Na horyzoncie maszty TRCN

stolicy do położonego wówczas ok. 6 km od granic miasta osiedla Łączności zajmował mniej więcej 50 min.

Okolicą interesowały się również siły zbrojne II RP. W 1938 r. na terenie dzisiejszej Wojskowej Akademii Technicznej zbudowano koszary dla 1. Zmotoryzowanego Pułku Artylerii Przeciwlotniczej (1. paplot). Stacjonował tu I i IV dywizjon oraz tymczasowo przydzielona 17. kompania reflektorów. Przy południowej granicy osiedla Boernerowo po drugiej stronie Szosy Fortecznej (ul. Radiowa) Fundusz Kwaterunku Wojskowego (FKW) wybudował dla kadry oficerskiej osiem trójkondygnacyjnych budynków stojących dziś w obrębie osiedla Dekada. Któż z ówczesnych mieszkańców owego „sielskiego, anielskiego" zakątka mógł przypuszczać, że opisane tereny staną się niebawem świadkiem krwawych, aczkolwiek mało znanych walk i przejdą do historii pod nazwą warszawskie Termopile.

WRÓG U BRAM

Zanim pod Warszawę dotarły pierwsze jednostki niemieckie, 1–6 września Boernerowa i okolic broniła myśliwska Brygada Pościgowa w sile pięciu eskadr. Polscy piloci rozpraszali lecące na miasto wyprawy bombowe Luftwaffe, a te w ucieczce przed samolotami brygady pozbywały się ładunków gdzie popadnie. Pierwsza bomba spadła na teren posesji przy ul. POW 22 (dziś Sobczaka) 1 września. W osiedle trafiło w sumie 19 bomb.

8 września pod Warszawą stają wojska niemieckie. Postanawiają zdobyć stolicę z marszu. Do Boernerowa zbliżają się od strony Starych Babic oddziały zmotoryzowanej 31. Infanterie Division (31. ID) i 19. Dolnosaksońskiej (19. ID). 10 września po krótkiej walce z Fortu IIa Babice (dziś Radiowo) wycofuje się pododdział Batalionu Stołecznego (BS) dowodzony przez mjr. Józefa Spychalskiego (brata Mariana, późniejszego marszałka w armii PRL). 14 września oddział niemieckiego 19. baonu rozpoznawczego wsparty kilkunastoma czołgami wypiera z osiedla Łączności wysuniętą placówkę BS. Ogień polskich dział z 5. baterii 54. pułku artylerii prowadzony z oddalonego o kilka kilometrów na wschód Fortu Bema zatrzymuje dalsze postępy nieprzyjaciela, unieruchamiając siedem czołgów. Ale już w nocy z 15 na 16 września do akcji wchodzi III batalion 26. pułku piechoty (III/26 pp) mjr. Jacka Decowskiego z 5. Dywizji Dzieci Lwowskich. Po zwycięskich walkach z 4. Dywizją Pancerną na Ochocie oddział przeszedł z odwodu dowódcy obrony Warszawy do pierwszego rzutu pod rozkazy płk. dypl. Mariana Porwita, który 9 września został mianowany szefem Odcinka Zachodniego Obrony Stolicy. Mjr Decowski praktycznie bez walki zajmuje osiedle Łączności, luzując BS mjr. Spychalskiego.

Płk Porwit wraz z szefem sztabu Odcinka Zachód płk. Leopoldem Okulickim organizują linię defensywną wzdłuż biegnącej z południa na północ rokadowej Szosy Warszawskiej (ul. Lazurowa i Kaliskiego). Od południa (lewe skrzydło) pierwszym miejscem oporu były wsie Blizne i Groty z willą bankiera Jana Gottlieba Blocha przy skrzyżowaniu obecnej ul. Górczewskiej i Lazurowej. Pozycji broniła 1. kompania BS, 3. kompania batalionu obsadziła park lasek Blocha oraz Fort III wraz z wsią Blizne położoną na przedpolu fosy działała po zachodniej stronie Szosy Warszawskiej (ul. Lazurowa). Idąc na mapie „wyżej", dochodzimy do koszar 1 paplot. Tam ulokowała się 4. kompania BS wraz z okopanym po zachodniej stronie Szosy Warszawskiej pododdziałem III batalionu 26. pp. Następnym punktem oporu był Fort IIA Babice, tuż obok masztów TRCN, wraz z położonym na jego zapleczu osiedlem FKW przy zbiegu Szosy Warszawskiej i Fortecznej (ul. Radiowa), na którym trwały jeszcze prace wykończeniowe. Osiem budynków i przedpole obsadzili kresowiacy z 9. kompanii 26. pp por. Feliksa Szawłowskiego. Osiedla Łączności miała bronić 7. kompania por. Stanisława Maciejaka rozlokowana w transzejach wzdłuż zachodniej i północnej rubieży Boernerowa (ul. Parkowa, dziś Grotowska) na krawędzi Parku Lasu Babickiego. Czuwała nad nimi Matka Boska zwana Telefoniczną – figura z kamienia

eprasa.pl f3c8658096

w stylu art déco znanego rzeźbiarza, architekta, a także legionisty kpt. Jana Golińskiego, ustawiona na cokole tuż za okopami obrońców, symbol osiedla Łączności. W boernerowskiej kaplicy założono szpital polowy.

Prawe, skrajne skrzydło zajmował oddalony o kilka kilometrów na północ od osiedla Fort II Wawrzyszew. Obrońców wspierał dodatkowo Lotniczy Oddział Szturmowy do specjalnych poruczeń podległy bezpośrednio płk. Okulickiemu. III batalion 26. pp „był przeznaczony na stracenie". Według płk. Porwita miał walczyć do końca, aby opóźnić uderzenie wroga na pozycję główną – Warszawę.

SZTURM

17 i 18 września niemiecka 19. ID ruszyła spod Starych Babic do ataku. Toczyły się zacięte boje o Fort IIA Babice. Walczył tam m.in. wspomniany Lotniczy Oddział Szturmowy sformowany z adeptów Szkoły Podchorążych Lotnictwa oraz tzw. rozbitków, czyli spieszonych lotników, którzy po utracie samolotów nie mogli kontynuować walki w powietrzu. Po odparciu natarć Polacy, kontratakując, opanowali wsie Janów i Klaudyn. Dwa dni później Niemcy zmontowali natarcie z rejonu Starych Babic. Osiem batalionów 73. i 74. IR z 19. ID uderzyło w styk 7. i 9. kompanii 26. pp, czyli w budynki FKW. Okopani na przedpolu osiedla i ukryci w mieszkaniach za workami z piaskiem kresowiacy mieli dobry wgląd w nieprzyjacielski atak, który szedł po odkrytym polu od strony masztów TRCN. Koszeni seriami ckm i ogniem moździerzy Niemcy wycofali się.

Działo się też na lewym skrzydle. Dokładnie nie wiadomo, kiedy po raz pierwszy Niemcy z 31. ID wdarli się do Fortu III Blizne (pomiędzy 14 i 16 września). Pewne jest, że elitarny Batalion Stołeczny już 16 września w nocy wyruszył do boju i zdołał opanować wieś Blizne. Następnego dnia podjął także próbę odbicia Fortu III, lecz mimo odciążającego uderzenia 8. kompanii III/26. pp z północy nie odniósł powodzenia i poniósł znaczne straty. 17 września BS dwa razy nacierał na ten fort i dwa razy został odparty. Batalion zdobył ponownie fort dopiero 23 września i pomimo przeciwnatarcia utrzymał pozycje. Po odbiciu Fortu III miała miejsce akcja specoddziału lotników. Nocą udało im się dotrzeć do sztabu niemieckiej jednostki należącej do 31. ID w Starych Babicach. Zabito lub ciężko raniono większość zgromadzonych w pokoju kwatery oficerów niemieckich i zabrano dokumenty, wycofując się prawie bez strat.

24 września od 17.00 tereny osiedla Łączności i budynków FKW znalazły się pod ostrzałem niemieckiej ciężkiej artylerii kierowanej z samolotu. Nadleciały też bombowce. Następnego dnia od 8.00 rejon był intensywnie bombardowany. O 16.00 niemiecka piechota całą siłą 73. i 74. IR uderzyła na obronę III/26. pp, ale po raz kolejny ostrzał batalionu załamał niemieckie natarcie. Mjr Decowski osobiście poprowadził kontratak kompanii drugiego rzutu, zmuszając przeważającego liczebnie wroga do odwrotu. Za ten czyn jako jeden z pierwszych obrońców Warszawy otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari.

26 września rejon obrony III/26. pp ponownie był ostrzeliwany przez niemiecką artylerię i bombardowany. 27 września rano pozycje batalionu zostały zaatakowane przez oddziały niemieckiej 19. ID. W ciężkich walkach pomimo kontrataków przez odwodową 9. kompanię batalion wyczerpywał swoją amunicję i siły. Całe osiedle przykrywała gęsta chmura dymu i kurzu, a nieustanny grzmot potężnego ataku artyleryjskiego wzbudzał obawę, że nikt nie wyjdzie z tego piekła żywy. Jeszcze gorzej działo się na lewym skrzydle.

UPADEK FORTU III BLIZNE

Nad ranem 26 września obsadzający Fort III Blizne pluton dowodzony przez sierż. Jankowskiego opuścił swoje stanowiska bez walki

Mjr Jacek Decowski, dowódca III/26. pp

i bez nacisku ze strony nieprzyjaciela. Wobec stwierdzonego przez mjr. Spychalskiego tchórzostwa Jankowski został aresztowany i odesłany do dowódcy odcinka Warszawa-Zachód. Fort ostatecznie wpadł w ręce niemieckiej 74. ID przy współdziałaniu 3. kompanii 51. batalionu pionierów. Wycofanie się żołnierzy BS z Fortu Blizne III przypieczętowało losy prawego sąsiada, czyli batalionu mjr. Decowskiego. Niemcy, korzystając z tego, że mogli wyprowadzić natarcie na pozycję III/26. pp nie tylko od zachodu, lecz także od południa z rejonu Fortu III Blizne, w następnych kilku godzinach po prostu odcięli batalion mjr. Decowskiego. Po opanowaniu fortu Niemcy ruszyli na wieś Blizne. Doszło do zaciętych walk, podczas których został ranny dowódca 4. kompanii por. Pytłosz. Mimo rany oficer nie opuścił szeregu, prowadząc swoich żołnierzy. Trafiony ponownie, poległ. Sytuację uratował mjr Spychalski. Przejął dowodzenie i poprowadził kontratak, biegnąc z pistoletem w pierwszej linii. Oto relacja jed-

Figura Matki Boskiej w parku, ufundowana przez ministra Poczt i Telegrafów

Zdjęcia: NAC

eprasa.pl f3c8658096

Zdjęcie lotnicze rejonu walk na dzisiejszym Bemowie. Zdjęcie z 1939 r. – na dole Fort III Blizne, na górze Fort IIA Babice i po prawej na górze Osiedle Łączności

nego z dowódców plutonu 1 kompanii ppor. Feliksa Pokrzywy: „Biegłem z żołnierzami, posuwając się skokami, które umożliwiały nam przenikanie przez ściany ognia zaporowego. Straszliwy huk i okrzyki rannych. Ogień nie zatrzymywał naszego natarcia. Posuwaliśmy się dwa lub trzy kilometry, wtedy zobaczyłem las. Dopadliśmy do lasu jak do zbawienia. W dali na polanie dojrzeliśmy pałacyk [willa Blocha] obsadzony przez Niemców. Strzelali do nas z broni maszynowej, spadły liście sieczone pociskami. Przed pałacykiem rozegrała się walka wręcz. Zdobyliśmy pałacyk, obsadziliśmy Blizne i trzymaliśmy je do końca oblężenia. Moja kompania straciła w tym natarciu około 40% swojego stanu".

KAPITULACJA

27 września niemiecki III batalion 73. IR nacierał na osiedle Łączności od strony południowej, czyli od Fortu III Blizne, natomiast oddziały 59. IR dokonały głębokiego obejścia lasku wokół Fortu IIa Babice oraz osiedla Łączności i wyszły na jego tyły od strony zdobytego poprzedniego dnia Fortu II Wawrzyszew. Batalion I/73. IR zaatakował bezpośrednio budynki koszarowe 1. paplot, ale Niemcom nie udało się ich całkowicie opanować. Straty niemieckiej 19. ID miały tego dnia wynieść 30 zabitych, 3 zaginionych i 70 rannych w ciągu zaledwie paru godzin. Zdziesiątkowani obrońcy walczyli dzielnie, zadając Niemcom wysokie straty, i ginęli kolejno w Lesie Babickim, budynkach mieszkalnych FKW, koszarach, transzejach istanowiskach strzeleckich.

W obliczu śmierci oficerów, w tym por. Feliksa Szawłowskiego, dowódcy 9. kompanii broniącej budynków FKW, zagłady całego batalionu i dlatego, że tylko nieliczni żołnierze byli w stanie nadal się bronić, ranny mjr Jacek Decowski podjął decyzję o zaprzestaniu walk 1 godz. i 15 min przed zawieszeniem broni, po którym poddano całą Warszawę. Niemcy nie mogli uwierzyć, że tak słaby batalion przez tyle dni stawiał opór całej dywizji. Oficerowie, w tym dowódca 73. IR płk Walther von Gündell, oddawali honory bohaterskim obrońcom (na nogach pozostało 10–15 proc. wyjściowego stanu III batalionu), pozwalając oficerom zabrać ze sobą białą broń.

Niestety według historyka dzielnicy Lowisy Lermer, „wydarzenie, jakim była obrona Boernerowa, dalej otacza mrok niepamięci".

Transatlantycka Radiotelegraficzna Centrala Nadawcza (TRCN Babice)

eprasa.pl f3c8659096

Operacja polska NKWD.

Jedna z największych zbrodni XX wieku.

Ponad 100 tys. zamordowanych i zesłanych tylko dlatego, że byli Polakami – tak wyglądała tzw. operacja polska NKWD z lat 1937–1938. To jedna z najbardziej zbrodniczych odsłon wielkiego terroru. Mimo to cały czas przemilczana

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Maria Bukowska-Krasowska pisała po latach: „Aż nastał 1937 rok, ten okrutny, niezapomniany nie tylko dla mnie, ale i dla historii rok. Mnie i męża aresztowali, a dziecko, chłopiec trzynastoletni, został się sam bez żadnej opieki na ulicy”.

Cała jej rodzina padła ofiarą „operacji polskiej” NKWD. Mąż Marii Michał Krasowski, mieszkający w Mińsku rzemieślnik i przedsiębiorca, został oskarżony o „szpiegowskie” kontakty i działalność na rzecz Polski. W trakcie śledztwa przyznał się m.in. do rzekomych powiązań z duchowieństwem. NKWD rozstrzelało go 9 listopada 1937 r. w Mińsku. Maria trafiła do łagru, a syn Edward do zakładu poprawczego.

„KONTRREWOLUCJONIŚCI”

Timofiej Kurowski, robotnik z fabryki Czerwony Październik koło Kijowa, został aresztowany za kontrrewolucyjną agitację wśród pracowników. Według wezwanych świadków miał skrytykować władzę za zabijanie własnych obywateli i mówienie nieprawdy o Polsce. Został zamordowany strzałem w tył głowy. Jadwigę Zawistowską, gospodynię domową, zabito 28 grudnia 1937 r. w Mińsku za rzekomą pomoc mężowi w działalności szpiegowskiej na rzecz Polski. W Orszy rozstrzelano m.in. 80-letniego, niezrzeszonego w kołchozie cieślę Bronisława Piwnickiego, 22-letniego kołchoźnika ze wsi Piadyń Eugeniusza Szpeta oraz Annę i Zacharego Chodiewcewów. Przewinieniem tych ostatnich była służba brata Anny – Piotra Kamieńskiego w Wojsku Polskim. Zarówno Anna, jak i Zachary zostali rozstrzelani w listopadzie 1937 r.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl f3c8658096

Zygmunt Dziewicki pochodził z Lublina. Mieszkał w Kijowie z żoną i córką, a pracował jako robotnik w fabryce metalowej. Został posądzony o działalność szpiegowską, ponieważ kontaktował się z polskim konsulatem w celu wyjazdu do krewnego w Warszawie. Podczas brutalnego śledztwa przyznał się do zarzucanych mu czynów. Został skazany i rozstrzelany w październiku 1937 r. Wcześniej aresztowano jego żonę Aleksandrę, która była Ukrainką. Zarzucono jej, że nie powiadomiła władz o szpiegowskiej działalności męża. By ją złamać, powiedziano jej o egzekucji Zygmunta, gdy ten jeszcze żył. Przyznała się do nigdy niepopełnionych win i została rozstrzelana kilkanaście dni po mężu.

Józef Sosnowski z Kijowa został zabity w listopadzie 1937 r. za antysowiecką propagandę, plotki i dowcipy, także antysemickie. Jego żona Fenia Budnicka-Sosnowska, choć była Żydówką, kilka dni przed śmiercią męża także została aresztowana za „współudział". Dlaczego? Bo broniła męża. Jednym z zarzutów wobec niej było to, że jest córką rabina, choć jej ojciec był szewcem. Została skazana na 10 lat łagru za „działalność kontrrewolucyjną", na wolność wyszła po ponad 20.

Wszyscy wyżej wymienieni byli ofiarami „operacji polskiej" NKWD. Zbrodnia przeprowadzona w okresie wielkiego terroru w Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich bez wątpienia należy do jednych z największych ludobójstw w historii Europy XX w. Tylko dlaczego sowiecki system zdecydował się wyeliminować tak wielu własnych obywateli?

NAJDALSZE KRESY RZECZYPOSPOLITEJ

Obecność Polaków na terenach będących w dwudziestoleciu międzywojennym pod kontrolą ZSRS sięgała czasów średniowiecza i unii polsko-litewskich. Żyli tam potomkowie szlachty i ziemiaństwa, magnatów i chłopów. Polskie dwory, kultura, szkoły i kościoły przez stulecia współtworzyły pejzaż ziem, które po rozbiorach Rzeczypospolitej z XVIII w. weszły w skład Imperium Rosyjskiego. Nie zmieniły tego także długie lata zaborów.

Wojnę polsko-bolszewicką zakończył podpisany 18 marca 1921 r. traktat ryski, który ustalał granicę między dwoma państwami. Część Kresów znalazła się w granicach odrodzonej Polski, natomiast ich większa część pozostała pod kontrolą rosyjską. Na wschód od linii rozgraniczenia znalazło się nawet 1,5 mln Polaków, którzy stali się jedną z liczniejszych mniejszości narodowych ZSRR.

Była to przede wszystkim rdzenna ludność polska z dawnych wschodnich województw I Rzeczypospolitej, w większości zamieszkująca terytorium dwóch republik sowieckich – białoruskiej i ukraińskiej. Osoby pochodzenia polskiego, głównie kolejne pokolenia zesłańców represjonowanych przez carat, mieszkały również w samej Rosji, przede wszystkim za Uralem na Syberii, a także na Kaukazie i w Azji Środkowej.

> Zatrzymanym stawiano absurdalne zarzuty, zeznania wymuszano torturami, a wyroki śmierci zapadały w trybie administracyjnym, bez udziału sądu i bez wiedzy rodzin. Egzekucje odbywały się w piwnicach więzień lub w podmiejskich lasach, a ciała grzebano w zbiorowych dołach

SOWIECKIE EKSPERYMENTY

W sowieckim aparacie władzy znajdowali się przedstawiciele wszystkich narodowości, w tym polscy komuniści. Byli oni wykorzystywani zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach w rejonach zamieszkanych przez Polaków. Jednak zdecydowana większość polskiej społeczności w Związku Sowieckim pozostawała wierna swoim narodowym korzeniom, kulturze i religii. Polacy okazali się najmniej podatni na indoktrynację i propagandę, szczególnie ci mieszkający na wsi. Wobec tego władze sowieckie postanowiły poddać Polaków specjalnemu eksperymentowi narodowościowemu.

Na wsiach powoływano rady wiejskie (sielsowiety), które oprócz funkcji administracyjnych miały służyć jako narzędzie propagandy i wciągać chłopów do budowania komunizmu. Szczególny nacisk kładziono na te wsie na Białorusi i Ukrainie, gdzie w zwartych skupiskach mieszkała ludność polska. Powołano także autonomiczne jednostki administracyjne: w 1925 r. na Wołyniu powstał Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego (tzw. Marchlewszczyzna), a w 1932 r. w obwodzie mińskim – Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego (tzw. Dzierżyńszczyzna). Stolicą tego drugiego stał się Kojdanów, przemianowany na Dzierżyńsk, gdzie władzę powierzono głównie polskim komunistom. Pozwolono na funkcjonowanie polskojęzycznej prasy i szkolnictwa, oczywiście podporządkowanym sowieckiej ideologii. Wszystko to miało sprawić, że z upływem czasu Polacy ulegną bolszewickiej propagandzie.

Eksperyment zakończył się niepowodzeniem. Polacy nie dali się przekonać do komunizmu i nadal sprzeciwiali się sowietyzacji, ateizacji i kolektywizacji wsi. W miarę umacniania się władzy Stalina coraz częściej postrzegano ich jako „element kontrrewolucyjny" i potencjalną „piątą kolumnę" II Rzeczypospolitej, uznawanej przez Moskwę za jednego z głównych wrogów Związku Sowieckiego. W związku z tym Sowieci zdecydowali się na sprawdzone, barbarzyńskie metody.

POCZĄTEK REPRESJI

Już w latach 30. rozpoczęły się aresztowania polskich działaczy społecznych, nauczycieli czy księży katolickich. Rozbijano polskie instytucje i zamykano szkoły, a duchowieństwo poddawano prześladowaniom. Propaganda sowiecka głosiła, że wśród Polaków szerzą się nastroje „dywersyjne", a polskie organizacje rzekomo utrzymywały kontakty z polskim wywiadem. W 1935 r. zlikwidowano

eprasa.pl f3c8658096

Marchlewszczyznę, a dwa lata później Dzierżyńszczyznę. Te działania stanowiły jednak dopiero preludium przyszłej zbrodni.

Już w styczniu 1937 r. ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRS Nikołaj Jeżow poinformował Stalina o wykryciu „szpiegowskiej siatki POW" z dołączonym protokołem przesłuchania Tomasza Dąbala, znanego działacza Komunistycznej Partii Polski, uznanego za przywódcę POW. Sowietom zupełnie nie przeszkadzał fakt, że Polska Organizacja Wojskowa przestała istnieć już w 1921 r. W marcu Jeżow donosił o polskich szpiegach w strukturach NKWD, a w czerwcu w trakcie plenum Komitetu Centralnego WKP(b) informował o wykryciu „spisku POW". 16 lipca podczas narady z naczelnikami regionalnych struktur NKWD przedstawił plany i wstępne zasady przeprowadzenia „masowych operacji". 9 sierpnia Biuro Polityczne WKP(b) podjęło decyzję o zatwierdzeniu „likwidacji polskich grup dywersyjno-szpiegowskich i organizacji POW". 11 sierpnia 1937 r. Nikołaj Jeżow wydał rozkaz operacyjny nr 00485, który oznaczał początek „operacji polskiej" NKWD.

W CAŁKOWITEJ TAJEMNICY

Była to jedna z największych akcji w ramach wielkiego terroru, wymierzona w obywateli narodowości polskiej zamieszkujących ZSRS. Listy zatrzymanych przygotowywała sowiecka lokalna administracja. Często podstawą były fałszywe donosy lub oskarżenia o szpiegostwo, sabotaż albo członkostwo w Polskiej Organizacji Wojskowej. NKWD przeszukiwało książki telefoniczne, spisy lokatorów czy listy pracowników, by wytypować kolejne ofiary. Do aresztowania wystarczał najdrobniejszy powód – kontakt z krewnymi w Polsce, wyznanie katolickie, posługiwanie się ojczystym językiem czy nawet polsko brzmiące nazwisko.

Na mocy rozkazu Jeżowa represjami objęto rzekomych działaczy POW, byłych jeńców wojennych, zbiegów z Polski, emigrantów politycznych, osoby uczestniczące w ramach wymiany więźniów, członków PPS i innych polskich partii uznanych za „antysowieckie" oraz najaktywniejszych przedstawicieli społeczności z polskich rejonów narodowych, takich jak księża czy nauczyciele.

Uderzono zwłaszcza w mieszkańców terenów przygranicznych, których uznano za głównych „wrogów sowieckiej ojczyzny". Zatrzymanym stawiano absurdalne zarzuty, zeznania wymuszano torturami, a wyroki śmierci zapadały w trybie administracyjnym, bez udziału sądu i bez wiedzy rodzin. Egzekucje odbywały się w piwnicach więzień lub w podmiejskich lasach, a ciała grzebano w zbiorowych dołach. Miejsca kaźni, takie jak Kuropaty czy Bykownia, przez dekady pozostawały objęte całkowitą tajemnicą. Do dziś zidentyfikowano ok. 100 takich lokalizacji, co według historyków stanowi zaledwie jedną trzecią rzeczywistej liczby.

Zbrodnia obejmowała również rodziny skazanych. Żony jako „wspólniczki zdrajców" trafiały do łagrów, a dzieci – jako „element społecznie niepewny" – odbierano rodzicom i umieszczano w specjalnych domach dziecka lub wysyłano do obozów pracy. Represje nie ominęły nawet polskich komunistów lojalnych wobec systemu – ich ofiarą padli oficerowie Armii Czerwonej i funkcjonariusze aparatu partyjnego.

Choć zdecydowaną większość ofiar „operacji polskiej" stanowili Polacy, represjom poddano również Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Żydów i przedstawicieli innych narodowości. Według danych stowarzyszenia Memoriał aresztowano co najmniej 139 tys. osób, z czego ponad 111 tys. zamordowano strzałem w tył głowy, a blisko 29 tys. skazano na pobyt w łagrach.

Historycy szacują, że łącznie w czasie wielkiego terroru mogło zginąć nawet 200 tys. Polaków. Ofiarami byli przede wszystkim przedstawiciele polskiej elity – nauczyciele, duchowni, działacze społeczni, przywódcy polskich kołchozów. Zginęli m.in. liczni księża z diecezji mohylewskiej oraz bł. Zygmunt Pisarski. Eliminacja tych środowisk miała pozbawić Polaków na Wschodzie możliwości zachowania własnej tożsamości narodowej i religijnej.

Tzw. operacje narodowościowe NKWD dosięgły także m.in. żyjących w ZSRS Niemców, Łotyszy, Estończyków, Greków, Koreańczyków, Finów i Chińczyków. „Operacja polska" była jednak zdecydowanie najbardziej krwawą ze wszystkich. Polacy ginęli niemal czterdziestokrotnie częściej niż przedstawiciele innych narodowości Związku Radzieckiego. Formalnie akcja zakończyła się w 1938 r., ale Polacy w ZSRS nadal pozostawali pod stałą kontrolą władz sowieckich. Już wkrótce czekały ich kolejne represje – masowe deportacje po 1939 r. i zbrodnia katyńska w 1940 r.

PAMIĘĆ

Mimo tak olbrzymiej skali zbrodni „operacja polska" NKWD z lat 1937–1938 do dziś nie zaistniała w masowej wyobraźni. Przez dziesięciolecia pamięć o niej była tematem tabu w ZSRS. W okresie PRL temat terroru lat trzydziestych XX w. został sprowadzony tylko do „stalinowskich błędów i wypaczeń", a jedynymi ofiarami, o których się mówiło, byli członkowie Komunistycznej Partii Polski. Z kolei w świadomości Zachodu wielki terror jest utożsamiany wyłącznie z nagłośnionymi procesami pokazowymi czołowych przywódców bolszewickich.

Sytuacja zmieniła się nieznacznie dopiero po 1989 r. W Polsce, na Białorusi oraz Ukrainie powstały pomniki i tablice pamiątkowe, a w 2017 r. Sejm RP ustanowił 11 sierpnia Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez NKWD na obywatelach polskich w ZSRR. Instytut Pamięci Narodowej prowadzi poszukiwania ofiar, a kolejne publikacje odsłaniają nieznane karty tej zbrodni. Większość miejsc kaźni z lat 1937–1938 nadal nie została jednak odkryta.

Fot. Jwoys/Wikipedia

eprasa.pl f3c8658096

W swoich najsłynniejszych rolach był samotnym wilkiem. Teraz w duecie z Olivią Colman Benedict Cumberbatch rozsadza ekranowy związek państwa Rose. Jednocześnie prywatnie daje przykład znakomitych relacji rodzinnych

Najważniejsze to chronić tych, których kochasz

Fot. Jaap Buitendijk, Courtesy of Searchlight Pictures/Disney

eprasa.pl f3c8658096

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Czy dwoje rasowych Brytyjczyków może przebić brawurą ekranowe szaleństwo amerykańskiego duetu z pamiętnej „Wojny państwa Rose"? Tak. I to na własnych warunkach. Nie tylko dlatego, że Olivia Colman i Benedict Cumberbatch zostali też producentami wykonawczymi filmu „Państwo Rose" – reinterpretacji czarnej komedii z 1989 r. bazującej na powieści Warrena Adlera.

W oryginale główną parę grali Kathleen Turner i Michael Douglas, a w ich konflikt był zaangażowany Danny DeVito. W nowej wersji, wyreżyserowanej przez Jaya Roacha („Gorący temat", „Poznaj mojego tatę"), za sprawą duetu Colman–Cumberbatch brytyjski humor zyskuje nowy wymiar i siłę rażenia.

UKRYTE FURIE

Gdy w spełnionym, pełnym zawodowych i prywatnych sukcesów życiu Ivy (Colman) i Theo (Cumberbatch) pojawia się rysa niepowodzenia, a potem coraz większa dysproporcja, gdy kariera Theo zaczyna gwałtownie podupadać, a ambicje Ivy rozkwitają, między małżonkami wybucha zaciekła rywalizacja podszyta skrywanymi od dawna pretensjami. Idealny małżeński obrazek zaczyna się kruszyć pod wpływem ukrytych furii i niszczycielskich talentów dawnych, ponoć kochających się ludzi.

Zdaniem Benedicta Cumberbatcha zjadliwy, prowokujący, nasycony kąśliwym żartem scenariusz Tony'ego McNamary zachwyca do łez. Pełen okropnych zachowań jest zarazem zabawny, pomysłowy i dowcipny.

Aktor uważa, że w tej ekranowej małżeńskiej historii odnajdzie się niejeden widz ze swoimi problemami i doświadczeniami, ponieważ „Państwo Rose" są opowieścią szczerą i zrodzoną z autentycznych doświadczeń życiowych. „To film o dwojgu ludzi, którzy się kochają, ale są dysfunkcyjni i napotykają ogromny problem" – dodaje.

SWÓJ WRÓG

Theo i Ivy – na początku zachwycająco komunikatywni, elokwentni i dowcipni – z czasem stają się drapieżcami, celnie tnącymi nie tylko słowną ripostą. Brytyjskie wychowanie i wykształcenie aktorskiego duetu grającego głównych bohaterów, a także specyficzne poczucie humoru bynajmniej nie przeszkadza, a wspomaga nakręcanie szalonej spirali złośliwości i odwetów.

Olivia Colman mówi, że w byciu dla kogoś okropnym jest coś terapeutycznego, dopóki... można się z tego razem śmiać.

Cumberbatch tak opisuje swojego bohatera: „Uwielbiam jego bezpośredniość. Wie, czego chce i dąży do tego. Niektóre z jego decyzji są druzgocące, niektóre rozdzierające serce, niektóre zabawne. A czasami jest swoim najgorszym wrogiem. Gubi się w zemście i swoim stanie emocjonalnym, nie dostrzegając innych zaangażowanych w sprawę osób. Po prostu nie jest aż tak świadomy siebie".

POZA SOBĄ

Wydaje się, że Theo, któremu do czasu zawodowego i małżeńskiego kryzysu wszystko się w życiu układało, nie zdołał przygotować się do zmian, jakie nastąpiły. Nie wyrobił w sobie odpowiednich reakcji ani punktów odniesienia, które pozwoliłyby mu inaczej, bardziej empatycznie reagować na to, co się zdarzyło.

Grający Theo Benedict Cumberbatch, któremu światową rozpoznawalność przyniosły role bohaterów celebrujących własny indywidualizm i moce sprawcze (Sherlocka Holmesa w serialu BBC i Doktora Strange'a z serii Marvela), na początku życiowej i zawodowej drogi miał możliwość wyjścia poza ramy

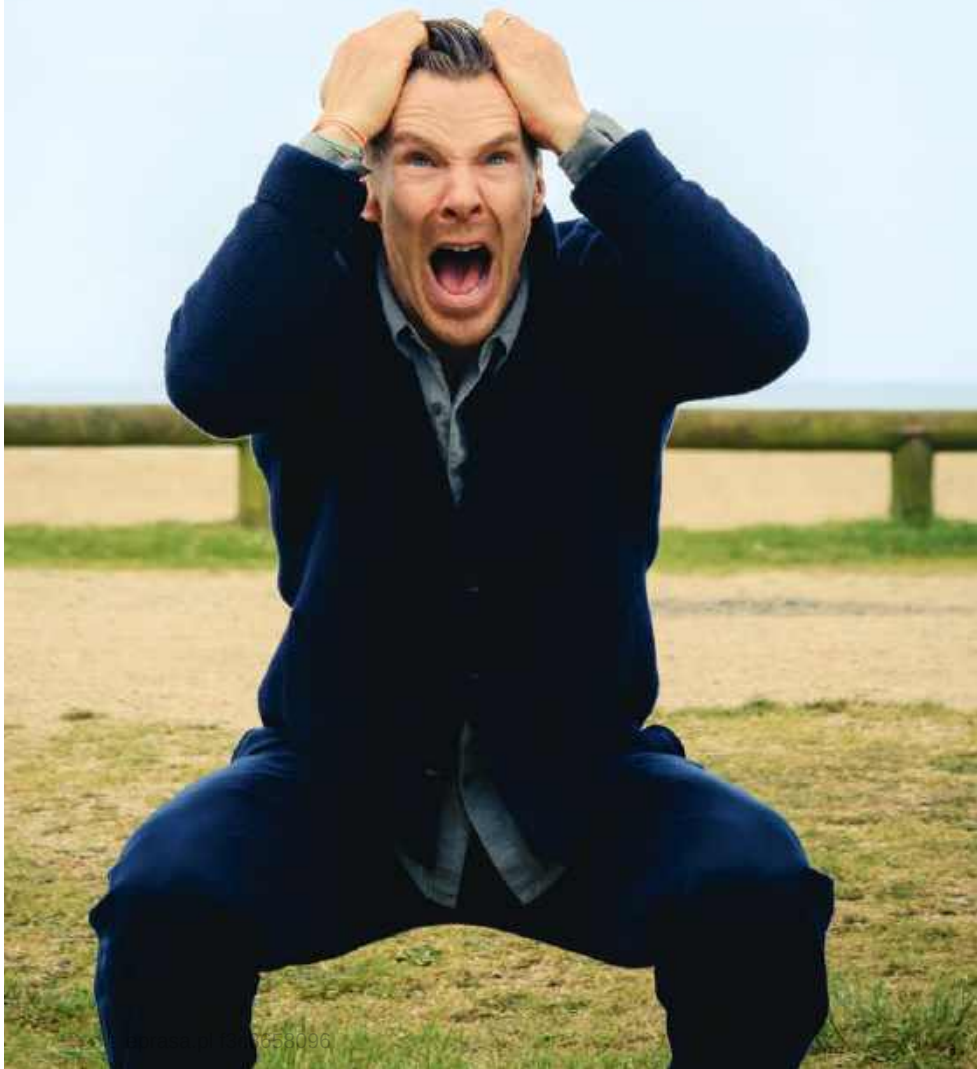

solidnego brytyjskiego wychowania oraz zdobycia szerszego oglądu na swoje przyszłe życiowe role. Być może właśnie to przełożyło się na – nadal wyjątkowe w świecie show biznesu – podejście m.in. do małżeństwa i rodziny.

BRYTYJSKA SZKOŁA

Urodzony w 1976 r. w Londynie Cumberbatch (jeden z najpopularniejszych brytyjskich aktorów z dwoma nominacjami do Oscara – za „Grę tajemnic", 2015 i antywesternowe „Psie pazury", 2022) pochodzi ze znaczącej familii. Jego dziadek był oficerem obu wojen światowych i „wybitną postacią londyńskiej klasy wyższej", pradziadek pełnił funkcję konsula generalnego królowej Wiktorii w Turcji i Libanie. Rodzice to aktorska para: Timothy Carlton (Cumberbatch) i Wanda Ventham.

Benedict odebrał staranne wykształcenie, m.in. w szkołach z internatem. Nim poszedł na studia (magisterium obronił w londyńskiej Akademii Muzyki i Sztuk Dramatycznych), przez pół roku pracował jako nauczyciel wolontariusz języka angielskiego w Indiach.

Od kilkunastu lat aktor pozostaje w związku z Sophie Hunter, uznaną na Wyspach reżyserką teatralną (wcześniej aktorką), a więc kimś z branży, a mimo to tworzą udane małżeństwo. Są też rodzicami trzech synów: Christophera Carltona (ur. 2015), Hala Audena (2017) oraz Finna (2019).

POZA HOLLYWOOD

Ponoć poznali się w 2009 r. na planie filmu „Burlesque Fairytales", czyli jeszcze przed realizacją trampolinowego serialu „Sherlock" (2010–2017) i w niedługim czasie zakończyli poprzednie, długoletnie związki. Szczegóły tworzonej przez nich relacji udało się skutecznie ukrywać do czasu, gdy – ucinając medialne spekulacje – na łamach pisma „The Times" ogłosili w 2014 r. „zaręczyny pomiędzy Benedictem, synem Wandy i Timothy'ego Cumberbatchów z Londynu, a Sophie, córką Katherine Hunter z Edynburga i Charlesa Huntera z Londynu".

Pobrali się w 2015 r. Sakramentalne „tak" padło w XII-wiecznym kościele na wyspie Wright. Cztery miesiące później Sophie Hunter urodziła pierwszego syna.

Równocześnie z powiększającą się rodziną aktor rozwijał karierę i pomnażał majątek, dziś szacowany na ok. 30 mln dol. Mimo zawodowych zobowiązań i popularności małżonkowie postanowili żyć poza Hollywood (choć dom mają stosunkowo niedaleko, w Malibu) oraz mediami społecznościowymi.

„Jestem domatorem. Już nie ciągnie mnie tak jak kiedyś w dalekie, egzotyczne miejsca. Uwielbiam domowe wieczory przy kominku ze szklaneczką whisky, dobrą książką. Ludzie coraz mniej dziś czytają. Telewizor zastępuje im książki, a dla mnie lektura to jedno z najwspanialszych przeżyć. Lubię też słuchać radia" – mówił Cumberbath w wywiadzie dla „Zwierciadła".

DUŻO SZCZĘŚCIA

Świetnie zorganizowane, dostatnie i stabilne domowe pielesze oraz uporządkowany tok życiowych zdarzeń, których oczekiwał m.in. bohater „Państwa Rose", bynajmniej nie są życiowym scenariuszem Benedicta Cumberbatcha. Aktor przywołuje wiele znaczących dla niego niezwykłych doświadczeń.

Przez lata był fanem sportów ekstremalnych – zwłaszcza skoków spadochronowych, lotów balonem, nurkowania i snowboardu. Jako dziewiętnastolatek postanowił wyruszyć do Indii. Spędził w nich pół roku. Mieszkał w klasztorze, gdzie uczył angielskiego tybetańskich buddystów. W wywiadzie dla „Zwierciadła" wspomina, że była to wielka przygoda, ale mogła się zakończyć bardzo niefortunnie. Podczas weekendowej wycieczki z plecakiem w towarzystwie kilku przyjaciół zgubili się na półtora dnia na przełęczy górskiej. Zachorowali na chorobę wysokościową, a na dodatek zatruli jedzeniem, którym poczęstował ich lokalny pasterz.

Dekadę później Cumberbatch został porwany podczas zmiany opony na autostradzie w RPA, gdzie kręcony był miniserial dla BBC. „Celem bandytów byli także moi przyjaciele. Do dziś nie wiem, czemu zawdzięczamy wolność, ale nasi prześladowcy ostatecznie zostawili nas ze związanymi rękoma i z kocami na głowach" – opowiada. „Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia. To wydarzenie sprawiło, że znacznie ograniczyłem te bardziej egzotyczne podróże. Choć większość z nich wspominam dobrze".

DWIE PRZESTRZENIE

Aktor często powtarza, że jest osobą spełnioną: „Robiłem w życiu tak dużo inspirujących rzeczy, odwiedziłem tyle interesujących miejsc, iż mogę śmiało powiedzieć, że nie muszę niczego żałować. Ani do niczego się spieszyć. Bardzo podoba mi się moje życie, co nie oznacza, że zamierzam schodzić ze sceny czy kończyć pracę. Lubię się rozwijać, zwłaszcza przy ciekawych projektach".

Mówiąc o popularności, podkreśla: „Cała ta sława to coś bardzo zmiennego i względnego. Ważne, aby zdać sobie sprawę z tego, że życie jest krótkie, a najważniejsze to chronić tych, których kochasz. Jeśli sława daje mi większe możliwości wyboru ról, to nie mogę narzekać na jej ciemniejsze strony, jak kurcząca się prywatność. Trzeba nauczyć się godzić te dwie przestrzenie".

Fot. Jaap Buitendijk. Courtesy of Searchlight Pictures/Disney (2x)

eprasa.pl f3c8658096

MACIEJ WALASZCZYK

Barokowy romantyk

Sojka, biały jazzman, który na nowo odnalazł styl, język polski i kulturowe korzenie. Uprawiał to poletko pieczołowicie i z wielkim powodzeniem. Pomagały mu w tym pełna swobody muzykalność, autentyzm i radość gry dla ludzi

Okoliczności śmierci Stanisława Sojki (66 l.) moglibyśmy pozostawić brukowcom i portalom plotkarskim, ale trudno pominąć ich symboliczną wymowę. Śmierć muzyka niemal na scenie, pomiędzy próbą a występem w sopockim amfiteatrze, wstrząsnęła publicznością. Artysta chorował na cukrzycę typu drugiego, od pewnego czasu miewał kłopoty z oddychaniem, zawsze ciążyła mu otyłość, z którą raz walczył, a innym razem folgował. Była przecież jednym z powodów rezygnacji menedżerów z wytwórni RCA z inwestowania w jego karierę w końcu lat 80.

W przyszłym tygodniu na warszawskich Powązkach odbędzie się pogrzeb artysty, który nie bez powodu będzie miał charakter państwowy. Bo, mówiąc oficjalnym tonem, kultura narodowa poniosła wielką stratę. Te z okładem 45 lat na scenie to najlepsze karty polskiej piosenki, historia, którą pisał wszechstronnie uzdolniony wokalista, kompozytor, poeta, pianista, skrzypek, a także gitarzysta. Człowiek, który stał się gwiazdą pop, nie tracąc nic kosztem tanich, wizerunkowych kompromisów. Stąd ogrom stylowych przebojów albo piosenek takich jak „Soplicowo" do ścieżki dźwiękowej „Pana Tadeusza" czy swingujący „Ty druha we mnie masz" do disneyowskiego hitu „Toy Story". Odnajdywał się w różnorodnych stylistykach, szukał komunikacji ze słuchaczem, unikał komplikacji, ale trzymając się zasady, że artysta powinien być naiwny, ale jego sztuka – kunsztowna.

Do tego kulturalny, czarujący inteligentną rozmową, jowialny i kochany przez kobiety. W jego prywatnym życiu nie zabrakło przecież i fatalnej miłości, i mocnych, i słabszych narkotyków, a także pogłębiającej się pobożności. Szanował ludzi, dla których grał, dawał z siebie wszystko, chciał, by z jego występów wychodzili odmienieni. Czasem zwracał jedynie uwagę, że do jego bazujących na wyraźnym rytmie piosenek ludzie nierówno klaszczą. „Śpiewam tak, jak klaszczecie" – kokietował.

OD KLASYKI DO JAZZU

Choć większość życia spędził na warszawskiej Saskiej Kępie, pochodził z górskiej części Śląska, z której w pewnym momencie jego rodzina przeniosła się do Gliwic. Jako chłopiec trafił do chóru

epresa.pl

kościelnego, co było pomysłem parafialnego organisty. Po prostu potrzebowano kogoś do zaśpiewania psalmu podczas uroczystości pierwszokomunijnej. Choć już wtedy uczył się gry na skrzypcach, to jednak właśnie ten moment traktował potem jako opatrznościowe zaproszenie do uprawiania muzyki. Był absolwentem wydziału aranżacji i kompozycji katowickiej Akademii Muzycznej. Już podczas egzaminów wstępnych wykazał wielki talent do improwizacji, więc dyplom napisał na temat Louisa Armstronga jako wokalisty jazzowego. Z czarną muzyką zetknął się również przez ruch oazowy, gdy goszcząca w Tatrach grupa Amerykanów śpiewała pieśni spirituals i gospel. Choć przeszedł solidną drogę edukacji klasycznej, niezwykle ważny był dla niego barok i wielka fascynacja muzyką Händla, Bacha i Telemanna, to jednak jego życie odmienili Czesław Niemen oraz jazzmani, tacy jak Miles Davis, Ray Charles i Stevie Wonder, którego styl kapitalnie imitował.

ZAŚPIEWAĆ PO POLSKU

19-letni Sojka debiutował już pod koniec lat 70. koncertową płytą pełną klasycznych standardów pt. „Don't You Cry" (1979), którą nagrał w Filharmonii Narodowej. Scenę podbił znakomitą płytą „Blublula" (1981) z własnymi wersjami utworów znanych jazzmanów. Dużo nagrywał, dużo koncertował, współpracował Jarosławem Śmietaną, Wojciechem Karolakiem, Zbigniew Wegehauptem i Tomaszem Szukalskim. Szczególnym epizodem była płyta „Matko, która nas znasz" z pieśniami maryjnymi. Potem nagrał też własne wersje polskich kolęd i pieśni wielkopostnych.

Co jednak najważniejsze, w połowie lat 80. świetnie prosperujący, równolegle mieszkający w Niemczech i w Polsce muzyk zmienił charakter repertuaru. Dokonał zwrotu radykalnego i ryzykownego – nie dla sławy, ale z artystycznego głodu i chęci przemówienia do ludzi własnym głosem. Nie wszystkim przypadło to do gustu. Najpierw poznali się na nim ludzie ze wspomnianej wytwórni RCA, którzy pozwolili mu odbić się od finansowego dna. Jednak próbując zrobić z niego nowego Ricka Astleya i wydając nagrany w Anglii świetny album „Stanislaw Sojka" (1988), przestrzelili.

Jak się więc stało, że znudzony śpiewaniem jazzowych i gospelowych standardów odnalazł się we własnym sposobie śpiewania – kapitalnie ukształtowanym przez nienaganną polszczyznę? Tym, co go tak wyróżniało, było przeplatane melorecytacjami charakterystyczne frazowanie, bazujące na linii melodycznej i kończące ją niemal zawsze w dolnych rejestrach. Artysta wspominał, że któregoś razu występował na festiwalu we Francji, a po nim dał koncert sam Ray Charles, którego dwie piosenki Sojka miał w repertuarze. „On zrobił to pięknie, a ja poczułem się fałszywie – zrozumiałem, że nie potrzeba, by ktoś inny robił to samo, co on. Uznałem, że muzyka powinna się asymilować zgodnie z korzeniami kulturowymi" – wyjaśniał. Decyzję o śpiewaniu po polsku podjął po dramatycznej rozmowie z mieszkającym wtedy na stałe w Niemczech słynnym awangardowym kontrabasistą Helmutem Nadolskim. „Helmut rozkazał mi: Zacznij wreszcie śpiewać po polsku. Lasy, kwiaty, drzewa, miłość, kobieta..., przecież te wszystkie sprawy można wyrazić po polsku. Wstał, zostawiając mnie z niezapłaconym rachunkiem za obiad" – wspominał.

AKUSTYCZNY ZWROT

Był początek lat 90., także tej nowej rzeczywistości politycznej i rynkowej. Piosenki, które znalazły się na płycie „Acoustic" nagranej wspólne z muzykami grupy Tie Break, m.in. gitarzystą Januszem „Yaniną" Iwańskim, zostały skomponowane jeszcze w czasie jego pobytu w Niemczech. Choć królowała muzyka syntetyczna i rock, rodziło się techno i rap, Sojka wbrew modom postanowił przywrócić jej naturalność i dokonać odwrotu od elektronicznych i sztucznych brzmień. Powstała płyta zagrana w sposób niewymuszony, z gronem najlepszych muzyków, wyrafinowana i jednocześnie przebojowa. Odmieniła jego życie i odniosła niebywały sukces. Sprzedano ponad 500 tys. legalnych kopii, drugie tyle nielegalnych, a piosenki takie jak takie „Cud niepamięci" stały wielkimi przebojami. To akustyczne brzmienie z długim pogłosem instrumentów, a w tle nisko zakotwiczonym basem, utrwaliło jego muzyczny idiom. W tej konwencji zrodziła się też „Tolerancja", a więc napisany na kolanie protest song, który znalazł się na wydanym rok później albumie „Neopositive".

SŁUŻĘ POETOM

Sojka należy także do tych muzyków, którzy wraz artystycznym sukcesem konsekwentnie sięgali do skarbów polskiej poezji – Herberta, Staffa, Szymborskiej, Osieckiej. Uważał, że muzyka przenosi słowa poza możliwości, które daje zwykła lektura. Kolejnym udanym pomysłem był album „Sonety. Shakespeare" (1995), do których napisał znakomicie współbrzmiące, liryczne kompozycje. Potem przyszedł czas na utwory papieża Jana Pawła II. W 2011 r. („W blasku światła") ukazały się te wcześniejsze poezje Karola Wojtyły zebrane na płycie nagranej wspólnie z Andrzejem Piasecznym, jednak jeszcze za życia papieża zaśpiewał obszerne fragmenty z poematu „Tryptyk rzymski" (2003). To też „7 wierszy Miłosza", które traktował jako hołd i zaproszenie słuchaczy do pewnej przygody intelektualnej. Potem muzyk zgłosił się do pieśniarza Adama Struga, który wbrew wszystkim modom kultywuje tradycyjny śpiew ludowy. Sojka zachwycił się jego kurpiowskim barokowym barytonem i skomponował muzykę do wierszy Leśmiana („Leśmian" 2014), a dokładnie „najlepszych erotyków, jakie powstały w polskiej poezji". W ostatnich latach Sojka złożył również osobisty hołd Czesławowi Niemenowi płytą „W hołdzie Mistrzowi" (2013).

W czasie kampanii wyborczej w 2005 r., po aferze Rywina i w poczuciu rozpadu instytucji państwowych, muzyk zaangażował się w poparcie dla PiS i Lecha Kaczyńskiego, grając liczne koncerty w ramach spotkań „Wiosna Polaków". Choć temperatura sporu politycznego szybko odrzuciła go od polityki, nie krył swojej prawicowej wrażliwości, troski o los ojczyzny, często dając okolicznościowe koncerty, jak ten z 13 grudnia 2024 r. w Muzeum Żołnierzy Wyklętych poświęcony historii Emila Barchańskiego, najmłodszej ofiary stanu wojennego.

„Młode pokolenie powinno się odwołać do dziedzictwa przodków" – przyznawał w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", bo poeci, jak twierdził, są i byli po to, by mówić prawdę. „Są jej strażnikami, chronią naszą duchowość i cywilizację. Dlatego służę poetom".

Fot. Grabowski Foto/Shutterstock.com

eprasa.pl 13C58558096

HITY i KITY ZAREMBY

„Nestorka” – film o śmierci, a ja się buntuję

Rzadko mamy okazję oglądać kino nowozelandzkie. „Nestorka” z 2021 r. chyba nie trafiła do polskich kin. Teraz można zobaczyć ten film na Canal+. Wzbudził we mnie idealnie mieszane uczucia, ale to dobry przyczynek do rozmowy o duchowości cywilizowanego świata

Żeby wyjaśnić, dlaczego, muszę spoilerować – wbrew swoim zwyczajom, bo tego nie lubię. Reżyserem jest Matthew Saville, autor dopiero dwóch filmów, przede wszystkim aktor. Grał nawet w jednej z części „Władcy pierścieni”, u najsławniejszego filmowca z Nowej Zelandii Petera Jacksona.

To opowieść rodzinna. Nastolatek, który niedawno stracił matkę, ma poprawne relacje z ojcem. Kiedy jednak ten sprowadza z Anglii do Nowej Zelandii swoją matkę, z którą całe życie darł koty, młodziak Sam nie chce się nią zajmować.

Tyle że ojciec jedzie do Europy i zostawia chłopaka z babcią, wyniosłą, konfliktową alkoholiczką. Ma ona złamaną nogę, więc trzeba jej nieustannie pomagać. Towarzysząca jej pielęgniarka nie wystarczy. Skądinąd ta pomoc to także nalewanie dżinu.

Takie odnajdywanie uczucia w drobnych życiowych czynnościach i także w konfliktach to jeden z archetypów kina. A kiedy babcię Ruth gra Charlotte Rampling, wybitna, w momencie kręcenia filmu 75-letnia brytyjska aktorka, nadal piękna kobieta, ciągnie nas do tej historii jeszcze bardziej. Dostajemy zabawne znaki czasu. Wielokrotnie widzieliśmy dziadków i nawet babcie z burzliwą przeszłością. Ale Ruth chce być nadal młoda. Bardziej ciągnie ją do hulaszczego życia niż jej wnuka i jego kolegów. Nawet jeśli sama może już tylko pić, lubi obserwować, jak młodzi się bawią. Nieogarnięci staruszkowie z epoki rocka nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

Tylko że równocześnie... OK, więzi rodzinne zostały zadzierzgnięte. Okazuje się, że starsza pani przyjechała do syna, żeby umrzeć. Jest śmiertelnie chora. Sam (George Ferrier) początkowo buntuje się przeciw kolejnej stracie, ale potem zabiera babcię z hospicjum. Idea: niech umrze na łonie rodziny jest piękna, prorodzinna.

Tyle że wkrótce mamy zaskakującą scenę. Sam wraz z ojcem i pielęgniarką zabierają Ruth na wycieczkę. Mają oglądać wschód słońca – to ulubiona rozrywka nestorki. Podczas porannego wypoczynku wnuk podaje babci truciznę.

W filmie nie słyszymy żadnej rozmowy na ten temat. Ruth nie wyjaśnia, dlaczego chce szybciej umrzeć. Zapewne padłaby formułka, że powinno się to odbyć „na jej warunkach”. Także bliscy nie rozmawiają o tym, dlaczego trzeba jej w tym pomóc. Eutanazja, potencjalny temat tasiemcowych dyskusji, tu jest nam pokazywana jako coś naturalnego, bezdyskusyjnego.

Udział w tej operacji bierze pielęgniarka (Edith Poor), która dopiero co namawiała nonszalancką pacjentkę, by pogodziła się z religią. Która sprowadzała do niej księży, ba, wymogła na niej przyjęcie komunii, a potem godzi się z czymś takim. Nie znam podejścia Kościoła anglikańskiego – bo o niego tu chodzi – do samobójstwa, przypuszczam, że wciąż jest podobne do poglądów katolickich. Ale dla pielęgniarki to nagle żaden problem. Dlatego piszę, że to symptom obecnego duchowego życia Zachodu (Nowa Zelandia nie leży na zachód od nas, chodzi o dawny świat judeo-chrześcijański).

Zmartwiło mnie to, zwłaszcza że większość tego filmu oglądało się z sympatią. Nie twierdzę, że w ogóle nie rozumiem samobójczych decyzji. Ale ktoś musi mnie przekonać, a nie przedstawiać je jako oczywistość. Przecież od tego już krótka droga do decyzji o zabójstwie „z litości”. Ta droga jest naprawdę zdradliwa, więc buntuję się przeciw takim pointom.

Piotr Zaremba

Machulski – bilans siedemdziesięciolatka

„3174 filmy mojego życia" – to pogawędka 70-letniego Juliusza Machulskiego, reżysera, i Krzysztofa Vargi, felietonisty „Newsweeka". Popisy ich filmowej erudycji czasem olśniewają, czasem bywają drażniące. Machulski dokonuje bilansu swojego filmowego życia

To życie twórcze – kto nie zna dwóch „Vabanków", „Seksmisji" czy obu „Kilerów"? Od dziecka był człowiekiem z branży, zabieranym na filmowe plany przez ojca, wziętego aktora. Jego przemyślenia są manifestem twórcy kina popularnego.

Wygłasza więc tyrady przeciw wielu autorom tzw. filmów ambitnych, dworuje sobie z samego Andrzeja Wajdy, który go nie lubił i gardził jego filmami. Który był zamknięty na uprawiane przez niego gatunki, zwłaszcza komedie. Młodszy o pokolenie reżyser uważa, że Wajda nie miał poczucia humoru.

Jest także inny powód tych złych relacji. Machulski sprzedaje sporo plotek z filmowego świata. To Wajda o mało nie zablokował jego debiutu, czyli „Vabanku", i to z małostkowych powodów. Zarazem bilans tego napięcia wypada wieloznacznie.

Machulski imponuje mi wieloma rzeczami. Jest nie tylko pasjonatem i erudytą sztuki filmowej. Domaga się od reżyserów rygorystycznej wierności realiom, gdy np. opowiadają o przeszłości. Brawo za to.

Zarazem poza kinem mało co go interesuje. O fenomenie Solidarności opowiada z irytacją – jej rewolucja utrudniała mu kręcenie filmów. Jego mowy dystansujące się od kina moralnego niepokoju, od kina jako narzędzia rozmowy o sprawach narodowych, są jednostronne. Choć przyznaje, że „Seksmisja" czy „Kingsajz" to były także pamflety na PRL. Dla Wajdy był on jednak zbyt odwrócony tyłem od ważnych misji sztuki filmowej.

Machulski, twórca „Szwadronu", okazuje się amatorem historii. I raz po raz przemawia – wspierany przez Vargę – przeciw rzekomej dominacji w polskim kinie bohaterszczyzny i narodowych mitów. Ta krytyka jest tyleż przesadna, co banalna. Nie brakuje też ciskanych mimochodem gromów na PiS, które miało niszczyć kinematografię bardziej niż komuniści. Nie padają na to dowody poza przywoływanymi rytualnie tytułami paru filmów. Moim zdaniem w ciągu tych ośmiu lat polska kinematografia nie była gorsza niż przedtem i potem. Skądinąd PISF pozostawał pod kontrolą samych filmowców.

Dostajemy tu sporo zgryźliwych recenzji innych twórców. Machulski nie poważa Christophera Nolana i uważa, że Władysław Pasikowski się skończył. Zrewanżuję się wyznaniem, że jego ostatnim filmem, który mnie zachwycił, była „Superprodukcja" z 2003 r. Oczywiście mam świadomość, że zwłaszcza poczucie humoru to rzecz indywidualna.

Prawdziwym twórcą filmu „Diabeł" nie jest ani scenarzysta, ani reżyser, lecz aktor Eryk Lubos. Chciał wrócić do rodzinnych Tarnowskich Gór, gdzie rozgrywa się akcja i gdzie kręcono „Diabła". Niestety efekt rozczarowuje

„Diabeł" miał premierę w 2024 r., ale ja obejrzałem go dopiero teraz w Canal+. Scenarzysta Robert Ziębiński mieszkał w Tarnowskich Górach dwa lata, żeby pojąć specyfikę tego śląskiego miasta. Reżyserem jest Błażej Jankowiak, ale podobno większy wpływ na kształt filmu miał pochodzący stamtąd Lubos. Gra on Maksa, weterana misji zagranicznych o ksywce „Diabeł", który po odejściu z wojska pędzi samotnicze życie, ale wraca do krainy dzieciństwa na pogrzeb ojca. I trafia w środek kryminalnej intrygi.

Miasto wspierało film, jak mogło. To o tyle zabawne, że Tarnowskie Góry są przedstawione jako centrum biznesowych intryg i gangsterskiej przemocy. Zarazem – choć oglądamy oryginalne ulice i okolice łącznie z zabytkową kopalnią – to mimo emocji scenarzysty i głównego aktora nie udało się oddać tego, co różni to miasto czy region od reszty Polski.

Fabuła może służyć za przykład standardowego filmu akcji. Kudłaty Maks stacza walkę za walką na pięści, potem strzela i zabija. Poza łupaniną w stylu „jeden na dziesięciu, ale ten jeden wygrywa", akcja jest wątła. Może dlatego sam Lubos, jeden z bardziej wyrazistych polskich aktorów, wypada sztucznie. Nominowano go nawet do antynagrody Węży – za „występ poniżej talentu".

Teoretycznie film pokazuje potęgę lokalnego układu bazującego na bezkarnych machlojkach i przemocy. Można by rzec, że to oskarżenie systemu panującego w III RP. A jednak nie dostajemy konkretnej społecznej diagnozy.

Film kończy się napisami apelującymi o zainteresowanie losami wojennych weteranów. Ale o nich też wiele się nie dowiemy. Mamy tu świetnych aktorów: Paulinę Gałązkę, Aleksandrę Popławską czy Krzysztofa Stroińskiego, ale nie dostali oni większego pola do popisu. A mogło powstać coś ciekawego.

3 MIŁOŚCI

Kognitywne samobójstwo Zachodu

ROBERT TEKIELI

„Mam dobrą pracę, samochód, mieszkanie... I pustkę. Po aktywacji pierwszy raz od lat coś w środku się poruszyło". „Całe życie w głowie, kalkulacje, strategie. Tutaj moje ciało zaczęło mówić – i nie dało się go zagłuszyć". „Byłem wieczne napięty, jak sprężyna. Po sesji poczułem, że mogę oddychać pełniej. Proste, a rewolucyjne".

Zastanawiasz się, drogi czytelniku, co czytasz? Tak, to reklamówka. Ale specyficzna. Warta uwagi.

„Mam rodzinę, a czułem się samotny. Po tym doświadczeniu znów poczułem połączenie – ze sobą, a potem z nimi". „Od lat miałem zamrożone emocje. Bałem się, że jak coś poczuję, to się rozsypię. A jednak poczułem – i nie rozsypałem się, tylko odżyłem". „Seksualność była dla mnie mechaniką, a tu nagle energia przepływała tak, że byłem zdumiony, jak wiele mogę czuć".

Czy nadawca komunikatu dobrze definiuje deficyty grupy docelowej? Robi to świetnie. Ludzie stresu, korporacja, samotność. I krótka reklamówka, 40 sekund, a tyle obietnic, odpowiedzi.

„W pracy byłem twardy, zimny. A tu łzy same popłynęły – bez wstydu. I to była największa ulga". „Cały czas chciałem kontrolować. A tu poczułem, że mogę puścić i świat się nie zawali. Wręcz odwrotnie – odetchnąłem". „Byłem odcięty od ciała, ciało było tylko narzędziem. Po aktywacji poczułem, że to żywy organizm pełen mocy". „Zacząłem pytać siebie: czego ja naprawdę chcę? Nie szef, nie żona, nie oczekiwania społeczne – ja".

Mamy więc rozwiązania na pstryknięcie palca. „Gotów poczuć to sam? Zacznij od indywidualnej sesji online – napisz do mnie". W tle tych słów na filmiku reklamowym widzimy atrakcyjną, zalotną kobietę, która opowiada o czymś zachwycona, w uniesieniu.

Słowa kluczowe reklamówki to: aktywacja, energia, emocje, odczuwanie, ulga. Czego zabieganemu człowiekowi potrzeba więcej? W opisie filmiku czytamy: „Aktywacja Kundalini to spotkanie z Twoją własną energią życiową i poszerzoną świadomością. Nie jest to metoda do nauczenia się ani kolejny kurs rozwoju. To doświadczenie, w którym ciało samo zaczyna pracować – uwalnia napięcia, resetuje stres, uruchamia przepływ. Może pojawić się rozluźnienie albo przypływ siły. Czasem emocje, których dawno nie czułeś. Czasem jasność, której nie dają żadne analizy. Każda sesja jest inna. Ale zawsze prawdziwa. Zaskakująca. Bezpieczna. I dokładnie taka, jakiej potrzebujesz w tym momencie. Na początek zapraszam na sesję indywidualną online (1:1) – przestrzeń, w której możesz sprawdzić, jak to działa w twoim ciele i twoim życiu. Jeśli czujesz, że to do Ciebie mówi – napisz do mnie. Odpowiem osobiście. Joanna".

Wszelkie praktyki, których celem jest wprowadzenie człowieka w odmienny stan świadomości, są niebezpieczne. Ludzie myślą: jeśli coś działa, jest OK. Niestety to pułapka

Czym jest to doświadczenie, o którym opowiada zachwycona „Joanna"? Inicjacją w orientalną duchowość, która niczego nie uzdrawia, a za którą bardzo często, po kilkutygodniowym lub kilkumiesięcznym okresie pozytywnych odczuć, idą niedające się leczyć farmakologicznie depresje, wahania nastroju nieadekwatne do bodźca, statystycznie nieprawdopodobne liczby negatywnych wydarzeń w życiu albo rozpadające się relacje.

Passus o poszerzonej świadomości to oszustwo, bo stany transowe są stanami zawężonej, odmiennej świadomości. Prawdą jest natomiast, że nie mamy tu do czynienia z metodą czy kursem rozwoju, bowiem jesteśmy zapraszani do duchowego otwarcia się. I nie ma tu mowy o bezpieczeństwie. Stosowanie praktyk religijnych w niereligijnym celu, w które w Indiach wprowadzają przeselekcjonowanych adeptów tamtejsi nauczyciele, praktyk odartych z ich empatycznych i etycznych zabezpieczeń, bez których na Wschodzie nie ma mowy o nauczaniu jogi, to wręcz duchowe samobójstwo.

A poza tym, jak można złożyć taką obietnicę: „[sesja, do której cię zapraszam, będzie] dokładnie taka, jakiej potrzebujesz w tym momencie"? Czy człowiek może coś takiego obiecać?

Nawet AI podpowiada: „Przed rozpoczęciem praktyki jogi kundalini zaleca się konsultację z doświadczonym nauczycielem, aby uniknąć ewentualnych negatywnych skutków".

Inny przypadek: wśród uczestników warsztatów rozlosowano koperty. Były w nich dane nieznanych kursantom osób. Andrzej poznał imię i nazwisko kobiety. Miał zdiagnozować, na co choruje. Ustawił gałki oczne w pozycji, którą zalecał prowadzący. Umieścił język na podniebieniu tak, jak uczono go wcześniej. Zaczął wprowadzać się w stan, który już dzień wcześniej zaczęło mu się udawać osiągnąć. Zapisał to, co „zobaczył" w głębi siebie. Diagnoza okazała się trafna. W drugiej kopercie, którą otworzył po zapisaniu swoich wizji, przeczytał: chora wątroba i zatoki. Dokładnie to samo widział. Nie chciało mu się w to wszystko wierzyć. Ale większość obecnych w auli uczestników kursu kontroli umysłu

eprasa.pl f3c8658096

według Silvy było zdumionych tak jak on – metoda okazała się skuteczna!

Kurs doskonalenia umysłu: po jakimś krótkim, niezbyt rzucającym się w oczy rytuale odprawionym przez prowadzącego, który w jego trakcie trzymał dłoń na ramieniu uczestnika, zwykli ludzie wchodzą na rozżarzone węgle. I nie mają poparzonych stóp.

Podobnie zadziwiające rzeczy dzieją się na warsztatach z „widzenia aury", kursach fotograficznego czytania, synchronizacji półkul mózgu. Ludzie odczytują cudze myśli, potrafią poznać zakryte cyfry, znają treść widzianej przez sekundę strony książki.

Jak to się dzieje? Czemu nie wykorzystujemy tego w szkołach? Dlaczego współczesna nauka boczy się na te „osiągnięcia"?

W latach 60. XX wieku zaczęto usilnie promować przekonanie, że współczesna cywilizacja stłumiła w ludziach niesamowite zdolności. W kalifornijskim Esalen powstał Ruch Ludzkiego Potencjału. W tymże Esalen, jednym z dwóch oprócz Findhorn najważniejszych ośrodków będących kuźnią ruchu New Age, gościli m.in. Aldous Huxley, Ken Kesey, J.B.Rhine, Carlos Castaneda i Paul Tillich. Esaleńska kuźnia idei przyczyniła się do powstania wielu różnorodnych praktyk i ideologii New Age. Ale nas interesuje teraz tylko główne przekonanie, na którym bazowała: istnieją sposoby na uruchomienie w człowieku ukrytego potencjału. Możemy sami chronić się od chorób, możemy przewidywać przyszłość, możemy diagnozować myślą i uzdrawiać.

Istotą manipulacji związanej z tym pomysłem jest ukrycie informacji, że za wszystkimi tymi nowymi „umiejętnościami" stoją odmienne stany świadomości.

Twórcy technik kontroli czy doskonalenia umysłu różnią się od jawnych okultystów jedynie tym, że w opisie swych praktyk używają języka udającego język naukowy. Mówią o częstotliwościach fal mózgu, synchronizacji jego półkul itp. Przekonują, że ludzie XXI w. wykorzystują jedynie 10 proc. potencjału swoich umysłów, co jest całkowitą bzdurą. Badania naukowe ostatnich 70 lat całkowicie bowiem zaprzeczają temu wielkomiejskiemu mitowi. Wszelkie praktyki, których celem jest wprowadzenie człowieka w odmienny stan świadomości, są niebezpieczne. Ludzie myślą: jeśli coś działa, jest OK. Niestety to pułapka.

Nie istnieje żaden ukryty potencjał ludzkiego umysłu, geniusze zazwyczaj ciężko pracują na swój sukces. Natomiast intensywne wejście w praktyki odmiennych stanów świadomości zawsze kończy się rozstrojem psychoemocjonalnym i duchowym. Fałszywe odpowiedzi na prawdziwe ludzkie głody. Wierzenia w miejsce wiary.

Człowiek zazwyczaj pyta religię nie o strukturę wszechświata, lecz o to, jak dobrze, szczęśliwie przeżyć życie i jak osiągnąć w nim happy end. Kim jestem, dokąd idę, jak osiągnę spełnienie?

Pytania o szczęście, spełnienie, los, człowiek stawia od zawsze. Pytania o naturę Boga, wszechświata, człowieka – to kwestie światopoglądowe, a nie religijne. Interesują mniejszość. Od religii, kultury, sztuki, filozofii, mądrości, tradycji, doświadczenia, innych ludzi człowiek oczekuje porady, jak dobrze przeżyć życie, być szczęśliwym i osiągnąć życiowy sukces.

Dziś podstawowe struktury poznawcze, w których socjalizowani są ludzie Zachodu, to popkultura, reklama, ideologie i wierzenia. Kultura memów kontra kultura katharsis. Nowożytne filozofie nie służą bezinteresownemu poznawaniu świata, lecz przekształcaniu go na modłę trzymających władzę. Jeśli miałbym opisać dwoma słowami cywilizację, która po 1989 r. przyszła do Polski, powiedziałbym: uśmiechnięta rozpacz. A rozpacz to decyzja o odrzuceniu Boga.

Porzucenie pojęcia Boga okazuje się kluczową decyzją nowożytnego humanizmu. Zrozumienie Boga, objęcie go sercem, umysłem, duszą, daje szansę na życiowy happy end. Zawsze mam pod powiekami jeden z najmocniejszych judeo-chrześcijańskich symboli autorstwa największego poety w dziejach ludzkości. Dolina kości proroka Ezechiela. Bóg pokazuje, że to od niego pochodzi życie, nadzieja, pełnia. Ustami proroka mówi do wyschłych kości: „Oto Ja wam daję ducha po to, abyście się stały żywe. Chcę was otoczyć ścięgnami i sprawić, byście obrosły ciałem, i przybrać was w skórę, i dać wam ducha po to, abyście ożyły i poznały, że Ja jestem Pan". To Bóg ożywia ducha, daje prawdziwą nadzieję. Sprzedawców fałszywej nadziei jest na pęczki. Ideolodzy, doradcy życiowi, okultyści, mentorzy, instruktorzy kundalini. Bóg robi to wszystko z miłości. Chce zostać poznany, odkryty, przyjęty. Wszystkiego tego może doświadczyć człowiek rytuału. W liturgii.

Bóg daje szczęście. On uczy nas chodzić prostymi ścieżkami: „W swoim utrapieniu wołali do Pana, a On ich uwolnił od trwogi. I powiódł ich prostą drogą, aż doszli do miasta zamieszkałego. Głodnego nasycił, łaknącego napełnił dobrami". Bóg przychodzi z mocą. Chce kochać i być kochany.

Kto potrafi uwolnić twoje serce od trwogi? Odpowiedz sobie szczerze.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f3c8658096

Pierwszy sprawdzian Urbana

MICHAŁ MUZYCZUK

Przed nami pierwszy mecz reprezentacji Polski pod wodzą nowego selekcjonera. Jan Urban zaczyna swoją przygodę z kadrą z wysokiego C, bo wyjazdowy mecz z Holandią w eliminacjach do mistrzostw świata to poważne przetarcie. Z kolei domowe starcie z Finlandią kilka dni później to walka o drugie miejsce w grupie dające udział w barażach, czyli tak naprawdę walka o wszystko

Tekst piszemy przed ujawnieniem powołań do reprezentacji, więc musimy w pewnej mierze bazować na przypuszczeniach. Natomiast nikt nie przewiduje rewolucji w składzie drużyny narodowej, bo przecież zgrupowanie z dwoma spotkaniami o tak dużym ciężarze gatunkowym to nie czas i nie miejsce na odkrywanie reprezentacji na nowo. Trzon zespołu jest znany, a Jan Urban musi przede wszystkim poukładać zespół tak, żeby grał na miarę swoich możliwości. Ale również oczyścić atmosferę i zarazić zawodników pozytywną energią, której nowy selekcjoner ma spore pokłady. To człowiek dialogu i konsensusu, a reprezentacja Polski potrzebuje ich jak tlenu.

WYJĄTKOWO TRUDNY START

Dramatyczne czerwcowe zgrupowanie kadry, którego niechlubnym symbolem jest wielka kłótnia o opaskę kapitańską zakończona rezygnacją z gry w kadrze Roberta Lewandowskiego, miało poważne skutki. Po pierwsze, Michał Probierz pożegnał się z posadą selekcjo-

nera w atmosferze skandalu, a morale w zespole poleciało na łeb na szyję. Po drugie, poniesiona w fatalnym stylu porażka z Finlandią obniżyła do minimum margines błędu, na jaki piłkarze mogą sobie pozwolić w kolejnych meczach eliminacji do mistrzostw świata. Właśnie w takim stanie kadrę przejmował Jan Urban, który 16 lipca objął posadę selekcjonera.

Jaworznianin odnosił sukcesy w szkoleniu juniorów, zdobywał zawodowe szlify w Hiszpanii, jako asystent Leo Beenhakkera poznał reprezentacyjną kuchnię, a od lat jest stale obecny w polskiej piłce klubowej. Wszyscy wypowiadają się o nim jako o człowieku, z którym łatwo znaleźć wspólny język, i trenerze, który nie dąży do konfliktów i starć, ale jednocześnie potrafi wymagać od piłkarzy zaangażowania i ciężkiej pracy. Bez nich reprezentacja nie ma czego szukać we wrześniowych starciach z Holandią i Finlandią.

Polacy grają o to, żeby znaleźć się w gronie 48 reprezentacji, które w czerwcu i lipcu przyszłego roku będą walczyć o mistrzostwo świata na boiskach Kanady, Stanów Zjednoczonych i Meksyku. W tej rozszerzonej formule (w poprzednich turniejach brały udział 32 reprezentacje) pojawi się 16 drużyn z Europy (na poprzednich mundialach grało 13 zespołów z naszego kontynentu). W tym gronie znajdą się zwycięzcy 12 grup eliminacyjnych oraz 4 zespoły wyłonione w barażach. Zagrają w nich drużyny z drugich miejsc w grupach eliminacyjnych oraz cztery zespoły z Ligi Narodów, które nie zajęły 1. i 2. miejsca w grupie eliminacyjnej. Tutaj wchodzi skomplikowany regulamin powiązania Ligi Narodów z eliminacjami do mistrzostw świata: do baraży awansuje czterech najlepszych zwycięzców grup spośród wszystkich dywizji. Czyli tą ścieżką może podążyć np. San Marino czy Mołdawia z dywizji D (najgorszej), ale już nie Polska, która w swojej grupie w dywizji A (najlepszej) zajęła ostatnie czwarte miejsce. Tym samym Biało-Czerwoni muszą wygrać grupę eliminacyjną (mało prawdopodobne) lub zająć w niej drugie miejsce (bardziej prawdopodobne).

Od początku wiadomo było, że grupa G ma dwóch zdecydowanych outsiderów – Litwę i Maltę. Zespół prowadzony przez Michała Probierza ograł naszych północno-wschodnich sąsiadów 1:0, kiedy piłka po strzale Roberta Lewandowskiego i szczęśliwym odbiciu od jednego z litewskich obrońców wylądowała w bramce rywala 10 minut przed końcem meczu. Kilka dni później dublet Karola Świderskiego pozwolił na zwycięstwo 2:0 nad Maltą, ale znów gra faworyzowanych gospodarzy pozostawiała wiele do życzenia. Czerwcowe zgrupowanie ze wspomnianą już aferą o opaskę kapitańską i tragicznym meczem w Helsinkach to bolesne wspomnienie. Kontaktowa bramka Jakuba Kiwiora rozbudziła nadzieje, ale ostatecznie Finowie zasłużenie pokonali Polaków 2:1.

Biało-Czerwoni mocno skomplikowali sobie sytuację w grupie eliminacyjnej. Zwycięstwo w niej jest niejako z urzędu przypisywane Holandii, z którą Polska jeszcze się nie mierzyła. Oranje dotychczas pokonali Finów i zdeklasowali Maltańczyków, więc na razie realizują swój plan. W meczu, który odbędzie się 4 września w Rotterdamie, Polacy są skazywani na pożarcie. Na pewno drużyna musi poradzić sobie 7 września z Finlandią. Brak zwycięstwa w tym starciu już bez żadnej przesady będzie tragedią, bo tym samym zajęcie 2. miejsca w grupie będzie można rozpatrywać już tylko w kategoriach science fiction.

KTO W ZESPOLE?

Czy selekcjoner debiutant ma powody do optymizmu przed najbliższym zgrupowaniem kadry? Powiedzmy sobie otwarcie – niewiele. Jednym z nich na pewno jest brak konfliktu z niegdysiejszym kapitanem kadry, a jednocześnie jej najlepszym zawodnikiem. Co prawda w momencie pisania tego tekstu wciąż brak oficjalnej informacji o powrocie „Lewego" do składu, ale przecież nie ma powodu, żeby ów powrót nie nastąpił. W rozmowie z RMF FM Jan Urban potwierdził, że kontaktował się z napastnikiem Barcelony i ten wyraził chęć gry z orzełkiem na piersi.

Poza tym w zasadzie w każdej formacji kadra mierzy się z problemami – i niestety kłopotu bogactwa próżno wśród nich szukać. Czasy, kiedy niemal na każdej pozycji znajdował się jeden czy dwóch zawodników na europejskim poziomie na razie są wspomnieniem. Polacy o ugruntowanej pozycji w dobrych klubach w ostatnim czasie obniżyli swoje notowania, a ich młodych i zdolnych następców wcale nie tak łatwo znaleźć.

Jeśli chodzi o obsadę bramki, Urban wyjawił, że nie jest zwolennikiem wyboru jednego podstawowego golkipera reprezentacji. Czasy niekwestionowanego numeru jeden, którym był Wojciech Szczęsny, minęły wraz z zakończeniem przez niego kariery reprezentacyjnej. Możemy się spodziewać, że szansę dostanie Kamil Grabara. Aż trudno uwierzyć, że 26-latek dotychczas pojawił się w reprezentacji tylko raz, ponad cztery lata temu. A przecież to podstawowy bramkarz VFL Wolfsburg, czyli solidnej drużyny niemieckiej Bundesligi, który wcześniej przez lata dobrze spisywał się w lidze duńskiej. Czy Grabara będzie poważnym zagrożeniem dla Łukasza Skorupskiego, na którego stawiał Probierz? 34-letni golkiper rozpoczął właśnie swój ósmy sezon jako opoka Bolonii we włoskiej Serie A, ale też trzeba pamiętać, że za czasów duopolu Szczęsny–Fabiański incydentalnie pojawiał się na boisku z orzełkiem na piersi. Co więcej, wciąż przed oczami staje jego fatalnie sprokurowany rzut karny w czerwcowym meczu z Finlandią.

Prawdopodobnie w kontekście obrony polskiej bramki przejście z francuskiej do saudyjskiej ekstraklasy nie wyjdzie na dobre Marcinowi Bułce, zastępcy Grabary za czasów poprzedniego selekcjonera. Nowy selekcjoner traktuje Arabię Saudyjską jako futbolową egzotykę, więc decyzja bramkarza mającego 26 lat może się jawić jako typowy skok na kasę (w Neom SC ma zarabiać ok. 10 mln euro rocznie) i wypisanie się z poważnego grania. Jednocześnie szejkowie uczynili ze swojej ligi naprawdę poważną siłę, przynajmniej w wymiarze kontynentalnym: w minionej edycji azjatyckiej Ligi Mistrzów trzy kluby reprezentowały Saudi Pro League w półfinałach. Poza wymienioną trójką w odwodzie znajduje się solidny Bartłomiej Drągowski, który niedawno został

Fot. Mikołaj Barbanell/Shutterstock.com

eprasa.pl f3c8658096

bohaterem Panathinaikosu, broniąc dwie jedenastki w konkursie rzutów karnych w eliminacjach Ligi Europy. W Lidze Mistrzów z kolei wystąpi Mateusz Kochalski z Karabachu Agdam, który stał się pewnym punktem mistrza Azerbejdżanu po ubiegłorocznym transferze ze Stali Mielec. Bartosz Mrozek z Lecha Poznań musi na razie uzbroić się w cierpliwość, bo na swój debiut prawdopodobnie jeszcze trochę poczeka.

Prawdziwe problemy zaczynają się za polem bramkowym. Michał Probierz grał systemem z trójką stoperów i wahadłowymi, Jan Urban będzie prawdopodobnie chciał powrócić do klasycznego wariantu z czwórką defensorów. Jeśli chodzi o środkowych obrońców, niezwykle cieszą informacje płynące z Portugalii, gdzie Jan Bednarek stał się podstawowym graczem defensywy FC Porto. W Southampton przez osiem sezonów przeżywał wzloty i upadki, a spadek z Premier League po tragicznym ubiegłym sezonie przypieczętował rozbrat z angielską drużyną.

A Jakub Kiwior? Wydawało się, że końcówka poprzedniego sezonu w Arsenalu Londyn może być dobrym prognostykiem na przyszłość, ale początek obecnego pokazał, że 25-latek musiał myśleć o zmianie klubu, jeśli chciał regularnie grać na wysokim poziomie. Powrót Gabriela Magalhãesa po kontuzji zepchnął Kiwiora poza podstawowy skład, a Polak prawdopodobnie trafi do... FC Porto, gdzie może stworzyć duet z Bednarkiem. Taki klubowo-reprezentacyjny duet polscy kibice powinni pamiętać z czasów, gdy w barwach narodowych i w niemieckim Schalke 04 brylowali Tomasz Hajto i Tomasz Wałdoch. Bednarek i Kiwior wydają się pewniakami w układance Urbana, podobnie jak Matty Cash. Obrońca Aston Villi utrzymał pozycję w klubie i ciężko znaleźć kogoś bardziej nadającego się na prawą flankę defensywy, choć nie należy zapominać o notującym świetny początek sezonu Pawle Wszołku z Legii Warszawa.

Po przeciwnej stronie pojawia się większy problem, bo jeśli zagramy czwórką z tyłu, znów zadamy sobie odwieczne pytanie o sensownego lewego obrońcę. Bartosz Bereszyński, któremu zdarzało się odgrywać tę rolę, jest bez klubu. Na lewej flance może się sprawdzić Kiwior, ale wtedy pojawia się pytanie o partnera dla Bednarka w środku. Na podorędziu jest Sebastian Walukiewicz, który przeszedł do Sassuolo, beniaminka Serie A, gdzie jednak na razie gra jako prawy obrońca. Z wyścigu o miejsce w składzie na razie wypadli Paweł Dawidowicz (ostatni mecz w Hellas Verona w maju, obecnie bez klubu), Mateusz Wieteska (zerwanie więzadeł krzyżowych w debiucie ligowym w tureckim Kocaelispor), Kamil Piątkowski (brak miejsca w Red Bull Salzburg, na celowniku klubów z hiszpańskiej ekstraklasy) i zapewne Mateusz Skrzypczak (ciężkie wejście do drużyny po transferze z Jagiellonii do Lecha). Być może remedium na problemy obronne stanie się debiut Jana Ziółkowskiego, który za 6 mln euro przechodzi z Legii Warszawa do AS Romy, piątej drużyny Serie A poprzedniego sezonu. Sporo spekuluje się również na temat drugiej szansy dla Tomasza Kędziory, podstawowego stopera PAOK Saloniki, który w kadrze nie pojawił się od niemal dwóch lat. A może swoje miejsce znajdzie wchodzący do Bundesligi Arkadiusz Pyrka, który zadebiutował na prawej stronie obrony St. Pauli?

Więcej opcji pojawia się w środku pola, ale i tutaj Jan Urban ma ból głowy. Oczywiście niepodważalne miejsce w składzie reprezentacji zajmuje Piotr Zieliński, ale i on ma swoje problemy. To już niestety nie podstawowe ogniwo sięgającego po mistrzostwo Włoch Napoli, ale zawodnik walczący ze zmiennym szczęściem o miejsce w drugiej linii Interu, w czym oczywiście nie pomagają mu trapiące go od miesięcy kontuzje. Dobrze, że niezmiennie w wysokiej formie pozostaje Bartosz Slisz, chociaż oczywiście można się zżymać, że to zaledwie Atlanta i amerykańska liga, a nie ktoś z europejskiego topu. W Fenerbahçe prowadzonym przez José Mourinho wciąż wysokie notowania ma Sebastian Szymański.

Zakładając, że w starciu z Holendrami trzeba będzie zagęścić środek pola, zaczynają się karkołomne puzzle. Z powodu przewlekłych problemów z plecami wątpliwy jest występ Jakuba Modera z Feyenoordu Rotterdam, który w ostatnim czasie był pewniakiem w pomocy. Maxi Oyedele wciąż nie zadebiutował w RC Strasbourg po hitowym transferze z Legii, Jakub Piotrowski na razie gra ogony po przejściu z Łudogorca do Udinese, Kacper Urbański nie ma miejsca w składzie Bolonii i szuka klubu, a Oskar Repka z Rakowa Częstochowa szuka formy z wiosennych występów dla katowickiej Gieksy. W tej sytuacji Jan Urban ma opcje nieoczywiste, do których należą Filip Jagiełło i Antoni Kozubal z Lecha, grający w Jagiellonii Taras Romanczuk i Dawid Drachal czy wciąż młodzi stranieri z Turcji, Kacper Kozłowski i Jakub Kałuziński.

Urban ma zgryz z obsadą skrzydeł (przy czwórce obrońców) lub wahadeł (przy grze trójką defensorów). Nicola Zalewski już jest chwalony po pierwszych występach w Atalancie, swoją pozycję po transferze z Galatasaray do Stade Rennes będzie budował Przemysław Frankowski, Jakub Kamiński powoli wchodzi do składu FC Köln. Być może selekcjoner ulegnie urokowi nieśmiertelnego Kamila Grosickiego, a wielu ekspertów wskazuje na potencjał młodego zawodnika Jagiellonii Oskara Pietuszewskiego.

W ataku wszystko wydaje się jasne – jeśli gra Robert Lewandowski, to szukamy jedynie uzupełnienia, o ile Urban zdecyduje się na grę dwójką napastników. W biało-czerwonych barwach można liczyć na Karola Świderskiego z Panathinaikosu, nowy rozdział w karierze rozpoczyna po przejściu do Udinese Adam Buksa, po meksykańskich boiskach z powodzeniem biega Mateusz Bogusz. Jest też Krzysztof Piątek, ale transfer 30-latka do ligi katarskiej nie spotkał się z przychylnością ze strony selekcjonera.

* * *

Nad przyczynami kryzysu, jeśli chodzi o utalentowanych pretendentów do kadry, można się zastanawiać, ale to materiał na inny artykuł. Na pewno Jan Urban nie jest w tak komfortowej pozycji, w jakiej znajdował się jeszcze kilka lat temu chociażby Adam Nawałka. Przed reprezentacją zaledwie kilka dni na podłapanie nowej koncepcji gry i udowodnienie, że ostatnie zgrupowanie było zaledwie wypadkiem przy pracy, a polskich piłkarzy stać na awans do mistrzostw świata.

eprasa.pl f3c8658096

SŁODKO-SŁONY

Gorący krem

ANNA MONICKA

Pierwszy posmak jesieni spadł na mnie dość nagle. Wyjazd z domu w dzikim upale i podróż zaledwie kilka godzin, a gdy wyszłam z samochodu, poczułam dojmujący chłód, do którego rozgrzane ciało kompletnie nie było przygotowane. Wygrzebałam sweter i skarpety, które wożę w bagażniku na wszelki wypadek, żeby przetrwać w niesprzyjających warunkach. Dostałam też od znajomych dodatkowy koc. Następnego dnia planowaliśmy z dziećmi wypad na wycieczkę w góry – żadne tam wysokie szczyty, tylko Ustroń i okolice. Ale gdy dotarliśmy na miejsce na przemian lało, wiało albo świeciło słońce. Każdy podmuch wiatru zrywał z drzew liście, które malowniczo tańczyły na ścieżce. Trzeba było wyciągnąć peleryny i czapki, bo dzieciakom zaczęły sinieć nosy.

Po kilku godzinach wędrówek zaczęliśmy szukać miejsca do zjedzenia, ale knajpki obsiadły tłumy wczasowiczów i kuracjuszy z lokalnych sanatoriów, którzy w przerwach między zajęciami najwyraźniej nadrabiali ubytki kaloryczne. Pojechaliśmy więc na Równicę i to okazała się całkiem niezła decyzja. Ludzi było zdecydowanie mniej, zresztą większość siedziała w schronisku na szczycie. My postanowiliśmy zajrzeć do Koliby, którą pamiętam jeszcze z czasów, gdy śnieg był po pachy. Zostaliśmy w otwartym ogródku, gdzie pali się żywy ogień i można sobie upiec pstrąga na patyku. Od paleniska bije miłe ciepło i ładnie pachnie dym. Ale wszyscy – i starzy, i młodzi – zapragnęliśmy nie ryby, ale prawdziwej, porządnej, sycącej zupy. Najlepiej solidnej kwaśnicy na żeberku. Takiej, która rozgrzeje w brzuchu piec i daje siłę do dalszej wędrówki.

Ten kilkudniowy wypad do innej strefy klimatycznej był jednocześnie naszym pożegnaniem z wakacjami. Już po drodze do domu robiłam zakupy, bo córka zapragnęła teraz codziennie gęstych polewek. Z kwaśnicą jeszcze poczekamy, niech nastaną przymrozki, ale warzywną przecierankę ugotowałam od razu. Bezmięsną, za to z dużą ilością czosnku i imbiru. Kilka ziemniaków, buraków (jak najwięcej), pietruszkę, seler i por trzeba ugotować, dynię i batata upiec, a potem wszystko razem zmiksować na gęsty krem z oliwą, solą, pieprzem i tymiankiem. Ja jeszcze dolewam domowy kwas buraczany – dla koloru i smaku. Z rozpędu wyszło mi 12 l, więc część zawekowałam, część zamroziłam. Można ją jeść z grzankami, fetą, jogurtem – rozgrzewa i pomaga przystosować się do jesieni.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Korytarz życia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W naukach i praktyce przyrodniczej istnieje pojęcie korytarza ekologicznego. Zachowanie korytarzy ekologicznych jest jedną z kilku fundamentalnych zasad ochrony przyrody. Jeżeli funkcjonują, organizmy mogą się przemieszczać, znajdować pożywienie, docierać do schronień, zimowisk, spotykać się z osobnikami z innych populacji, dzięki czemu zachodzi niezbędna wymiana genów itp. Jeżeli nie, przyroda ginie. Czasem wolniej, a czasem błyskawicznie, będzie to jednak proces nieuchronny.

Celowo piszę o organizmach. Wędrują bowiem zwierzęta, grzyby, rośliny i prokarionty. Najbardziej kompletnym korytarzem ekologicznym jest rzeka z naturalnym korytem i naturalnymi brzegami. Wzdłuż niej przejdą łoś i łasica. Nad jej nurtem przelecą stada ptaków. Wodą przepłyną ryby i płazy, a także nasiona i zarodniki. Rzeka jest korytarzem dla wszystkich. Korytarze mogą mieć jednak różną postać.

Angielskie określenie „stepping stones" odnosi się do punktów rozmieszczonych jak kamienie przez rzekę, po których można ją przekroczyć, skacząc. To obrazowe porównanie – np. dla niektórych drobnych ptaków czy motyli takimi kamieniami/przystankami mogą być rosnące co kilkadziesiąt metrów kępy krzewów. Takie zwierzęta nie przelecą większej odległości na raz, bo nie dadzą rady albo w przypadku ptaków narażą się na atak. Nie pokonają rozległej pustej przestrzeni, chyba że będą mogły robić regularne przystanki.

Kiedyś wzdłuż pewnej alejki spacerowej pojawiły się rzędy drewnianych palików. Niewysokich. Za wysokich jednak dla jeża, który co wieczór ją przekraczał, idąc z zarośli, w których sypiał, do miejsca żerowania. Paliki nie służyły niczemu, były dekoracją. Jednak z ich powodów jeż, którego obserwowałem, zamiast jak dawniej przejść alejkę w poprzek, musiał co wieczór iść dodatkowe 100 m wzdłuż palisady, żeby dojść do miejsca, w którym była przerwa. Nie musiał się długo męczyć, bo dość szybko potrącił go rower.

Różne są też sposoby zachowywania korytarzy. Czasem chodzi o ochronę rzeki, a czasem wystarczy nie ograzdać terenu albo chociaż zrobić ogrodzenie ażurowe, z kilkunastocentymetrową przerwą pomiędzy dolną krawędzią ogrodzenia a ziemią. Dla nas to często bez znaczenia, dla jeża, zaskrońca czy ropuchy kwestia tego, czy ich świat zmieni się bezpowrotnie (i prędzej czy później zginie, ale my tego nawet nie zauważymy), czy też zachowamy dla nich te wąskie przesmyki.

eprasa.pl f3c8658096

OGNIEM NA WPROST

Meldunek z frontu

Andrzej Rafał Potocki

Sytuacja w wielkiej polityce czeka na swoją kolej, bo nikt nie wie, jakie do końca są zamiary Kremla, ale jak znamy życie, możemy spodziewać się najgorszego, czyli dalszej wojny. A ponieważ negocjacje ukraińsko-moskiewskie w dużym stopniu są uzależnione od sytuacji na froncie, należy się tym zająć. Ostatnio można przeczytać wiele analiz, które albo są propagandowym wytworem politycznego chciejstwa „fachowców", albo ruską robotą mającą rozmiękczyć Kijów oraz jego popleczników w dążeniu do osłabienia pozycji w postrzeganiu Ukrainy jako tej, która w zasadzie już niedługo przegra wojnę. Dlatego ważne jest właściwe widzenie tego, co się tam naprawdę dzieje.

Na odcinku sumskim (północny wschód Ukrainy) znajduje się wieś Kondratówka. Niedawno podano oficjalną wiadomość, że właśnie została odbita. Trwa wypychanie Moskali na wschód, czyli wielka ofensywa sumska Moskwy okazała się strategicznym kapiszonem. Gdy zejdziemy w dół mapy ok. 250 km w prostej linii na południowy wschód, znajdziemy się w okolicach Kupiańska. A tam od czasów przeprowadzonej z powodzeniem w 2022 r. wrześniowej kontrofensywy charkowskiej w okolicznych lasach trwa permanentna tłuczka. Ostatnio Kacap wpadł na „genialny" pomysł wyjścia z lasów par force i zajęcia pustkowi, którymi próbował okrążyć i zdobyć miasto Kupiańsk. I wszystko by grało i buczało, gdyby nie pas natarcia na tyle wąski, że może zostać przecięty siłami jednego ukraińskiego batalionu. A Kozak niegłupi i czeka, aż do worka wlezie jeszcze więcej zdobyczy. Odcinka Makijówka–Torskie nie ma sensu opisywać, bo nie zauważono tam żadnych zmian. Moskale wyczerpali tu swój potencjał i stracili inicjatywę. Pytanie, czy Ukraińcy będą umieli ją przejąć.

Jest coś dla ruskich onuc. Idąc dalej na południe, jakieś niecałe 80 km, natkniemy się na Siewiersk. Niedaleko jest wiocha Werhnokamieńskie. Bojcy się cieszą, bo właśnie do niej wleźli. Ale każdy zdobyty metr na tym kierunku kosztował ich gigantyczne straty. Nad głowami latają im chmary dronów, które niszczą sprzęt pancerny. Niby sukces, ale mocno problematyczny. Dalej na południe Moskale ogłosili zdobycie Czasiw Jaru (po ponad roku, pierwsze starcia na przedmieściach miały miejsce w maju 2024 r.), ale ta radość jest zdecydowanie przedwczesna. Owszem, większość miasta znajduje się w rosyjskich rękach, ale trwają walki o kilka dzielnic, a do dzielnic Szewczenko, Jużnyj i Zemlanki nawet jeszcze nie doszli. A właśnie przez Szewczenko prowadzi jedna z dwóch dostępnych dla nich tras na Konstantynówkę. Mogą iść główną drogą, która wprowadzi ich między wzgórza na pewno obsadzone przez SZU, lub atakować przez Czerwone i Nowodymitrówkę. Problem w tym, że ta droga, biegnąca rokadowo (prostopadle do linii ataku) wzdłuż linii wzgórz, będzie się znajdować pod ukraińskim ostrzałem. To wymusza wyparcie Ukraińców z pozycji na północ od tej drogi. Co nie będzie łatwe, bo tam są kolejne linie wzgórz biegnących rokadowo. Atakowanie doliną pod ogniem artylerii to pomysł wariata.

W worku między Torećkiem a Konstantynówką Ruski usiłuje wyrównać front. Idzie mu jak krew z nosa, bo nadal do końca nie zajął Torećka. W wyłomie między tym miastem a Pokrowskiem pojawił się pewien chaos po rosyjskiej stronie. Zamiast skupić się na okrążeniu Pokrowska, Moskal próbuje równocześnie oskrzydlać Konstantynówkę. Widać, że wysiłek Kacapa zaczyna się jak zwykle rozpraszać. W samym Pokrowsku sytuacja bez zmian. Moskale chwalą się zdjęciami i filmami z walk w mieście, ale pomijają, że to działania dywersyjne, a nie frontalny atak.

Na południe od Pokrowska Moskale kontynuują zajmowanie obwodów donieckiego i ługańskiego. Bardzo powoli dochodzą do ich granic. Na razie nie wygląda na to, żeby chcieli iść dalej. Na razie. Na odcinku zaporoskim Ruskiemu udało się uzyskać małe sukcesy terytorialne pod Timurówką na zachód od Wielkiej Nowosiłki. Nie wygląda jednak na to, by te natarcia były skoordynowane i raczej są wynikiem zbiegu okoliczności. Kremlowscy propagandyści ogłosili też sukces jakiegoś rajdu przez Dniepr pod Chersoniem, ale nie ma żadnego potwierdzenia tej informacji. Raczej jest to mokry sen kacapów i ich onuc, niemający nic wspólnego z prawdziwą sytuacją.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f3c8658096

***Michał Korsun prezentuje:* Minister obrony narodowej Kosiniak-Kamysz i „Poradnik bezpieczeństwa”**

Wycinki z przeszłości

Redakcja magazynu „Na szerokim świecie” w numerze datowanym na 3 września 1930 r. przepraszała czytelników, że „niniejszy numer w treści swej i ilustracjach nie całkowicie wygląda tak, jakby tego wymagał charakter przeżywanego przez nas momentu, kiedy cała Polska i cała Europa, a nawet świat cały, znajdują się w najwyższem napięciu serc i umysłów”. Tłumaczono, że względy techniczne nie pozwoliły zrelacjonować wydarzeń po 27 sierpnia.

Napięcie rosło, ale tak strasznej narodowej katastrofy, jaka nadeszła po 1 września, nikt się nie spodziewał. Nadzieję dawał „sojusz Polski z Anglią” – jak podkreślano, „tak ścisły, jakiego Wielka Brytania od stu lat z żadnem państwem nie zawiera”. Niepokoiły nadchodzące z Niemiec doniesienia o eskalacji żądań i apetytów władz III Rzeszy.

Kolejny numer tego magazynu już się nie ukazał, pozostając świadectwem rozdarcia życia kilku pokoleń na to „przed wojną” i „po wojnie”.

Oby nigdy więcej nam się to nie zdarzyło. Budujmy silną armię!

(mk)

Z WOLEJA

Polska–Niemcy 3:2 i... „milcz, jak do mnie mówisz”

Ryszard Czarnecki

Gdy piszę te słowa, nasze siatkarki właśnie wygrały po prawdziwym thrillerze z Niemkami 3:2 i wyszły z grupy w mistrzostwach świata z pierwszego miejsca. Biało-Czerwone wygrały dwa ostatnie sety na przewagi: 28:26 (broniąc dwóch meczboli!), a w tie-breaku 19:17.

Zwycięstwa nad reprezentacją Niemiec zawsze smakują szczególnie. Podobnie zresztą jak z Rosją, a kiedyś ze Związkiem Sowieckim. Niestety jak tak dalej pójdzie, im więcej będzie idiotycznych, jeśli nie prowokacyjnych wypowiedzi Zełenskiego, jego ministrów i rodaków dziennikarzy, to zanim się obejrzymy, będziemy mieli zbliżone nastroje po zwycięstwach nad Ukrainą. Nasi sąsiedzi ze Wschodu chyba za szybko zapomnieli nie tylko naszej gigantycznej pomocy dla nich, lecz także o gestach solidarności polskich sportowców z Kijowem. Ich symbolem była żółta i niebieska wstążka, którą przez blisko dwa lata przypinała sobie przed wyjściem na kort Iga Świątek. Ale polskich sportowców, którzy solidaryzowali się z Ukrainą, było wielu. Szkoda, że w tej – choć zdaje się, że nie tylko w tej – kwestii Ukraińców dotknęła amnezja. Cóż, w sporcie jak w życiu – karma wraca.

Siatkarki grają swój mundial w Tajlandii, która kojarzy się nam, Polakom, z turystyką (zresztą różnego rodzaju), tajską kuchnią, tajskim boksem i długowiecznymi monarchami. Wątek tajskiej kuchni pojawił się w jedynej polskiej komedii nakręconej za czasów III RP, z której zapamiętałem kilka grepsów. To ciekawe, bo z komedii, które powstały w czasie PRL – zwłaszcza w jego schyłkowej fazie, szczególnie w reżyserii Stanisława Barei, a poniekąd też Sylwestra Chęcińskiego (tego od „Samych swoich” albo „Kochaj albo rzuć”) – pamiętam do dzisiaj morze, ba, nawet ocean cytatów.

Wracając do Tajlandii obecnej w polskiej kinematografii, to przypomnę film „Lejdis”. Wszak nie po to, aby przytoczyć jakże wiele mówiące o relacjach damsko-męskich słowa jednej z bohaterek filmu, która przerywa próbującemu się tłumaczyć jej facetowi następującymi słowy: „Milcz, jak do mnie mówisz!”. Chodzi jednak o inną kwestię, która pada w „Lejdis”. Oto dwie przyjaciółki nakrywają narzeczonego trzeciej przyjaciółki na zdradzie, wkraczając do jego mieszkania. Gdy ten błaga o trochę empatii, jedna z nich mówi: „Empatia? Co to jest? Zupa tajska?”.

Przez dwa ostatnie lata reprezentacja polskich siatkarek była na podium Ligi Narodów. Jednak medal na mistrzostwach świata Biało-Czerwone zdobyły ostatni raz 63 lata temu (!), a na olimpijskim podium ostatni raz stanęły 57 lat temu...

eprasa.pl f3c8658096

OD A DO ZYBERTOWICZA

Cyfrowa pętla poznawcza

Idąc w dół ul. Górnośląską w Warszawie, skręciłem w strefę parkową. Ładnie i spokojnie. Mijam budynek z tablicami. Jedna mówi: Fundacja Rektorów Polskich, druga: Instytut Społeczeństwa Wiedzy. Myślę sobie: „Społeczeństwo wiedzy" – dobre sobie! Jakiej wiedzy?

Gdyby ów instytut zajmował się rzeczywistością, tj. jakimś faktycznie istniejącym przedmiotem badania, to powinien się nazywać Instytut Społeczeństwa Niewiedzy. Misją uczonych pozostaje badanie świata, takiego jakim jest, a nie uśmierzanie swojego niepokoju przez lansowanie utopijnych wizji.

SYSTEMOWY MECHANIZM DEGRADACJI

Od razu mówię: wcale nie chodzi mi o populistyczną, antyedukacyjną politykę obecnej pani minister edukacji. Idzie o coś znacznie poważniejszego – systemowy mechanizm psucia ludzkich umysłów, który przyniosła rewolucja cyfrowa.

Podobno żyjemy w „epoce informacji". Brzmi to dumnie, prawda? Tyle że dzisiaj ta informacja jest jak fast food: dostępna od ręki, wygląda okazale i apetycznie, ale po godzinie czujemy się dziwnie głodni. Wchodzimy do internetu po „fakty", a wychodzimy z memem o kocie w garniturze i trzema teoriami spiskowymi. To jest rzeczywistość już tak wszędobylska, że chyba dominująca, nie tylko w głowach młodzieży.

NOWA, ROZMAZANA JAKOŚĆ

Dotąd wielkie przemiany w dziejach ludzkości miały jedną wspólną cechę: można je było opisać z pewnego dystansu. Rolnik z epoki neolitu nie wiedział, że uczestniczy w rewolucji agrarnej, ale dzisiaj potrafimy wskazać jej początek i skutki. Podobnie z rewolucją przemysłową: choć współcześni spierali się o jej sens, narzędzia opisu powstawały obok niej, a nie w jej samym środku.

W epoce agrarnej zmiany trwały pokolenia, w przemysłowej – dekady. Teraz wystarczy aktualizacja oprogramowania, by zmienić sposób, w jaki myślimy czy pracujemy

Rewolucja cyfrowa łamie tę regułę. To pierwsza wielka przemiana, która zmienia nie tylko nasze środowisko, lecz także uzależnia od samej siebie nasz aparat poznawczy. Nie patrzymy na nią z zewnątrz – patrzymy poprzez nią. A to oznacza, że każde nasze spojrzenie jest już przefiltrowane przez algorytmy, które decydują, co zobaczymy, zanim w ogóle zdążymy mrugnąć.

Chcemy opisać rzeczywistość? Proszę bardzo, tyle że robimy to narzędziami, które są częścią tej samej rzeczywistości. To trochę jakby restaurację recenzował kucharz, który właśnie przypalił zupę. Cyfrowa „pętla poznawcza" działa jak lustro, które samo retuszuje obraz.

Tempo zmian jest zawrotne. Wczoraj wszyscy instalowali nową aplikację, dziś już jest ona cringe, a jutro nikt nie pamięta, że istniała. W epoce agrarnej zmiany trwały pokolenia, w przemysłowej – dekady. Teraz wystarczy aktualizacja oprogramowania, by zmienić sposób, w jaki myślimy, pracujemy i kłócimy się w komentarzach.

W rewolucji przemysłowej człowiek przynajmniej wiedział, że stoi przy maszynie. W rewolucji cyfrowej maszyna stoi przy nas – w kieszeni, na biurku, pod poduszką – i szepcze: „Hej, mam coś, co ci się spodoba". I ma rację. Bo zna nas lepiej niż my sami. Wie, że klikniemy w nagłówek: „Nie uwierzysz, co wydarzyło się potem" szybciej niż w raport o trendach gospodarczych.

Sprzężenie zwrotne działa tu jak w kabarecie: gdy ktoś publicznie krytykuje algorytmy (np. na YouTube), ta krytyka sama staje się treścią, którą algorytmy mogą „przetworzyć" i wypromować – bo jest nowa, angażująca, wywołuje emocje i reakcje.

JEST Z TEGO WYJŚCIE?

Pewnie tak, ale wymagałoby to od nas czegoś, czego nie lubimy: cierpliwości, krytycznego myślenia i umiejętności powiedzenia „nie" powiadomieniom. A to jak dieta podczas świąt Bożego Narodzenia – teoretycznie możliwa, praktycznie... no cóż.

Więc trwamy w tej cyfrowej pętli poznawczej, scrollując, klikając, komentując. I może kiedyś historycy nazwą to „epoką wielkiego algorytmu". Ale dziś? Gdybym umieścił ten tekst na platformie X, to po prostu bym sprawdził, czy ktoś polubił ten wpis.

A NASI REKTORZY?

Pora, by się otrząsnęli ze starych schematów myślowych i zobaczyli rzeczywiste konsekwencje cyfrowego postępu. Do tworzenia społeczeństwa niewiedzy niestety walnie przyczyniają się także uczeni – nie zawsze pojmujący, jakim interesom i celom służy praca ich umysłów.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl f3c8658096

SUBSKRYPCJA wPolityce.pl Premium + i SIECI

Czytaj wygodnie i **wcześniej** niż inni już od 7,90 zł

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl f3c8658096

Instytut Wschodniej Flanki

INSTYTUT SOBIESKIEGO

Instytut Wschodniej Flanki (IWF) i **Instytut Sobieskiego** (IS) zapraszają na premierę nowego raportu analitycznego pt.

Jak z importera uzbrojenia stać się eksporterem bezpieczeństwa? Perspektywy rozwoju polskiego przemysłu obronnego.

Data: 3 września 2025 r. (środa), godz. 15:00-16:30

Miejsce: Centrum Kongresowe Targi Kielce (Sala Omega), podczas XXXIII Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego

Agenda:

1. Wystąpienia wprowadzające Przewodniczącego Rady Programowej IWF **Michała Dworczyka** i Prezesa Zarządu IS **Leszka Skiby**.
2. Prezentacja głównych tez i rekomendacji raportu analitycznego.
3. Dyskusja panelowa z udziałem przedstawicieli polskiego przemysłu obronnego.

Raport zostanie udostępniony do pobrania tego samego dnia, na **stronach internetowych Instytutu Wschodniej Flanki (https://wschodniaflanka.pl/) i Instytutu Sobieskiego (https://sobieski.org.pl/).**